

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 3/89

1955



• *«La Culture» • Revue mensuelle •*

Amb. T. ROMER : **LIST DO „KULTURY”**

J. MIEROSZEWSKI :

PIENIĄDZ I ODPOWIEDZIALNOŚĆ

K. A. JELEŃSKI : **TRYB LITERATURY**

SPIS RZECZY

—	<i>Splacamy dom</i>	3
K.A. Jeleński:	<i>Tryb literatury</i>	5
Witold Gombrowicz:	<i>Fragmety z dziennika</i>	15
◆		
Czesław Miłosz:	<i>Dolina Issy</i> (II.)	27
◆		
Józef Łobodowski, Roman Krzyczkowski, K.A. Jeleński i inni:	<i>Nasza stała lektura — pastiche „Kultury”</i>	61
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Tadeusz Romer:	<i>List do Zespołu „Kultury”</i>	74
Juliusz Mieroszewski:	<i>Pieniądz i odpowiedzialność</i>	75
Londyńczyk:	<i>Kronika angielska</i>	83
SPRAWY I TROSKI		
W. Zaleski:	<i>Jeszcze o Strassburgu</i>	89
DOKUMENTY CHWILI		
—	<i>Skarb Narodowy w New Jersey</i> ..	93
WOLNA TRYBUNA		
Tomasz Dobrowolski:	<i>Pięć elementów</i>	96
NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI		
Tadeusz Felsztyn:	<i>Polskie studia wojskowe</i>	101
KRONIKA KULTURALNA		
Stanisław Westfal:	<i>Moja wycieczka na Itakę</i>	115
Maria Czapska:	<i>„Coś ty uczynił ludziom, Mickiewicz?”</i>	120
KAJ:	<i>Galeria malarstwa obcego w Warszawie</i>	127
Marian Pankowski:	<i>O moralności socjalistycznej</i>	130
KSIĄŻKI		
Paweł Hostowiec:	<i>„Odwilż” Erenburga</i>	134
Andrzej Vincenz:	<i>Ruchy chłopskie na Rusi Czerwonej</i>	141
(j):	<i>Notatki wydawnicze</i>	145
(j):	<i>Przegląd miesięczników</i>	147
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	149
PRZEGLĄD NIEMIECKI		
Jan Kowalik:	<i>Polska w bibliografii powojennych Niemiec 1945-1953 (c. d.)</i>	150
◆		
A. Szylling, J.K. Piotrowski, Z. Michałowski, K. Hrabek, W.A. Zbyszewski, A. Janta:	<i>Listy do Redakcji</i>	154
◆		
—	<i>Résumé en langue française</i>	159
—	<i>English Synopsis</i>	159

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Marzec-Mars

1955

INSTYTUT



LITERACKI

NAGRODA LITERACKA "KULTURY" 1954

Ufundowana przez prezesa E. Berenbaua

Jury większością głosów postanowiło przyznać nagrodę pracy pt. SMAGŁA SWOBODA, opatrzonej godłem „Był Sad”. Po otwarciu koperty z godłem okazało się, że nagrodzonym autorem jest

Marian PANKOWSKI.

Omówienie i analizę całości nadesłanych prac zamieści-
my w następnym numerze „Kultury”.

Przypominamy, że termin nadsyłania prac na nagrodę
„Kultury” 1955 upływa 31 października br.



Przek. P. 58.
ank

(Podajemy dodatkową listę osób, które w ramach zbiórki zorganizowa-
nej przez Kolonię Polską w Sao Paulo, złożyły dar na dom „Kultury”, a
których z powodu nieczytelności podpisów nie mogliśmy zamieścić w po-
przednim numerze „Kultury”. Są to: Zygmunt Damm 1.000 crs., J. Zał-
szupin 100 crs., G. J. Rostworowski 200 crs., Jan Ramisch 200 crs., K.
Wędrzagołski 100 crs., Herman Nucher 200 i Stefan K. Neufeld 200 crs.)

Imprimé en France

DALSZE WPLATY NA DOM "KULTURY"

Józef Handelsman, Paryż	1.000 fr.	
Zofia Chądzyńska, Buenos Aires	1.000 "	
Michał Zawadzki, Chicago	1.000 "	
Jerzy Leśniak, Toronto (Kanada)	1.400 "	
Jerzy Bajor, Springfield, Mass. (USA)	1.400 "	
Józef Witek, Winterthur (Szwajcaria)	1.000 "	
Maria Wasung, Genewa	1.000 "	
Krystyna Wasung, Genewa	1.000 "	
Józef Wittlin, New York, ponownie	1.000 "	
Wiktor Weintraub, Cambridge, Mass. (USA)	3.500 "	
Grzegorz Puścion, Fergus Falls, Minn. (USA)	1.750 "	
Anna Epsten, Luffness (Wielka Brytania)	2.000 "	
W. Tybura, Londyn	500 "	
T. Tomaszewski, Londyn	1.000 "	
Joanna i Franciszek Studziński, Paryż	5.000 "	
A. i K. Endelman, Dublin	1.000 "	
E. Baczymalski, Cobham, Surrey (Wielka Brytania)	1.000 "	
Feliks Drabczyk, Toronto (Kanada)	1.000 "	
Jerzy Piórkowski, Toronto (Kanada)	1.000 "	
Margit Vincenz, Jamaica (Zach. Indie Bryt.)	1.000 "	
S.A. Vincenz, Jamaica (Zach. Indie Bryt.)	1.000 "	
Lucja Zalewska, Chicago	1.400 "	
Jadwiga Temczyn, Brooklyn, N. Y. (USA)	350 "	
Ks. T.V. Kraus, McKees Rocks, Pa. (USA)	1.000 "	
Stanisław Gostkowski, Jipe Estate (Kenya)	2.000 "	
Wacław i Irena Lewulis, Elwood, Vic. (Australia)	4.000 "	
Stanley Godava, Huttington Park, California	3.500 "	
Lech Werwicki, Chicago	1.750 "	
Władysław Baškiewicz, Welland, Ont. (Kanada)	700 "	
Janusz Świenczyc-Wiland, Toronto (Kanada)	1.000 "	
Stefan Kamiński, Montreal	700 "	
Eugeniusz Siniewicz, Montreal	1.400 "	
Nadesłano przez tygodnik „Związkowiec” w Toronto, Ont. (Kanada): Bezimiennie 1.000 fr.; Fr. Głogowski (To- ronto) 1.000 fr.; Fr. Kmietowicz (Toronto) 1.000 fr.; M.E. Korycki (Toronto) 1.750 fr.; Wanda Krasuska (Toronto) 1.000 fr.; B. Martysz (Toronto) 350 fr.; Agnieszka Neher (Toronto) 1.400 fr.; S.L. Opolski (Toronto) 1.000 fr.; i Sta- nisław Zdziennicki (Toronto) 1.750 fr. — razem		10.250 "
E. Kozik, Roubaix	300 "	
J. G. Toronto (Kanada)	1.750 "	
Tadeusz Szubski, River Forest, Ill. (USA)	3.500 "	
Efreim Kulik, Hamilton, Ont. (Kanada)	1.750 "	
Wiktor Skiba, Detroit (USA)	1.750 "	
M.S. Winiarski, Londyn	3.000 "	
J. S., Brooklyn, N. Y. (USA)	1.400 "	
Dr S.N. Korzeniowski, Chicago	1.000 "	

M. Puzyna, Applethwaite Farm, Elgin, Cape (Afr. Pol.)	1.000 fr.
Anna Heydenkorn, Toronto (Kanada)	700 "
Jan Pańczak, Toronto (Kanada)	700 "
Tadeusz Sawaszkiewicz, Toronto (Kanada)	1.000 "
Jan Krystofowicz, Richmond (Australia)	2.000 "
Zofia Czerna, Sillery, Que. (Kanada)	1.750 "
Stanisław Czerny, Sillery, Que. (Kanada)	1.750 "
Jan Nowakowski, Beograd	1.000 "
M. Marcinkow, Winnipeg (Kanada)	350 "
Lesław K. Ludwig, Springfield, Mass. (USA)	5,250 "
Józef A. Zielicki, Lilford (Anglia)	5.000 "
M. Felińska, Lilford (Anglia)	1.000 "
Zebrań w Lilford Grammar School (Anglia)	800 "
Stefan Prokopiak, Ponta Grossa, Parana (Brazylia)	3.500 "
Anonimowo, Berlin	1.750 "
Stefan Tlalka, Philadelphia (USA)	3.500 "
Dr Piotr Mohortyński, Yangambi par Stanleyville (Congo b.)	35.000 "
Bianka Wojewódzka, Bunia (Congo belg.)	2.000 "
E. Podoska, Paryż	2.000 "
B. Drzewiecka, Paryż	5.000 "
J. G. Caracas (Wenezuela)	3.500 "
Ludwik Marcinkiewicz, Caracas (Wenezuela)	3.500 "
Jerzy Niebrzydowski, Caracas (Wenezuela)	3.500 "
J. M. (Wenezuela)	5.250 "
Br. Łubiński, Oslo	500 "
W. Pankiewicz, Seymour, Vic. (Australia)	800 "
J. Jużwikowska, Montreal	1.000 "
M. Minkowski, Iscoid Park, Whitechurch, Salop (W. Bryt.)	1.200 "
Cz. Ziemińska i Wł. Igliński, Kitchener, Ont. (Kanada)	5.250 "
T. Z., Oslo	10.000 "
Mieczysław Błaszczak, Brooklyn, N. Y. (USA)	1.750 "
E.L. Holdanowicz, Londyn	1.050 "
Polskie Koło Kulturalno-Artystyczne w Sydney (Australia)	10.000 "
Marek St. Korowicz, Cambridge, Mass. (USA)	3.500 "
Andrzej Bohomolec, Arrow Head Ranch, Alta (Kanada)	100.000 "
Władysława Rozbicka, Boston, Mass. (USA)	1.750 "
Christian M. Kretowicz, Toledo, Ohio (USA)	1.750 "
W. I., Boston, Mass. (USA)	1.000 "
S. Nieciecki, New York	1.000 "
Zbigniew Jasiński, Griffith, NSW (Australia)	3.500 "
M. Rybikowski, Montreal	1.400 "
Wojciech Kasznica, Irvington, N. J. (USA)	1.400 "
Anonimowo, Chicago	1.400 "
Julian Henrych, Sao Mateo (Brazylia)	5.000 "
A. Kocur, Dunnellen, N. J. (USA)	1.000 "
Dr Felix Dubrawski, Arvika (Szwecja)	1.000 "
M. Laubitz, Toronto (Kanada)	2.000 "
Koło S.P.K., Waterbury, Conn. (USA)	1.000 "
Wincenty Rokicki, Detroit (USA)	3.500 "
Kongres Wolności Kultury (Paryż) przyszedł nam z pomocą zakupując nasze wydawnictwa na sumę	180.000 "
Z podobną pomocą przyszedł nam Fund for Intellectual Freedom (stworzony i w dużej mierze finansowany przez Arthura Koestlera)	350.000 "

DZIĘKUJEMY.

Tryb literatury

W roku 1954, w trzech komunistycznych krajach, trzy kongresy pisarzy: w Moskwie, w Warszawie, w Belgradzie. Warszawskie obrady omawiał w „Kulturze” Paweł Hostowicz. Miały one miejsce w kwietniu, kiedy Moskwa żyła jeszcze pod znakiem literackiej „liberalizacji”. Warto je porównać z Drugim Kongresem Sowieckich Pisarzy, w grudniu ubiegłego roku. A wolność pisarzy jugosłowiańskich w kraju który nie wyrzekł się rewolucji i który wzdraga się najwidoczniej przed demokratyczną ewolucją w polityce, stanowi konkretne doświadczenie, które należy znać stawiając problem literatury w komunistycznym ustroju.

Zachodnia prasa wydawała się jakby zawiedziona kongresem sowieckich pisarzy. Powieść Ehrenburga z góry poddała hasło kluczowe, stąd: „Nie będzie Odwilży w Z.S.R.R.” i tym podobne czterospaltowe tytuły w dziennikach. Ale oczekiwano bardziej burzliwej atmosfery. Ehrenburg z początku, potem Szolochow byli na krótko „bohaterami dnia”, lecz niedość, dla żurnalistów, bohaterów. Skądinąd, żaden nowy Żdanow nie trzasnął biczem. A więc rozczarowanie w zachodniej prasie i dla zwolenników „nowego kursu” i dla tych, którzy już mieli gotową etykietę „neo-żdanowizmu”.

Rozterka zachodnich obserwatorów wynika tu z kilku powodów. Z jednej strony, żdanowizm strącił sowiecką produkcję literacką do poziomu tak beznadziejnego, że najdrobniejsza ewolucja zwykłego zdrowego rozsądku wydała się dowodem „zmiany” sensacyjnej i brzemiennej w skutki. Przyzwycażono się uważać karykaturę za naturalny wyraz literacki reżymu. Tymczasem to wcale nie tak proste. Zjawisko „żdanowizmu”, zwłaszcza w latach 1946-1953, jest bardziej związane z psychopatologią strachu niż z dziedziną polityki literackiej. Można mieć uzasadnione wątpliwości co do możliwości powstania „literatury” sowieckiej w sensie komunikacji „międzyludzkiej”, imaginacyjnej

eksploracji, autentycznego języka. Ale — czy nazwiemy to „literaturą” czy nie — nie ma żadnego powodu aby książki sowieckie nie miały być solidne, dobrze skonstruowane, o prymitywnej, ale trafnej psychologii. W ramach świata zewnętrznego nie poddawane w wątpliwość, zamieszkanego przez ludzi stworzonych na obraz swego własnego wyobrażenia o sobie, nic nie powinno przeszkodzić sowieckim pisarzom osiągnięcia poziomu określanego potocznie jako „a to świetnie napisane”. Bohaterowie sowieckich powieści, marksistowsy i stadni, odpowiedzialni i pracowici, żyjący projekcją społeczną, a nawet (nieliczne cienie), egoiści, zbrodniarze i złodzieje, powinni móc myśleć, pracować, mówić, jeść pieczeń i patrzeć na krajobraz w sposób równie prawdopodobny jak bohaterowie Paul Bourgeta, Galsworthy'ego czy Georges Duhamela. Staliby się nawet wtedy bardziej użyteczni, gdyż książka ma być ostatecznie kiedyś, po powrocie z biura czy z fabryki, przeczytana i czytelnik winien bez zbytnich wątpliwości móc rozpoznać siebie w bohaterze pozytywnym, a swoich nieprzyjaciół w negatywnych postaciach.

Otóż wydaje się że Drugi Kongres Sowieckich Pisarzy zdał sobie z tego sprawę. Wstydzą się dziś w Sowietach różnych Babajewskich i Małcewów, tych okropnych pisarzy żdanowskiej ery, których książki niedawno jeszcze „krytyka” wynosiła pod niebiosa. Mimo powodzi statystyk, we wszystkich przemówieniach znać było zażenowanie jakością literackiej produkcji ostatnich lat. Potrzeba talentu wydaje się ogólnie przyjęta. A także potrzeba pewnej różnorodności. Pewnie, że pomiędzy poszczególnymi oświadczeniami jest spory margines. Na przykład Walenty Katajew: „Kiedy moja ‘partyjność’ słabła, pisałem źle, ale kiedy silniej identyfikowałem się z partią, pisałem zaraz o wiele lepiej”. A, na przeciwnym krańcu, Beniamin Kaweryn, marzący o sowieckiej literaturze z której raz na zawsze zostaną usunięte etykiety, literaturze wiernej swej wielkiej przeszłości, oddającej sprawiedliwość wkładowi Tynianowa do historycznej powieści, Bułgakowa do teatru. Jeśli weźmiemy pod uwagę, że Bułgakow i Tynianin są od lat w niełasce i zmuszeni do milczenia, trzeba ocenić odwagę Kaweryna, a jeszcze bardziej może fakt, że zdobywszy się na nią dane mu było potem przeczytać swe słowa w oficjalnym sprawozdaniu.

Ale w jakich ostatecznie granicach dopuszczone będzie w literaturze sowieckiej trochę życia, trochę koloru, trochę różnorodności? Dla zewnętrznego obserwatora, granice są jasne. Nie ma, w sowieckim świecie, miejsca na zasadnicze ludzkie problemy. Młody polski pisarz komunistyczny twierdził niedawno, że nie powinno się opisywać śmierci, gdyż śmierć jest „nietypową”. Absurd, który nas bawi, ale nie pozbawiony socrealistycznego sensu. Śmierć nie jest interesująca dla komunisty, jakkolwiek potocznie, najtypowsza. Człowiek umiera, pewnie, ale społeczeństwo komunistyczne żyje nadal. Literatura sowiecka nie jest formą komunikacji między ludźmi, ale raczej formą komunii między ludźmi. Cierpienie jednostki jest nawet dopuszczalne, pó-

ki system nie stanie się uniwersalny, póki istnieje na świecie grzech pierworodny kapitalizmu. Jednostka może się załamać — ale społeczeństwo osiągnie swój cel (osiąga go w każdej chwili, jest celem samym w sobie). Los jednostki jest z góry nakreślony na jedynej płaszczyźnie która się w tej paramistycznej koncepcji liczy, poprzez identyfikację ze społeczeństwem. Niewiele tu oczywiście miejsca na literaturę z jej uporczywymi pytaniami odnośnie sensu i celu ludzkiego istnienia, z jej manią szperania we wnętrzu człowieka, dociekania co się w nim właściwie dzieje kiedy kocha, kiedy je, kiedy umiera. Nurt podświadomości płynie podobnie w Dublinie i w Moskwie, ale biada pisarzowi, który by chciał to uprzytomnić moskiewskiemu Bloomowi. I trudno oczekiwać by Józef K. sowieckiej newrozy wewnętrznego strachu doczekał się Katarsis „Procesu” — wystarczy mu proces... Ale nawet zewnętrzne życie jednostki, w oderwaniu od wszelkich drażeń pirandellowskich, psychanalytycznych, egzystencjalnych, gombrowiczowskich, nie ma w sowieckim świecie prawa bytu w oderwaniu od życia społecznego. Konstanty Simonow jasno to ujmuje w swoim raporcie:

„Chcę oświadczyć publicznie, że prywatne życie filistynów, ludzi którzy dobrowolnie oddalili się od życia społecznego kraju, nie stanowi tematu interesującego naszą literaturę... nie mamy wcale zamiaru podać ręki tym pisarzom, którzy jeszcze u nas istnieją i którzy pod pretekstem odmalowania „prostego człowieka” starają się przemycić do naszej literatury małe, meskineryjne życia indywidualistów... Życie indywidualne odcięte od życia publicznego — to życie prywatne. To pozostałość kapitalizmu”.

Przy tak postawionych granicach, rozumie się doskonale że esej Pomerancewa w „Nowym Mirze” o potrzebie szczerości w literaturze został potępiony. Nawet dopuszczając specjalny, oparty na „double-thinku” odcień słowa „szczerość” pachnie to rzeczywiście herezją. Ale czy podobnie wygląda sprawa „Odwilży” Erenburga i „Pór Roku” Wery Panowej? Nie wydaje mi się aby było w tych powieściach cokolwiek sprzecznego z doktryną. Usterki sowieckiego życia, które są tam podkreślone, mogą być doskonale wytłumaczone klasycznymi argumentami zewnętrznymi i wewnętrznymi wrogów, pozostałości kapitalizmu, niedostatecznej czujności. Przywódcy a nawet pisarze sowieccy byli chyba raczej zgorszeni tonem krytyk — nawet dozwolonych — ilością cieni. Po cukierkowatych obrazkach ostatnich lat — jeden reakcyjny uczonek czy leń, dyrektor fabryki, przepędzeni przez aktywistów święconą wodą marksizmu — trzydziestu włóczęgów i zbrodniarzy z „Pór Roku” postawiło oczywiście kwestię scholastyczną: od ilu drzew zaczyna się las uchylenia? A więc, nagana dla Erenburga i Panowej, ale niezbyt surowa. I Erenburg broni swej pozycji z wielką pewnością siebie: jego książka ma wady, ale nie te, które podkreślają krytycy; będzie nadal pisał w tym samym kierunku; o co głównie chodzi, to przecież o to żeby wszyscy stali po tej samej stronie w dzisiejszym światowym konflikcie. Jeden z sowieckich pisarzy, w

czkawce żdanowizmu, obiecuje „bezlitosną pomoc” błądzącym kolegom. Erenburg protestuje: trzeba bezlitośnie niszczyć wrogów, nie przyjaciół... Skoro i Erenburg i Panowa zostali przy końcu Kongresu wybrani do zarządu związku pisarzy, wygrała chyba ta druga teza.

Jest inne dzieło sowieckie, wydane na początku roku 1954 przez miesięcznik „Teatr”, wykraczające zapewne poza granice, w których może się wyrażać „wolność” sowieckich pisarzy. Jest to sztuka L. Zorina, „Goście”. Bohaterem jest zatwardziały, oschły biurokrata, przedstawiony jako „typowy” przedstawiciel pewnej warstwy społecznej (Zorin raz nawet powie „klasy”!). Sztuka przedstawia los całej grupy ludzi niesprawiedliwie skazanych przez sowieckiego sędziego, którzy na próżno kołatają do wszystkich departamentów sowieckiego aparatu o zadośćuczynienie. Co gorsza, Zorin widzi w tym naturalny i jakby konieczny rozwój historyczny. Ojciec biurokraty Piotra Kirpiczewa, stary bolszewik, z bólem patrzy na degenerację idei:

„Kraj stał się silniejszy i ludzie bogatsi — mówi do syna. — I, stopniowo, ludzie tacy jak ty stali się wyniosłymi, chciwymi biurokratami, którzy stracili wszelki kontakt z ludem”.

I także:

„Pracowałem z przywódcami i nie zasmakowałem we władzy. Ale ty kochasz władzę od dziecka i to cię zatruło”.

A siostra Piotra, do ojca, tłumacząc upadek brata i jego kolegów:

„Jest na to jedno małe słowo: władza!”

Liberalny historyk angielski Acton mówił: „Wszelka władza psuje, władza absolutna psuje absolutnie”. Ale jest rzeczywistość niedopuszczalna, żeby tego rodzaju pojęcia przyswajał sobie pisarz sowiecki! I rozumie się doskonale dlaczego sztuka Zorina atakowana była o wiele gwałtowniej od książek Erenburga i Panowej.

Niesprawiedliwości ery stalinowskiej, jeden z motywów sztuki Zorina, nie są same przez się na indeksie. Nawet policjant Korniejczuk poświęcił im sztukę, w której jest więcej jeszcze zbrodni niż u Zorina. Ale ostatnie słowa bohaterki (czyżby sztuka była zbudowana wokół tajemniczej „sprawy leningradzkiej”?) dają ton w którym trzeba o tych rzeczach pisać:

Anna (cicho, z wielką szczerością i wzruszeniem): „Ileż oni (zdracy z policji) zrobili krzywdy i wielkim i małym. Dzięki, z całego serca dzięki Centralnemu Komitetowi. Już nigdy nie powróci ten potworny koszmar!”

Wszystkie zbrodnie o których pisze Korniejczuk — to przykre bardzo przypadki, zrozumiałe ostatecznie jeśli się myśli, że na czele policji stał zdrajca na miarę Berii. Ale, na szczęście,

reżym czuwa właśnie nad tym aby sowiecki lud uwolnić od zdrajców.

Jakie są, dla literatury sowieckiej, perspektywy przyszłości? Można rozważać to zagadnienie na kilku płaszczyznach. Zwierciadło wewnętrznej i zewnętrznej polityki Z.S.S.R., literatura, tak jak ciężki czy lekki przemysł, ma zakreślony oficjalny plan, „piatiletkę” druku. Plan ten nakreśla „otwarty” list Centralnego Komitetu Partii do uczestników Drugiego Kongresu:

„Komitet Centralny wzywa pisarzy do badania rzeczywistości na podstawie twórczego stosowania marksizmu-leninizmu, pozwalającego na uchwycenie prawdy życia w swej jedności i w swej złożoności: jak przedstawia się ona we współczesnych stosunkach międzynarodowych, w warunkach walki pomiędzy obozem Kapitalizmu-Imperializmu i obozem Socjalizmu i Demokracji; do zrozumienia procesu rozwojowego, mającego miejsce w naszym kraju pod przywództwem Partii Komunistycznej, oraz praw i perspektyw wzrostu naszego społeczeństwa”.

Pisarz sowiecki winien opisywać nowy typ ludzki „którego psychologia wolna będzie od pozostałości kapitalizmu”. Na płaszczyźnie ideologicznej, pisarz winien walczyć przeciw „nacjonalizmowi, kosmopolityzmowi i innym rewelacjom ideologii burżuazyjnej, a także bronić literatury od niebezpieczeństwa wpadnięcia w bagno filistynizmu, związanego z lekceważeniem doktryny partii i z dekadencją”.

Nic dotąd co by wykraczało poza abstrakcyjny i codzienny dogmatyzm. Ale oto dwie konkretne rady:

— „Literatura sowiecka ucierpiała na skutek tendencji, w niektórych dziełach, do idealizacji rzeczywistości i przemilczania konfliktów i trudności związanych ze wzrostem”.

— „Inni posunęli się za daleko w kierunku krytyki naturalistycznej i oszkalowali społeczeństwo sowieckie, stawiając narodowi sowieckiemu niesprawiedliwione i niesłuszne zarzuty”.

Te ostatnie cytaty dość wiernie odzwierciedlają z jednej strony zażenowanie widoczne w obradach Drugiego Kongresu wobec najgorszych utworów epoki żdanowizmu, z drugiej konformistyczną obawę wywołaną bardziej realistycznymi obrazami życia, jak „Odwilż” czy „Pory Roku”. W tych chyba właśnie granicach, z wykluczeniem oczywiście herezji na płaszczyźnie historycznej (Zorin) i ściśle literackiej (Pomerancew), należy oczekiwać nowego „rozwoju” sowieckiej literatury.

Nawet jeśli Kongres wykazał zainteresowanie literaturą nieco żywszą, wydaje się, że nacisk na komunistyczną ortodoksję raczej się zmógł. I tak stalinowskie slogany nacjonalistyczne sowiecko-carskiej hagiografii są likwidowane. Surkow oświadczył że „tematy historyczne często były pretekstem manifestacji burżuazyjnego nacjonalizmu, kiedy pod pozorem tendencji patriotycznych idealizowało się ‘bohaterów’, którzy w historii odegrali rolę reakcyjną”.

Wreszcie (ale to były jeszcze czasy Malenkowa z masłem), widoczna jest tendencja ujawniania najgorszych niesprawiedliwości stalinizmu, pod warunkiem oczywiście złożenia hołdu pogromcom Berii i Abakumowa.

Czy wyjdą z tego wszystkiego lepsze książki? Być może. Ale przesadą byłoby mówić o „literaturze”.



Do tego co powiedział Paweł Hostowiec o obradach warszawskich dorzucę dwa słowa tylko, właśnie w związku z Kongresem pisarzy sowieckich. W Moskwie pisarze obradowali tym razem sami. Partia napisała list, zapewne stosowała swoisty „remote-control”, ale żadnego Żdanowa nie było na sali. Może dlatego, że dla pisarzy sowieckich realizm socjalistyczny i marksistowska dialektyka to już naturalny surowiec literatury w równym stopniu jak alfabet i ortografia. Niewiele było zresztą o tym mowy w Moskwie: dyskutowano z pozycji wyjściowych które przeszły w krew. W Warszawie Sokorski chciał może przypominać lekcję, do której się ostatecznie poważnie zabrano dopiero pięć lat temu. Stąd dyskusje na polskim zjeździe o realizmie socjalistycznym w tonie tak poważnym jak to bywa na łamach zachodnich pism komunistycznych. Ma się wrażenie, że ta „problematyka” brana jest tam równie na serio jak przez „Lettres Françaises”.

„Rzeczywisty Zwrot”, zapowiadany przez Sokorskiego nie był wcale, jak podkreślił Hostowiec, tak bardzo rzeczywisty. Ale przecież „pryszczaci” — jak nazywają w Polsce młodych komunistycznych pisarzy — poczuli się zagrożeni. Nic w tym zresztą dziwnego. Zaczęli pisać w latach kiedy karierę literacką otwierała formuła „spółdzielni” zagrożonej przez reakcjonistę, zbawionej przez aktywistę. Te nowe recepty o potrzebie talentu i różnorodności nie musiały im się podobać. Toteż na wyrwyki skarżyli się Sokorskiemu, że polscy pisarze „nie dojrżeli” do tej swobody, w której zapewne tylko niebyle sprawność marksistowska może służyć za busołą. Uderzyła mnie też różnica w tonie sowieckich i polskich pisarzy. Ale o tym pod koniec, porównując styl wypowiedzi na wszystkich trzech zjazdach.



Nie sposób streścić dyskusji na belgradzkim zjeździe w listopadzie zeszłego roku: mówili tam *pisarze* i o *literaturze*, a więc bogato i różnorodnie. Aby wprowadzić w atmosferę zjazdu, wystarczy wspomnieć, że wszelkie eksperymenty tzw. literackiej „awangardy” są w Jugosławii bardzo żywe, od przedwojennych czasów, z kilkuletnim „kominformowym” zaćmieniem. Pisarzy „nowoczesnych” nazywa się tam, jak przed pół wiekiem, „modernistami”. Otóż z belgradzkiego kongresu wynika, że „mo-

derniści” niepodzielnie rządzą jugosłowiańską literaturą: „Można nawet powiedzieć — skarży się jeden z rzadkich prześladowanych socrealistów — że ich dążność do monopolu w naszej literaturze, połączona z próbą obrzydzenia wszystkiego co nie zgadza się z ich koncepcjami sztuki i piękna, koncepcjami nader problematycznymi — przedstawia dziś groźne niebezpieczeństwo dla rozwoju naszej literatury i naszej sztuki!”

Spróbujmy sobie wyobrazić, w dziesięć lat po przewrocie komunistycznym we Francji, Wurmsera i André Stila jęczących pod żelaznym jarzmem narzuconym im przez Michaux, Becketa, Audibertiego... Albo, gdyby chodziło o polski „titoizm”, zjazd na którym Putrament narzeka na ucisk ze strony Gombrowicza. A przecież tak właśnie przedstawia się sytuacja w Jugosławii — przynajmniej z punktu widzenia „socrealistów”.

W rzeczywistości sprawa jest bardziej złożona. To prawda, że pisarze jugosłowiańscy nie chcą zrezygnować z żadnych środków literackich, że chcą móc wyrażać życie bez żadnych uproszczeń. Dobrze to określił na belgradzkim zjeździe Otto Bihalj-Merin:

„Gdyby mnie zapytano do jakiej sztuki należy dążyć, odpowiedziałbym: do sztuki autentycznej. A, gdybym używał słowa „realizm”, nadałbym mu osobiste znaczenie. Możemy dziś sięgnąć w życie głębiej i prawdziwiej niż za czasów naturalizmu czy klasycznego realizmu. Wszelkie środki artystyczne które nie operują subtelnym klawiszem, podziemną instrumentacją czasu nie są dziś dostatecznie realistyczne”.

Ale zarazem widać u pisarzy jugosłowiańskich pewną niechęć do form kultury które uważają oni za jałowe i bezcelowe — jak sztuka abstrakcyjna i, słowami Mirosława Krleji „owo dolce far niente artystyczne i literackie, wyrażające próżne i bezmyślne bałwochwalstwo”. Niechęć ta uderzająco przypomina stosunek Czesława Miłosza do pewnej literatury zachodniej — tak jak go wyraził w „Zniewolonym Umyśle”. Nic dziwnego, ostatecznie. Sytuacja Miłosza — samego — przypominała sytuację jugosłowiańskich pisarzy, wolnych, ale przecież biegłych w marksistowskim piśmie. Miłosz dorzuciłby tu może argument „Marchii Wschodniej” i drugi, że pod bombami i po bombach mniej smakują pewne subtelności. Ale to mi nigdy nie trafiało do przekonania.



Co najbardziej może uderza na tych trzech kongresach, to różnice stylu. Pisarze sowieccy wydają się pogodzeni — sądząc po stylu ich sprawozdań — z faktem, że literatura jest jednym z departamentów państwa, jak handel zagraniczny, sowchozy czy zbrojenia. Raporty ich są czytelne dla biurokraty, znać w nich wewnętrzny szkielet danych ogólnych, obecnego stanu rzeczy i wniosków na przyszłość. A wszystko w monotonnym

rytmie pytań i odpowiedzi, pośmiertnym echu gruzińskiego eks-seminarzysty z jego pasją do katechizmu. Głos wznosi się w pytaniu retorycznym, opada w retorycznej odpowiedzi:

— „Dlaczego ci niewątpliwie pozytywni bohaterowie tych książek tak pozyskali sobie serce młodzieży?”

— „Dlatego, że ci bohaterowie tych książek nie bez trudności pokonywują wszelkie przeszkody napotymane na swej drodze”.

W tym świecie bez tajemnicy, gdzie los człowieka jest z góry rozwiązany, na co by miał służyć język? To też właściwie nie ma go w raportach sowieckich pisarzy. Pozostają fiszki pojęciowe jakiegoś prymitywnego moralizmu, połączone ze sobą pasywnym magnesem stanowiącym prawo banału.

Polacy są niewątpliwie subtelniejsi. Ale ich ton, ich styl właśnie, wydaje mi się bardziej żenujący. Bezosobowe głośniki systemu, pisarze sowieccy pozbawieni są fałszywego wstydu. Na skutek trzydziestoletniej wprawy w „double-thinku”, czy chronicznej schizofrenii, na którą cierpi „homo sovieticus”, zewnętrzna postać jest u nich hermetycznie oddzielona od głębokiej osobowości. Nie sposób twierdzić że Surkow, Simonow czy Fadajew pozbawieni są najszlachetniejszych zalet — skoro nic nie pozwala nam na ocenę ich sądu, ich charakteru, ich prawdziwego „ja”. Pisarze polscy nie doszli do tej wprawy. Wyczuwa się u nich potrzebę integracji społecznej postaci i prawdziwej osobowości. Chcieliby trzymać się reguł gry narzuconych przez system — pozostając jednocześnie sobą. Tkwi w nich jakaś nostalgia do szacunku dla samego siebie, która pisarza zdecydowanego na publiczny wyraz w sowieckim systemie doprowadzić musi do pewnej formy hipokryzji. Zapewne, stawiają oni nieraz odważniejsze postulaty niż ich sowieccy koledzy, ale jest to odwaga „dobrych uczniów”. Będzie to rozbrajająca „naiwność” Iwazzkiewicza, wyznającego że trudno mu „dotrzymać kroku”, że jest już nieco za stary aby móc się całkowicie zmienić. Ale, formułując zapewne w ten sposób zastrzeżenia co do pełnego przyjęcia reguł socrealizmu, będzie się on jednocześnie rozpływał w zachwytach nad „nową rzeczywistością”. Inni będą krytykować schematyzm, nudę, szarość polskiej literatury. Ale jeśli dążą do większej „wolności”, to podkreślając zapamiętałe jak bardzo są „konstruktywni”, „świadomi rzeczywistości społecznej”, obrońcy pokoju, pogromcy reakcji. Ich dezzyderat — to harcerska autodyscyplina zamiast surowej kontroli szkół jezuitów. Znać to po samym stylu przemówień: skromnym, rzeczowym, szarym — prawdziwym stylu „małych mężczyzn”, którzy chcą się czuć „odpowiedzialni”.

Co za różnica u Jugosłowian! I u nich również istnieje pewna wspólnota stylu, ale jest ona raczej odbłaskiem tej silnej świadomości kulturalnej, która od pół wieku z górą cechuje środkową Europę.

W tych ramach, ileż osobistych wyrazów! Po pierwsze, nie są to już, jak w Moskwie czy w Warszawie, „raporty”, czy „przemówienia”. Z wyjątkiem dwóch czy trzech marksistowskich wypracowań, mamy tu do czynienia z autentycznymi esejami — „kongres” jest tu raczej pretekstem. A więc będzie to piękna europejska erudycja Mirosława Krleji, pisarza świadomego swego miejsca w nieprzerwanej literackiej ciągłości; poetyckie wycucie Józefa Vidmara; kostyczna polemika Marka Ristića; kult Zorana Mićića dla „poetów potępionych”. Wyzwoleni z okowów dogmatycznych („realizm socjalistyczny” wzmiankowany jest w jednym przemówieniu na dwanaście!), jugosłowiańscy pisarze mogą swobodnie operować swym własnym, osobistym językiem: język stał się dla nich znowu autentycznym środkiem porozumienia.



Tak przyzwyczajono się powtarzać że wolność jest zaraźliwa, że oczekuje się może zbyt wiele od literatury. Ostatecznie, — świadczy tu potężnie historia — Zdanow w sztuce nie jest konieczny potrzebny jeśli się ma Berię w policji. Wolna, awangardowa, „schyłkowa” nawet, i oporna, literatura włoskiego faszyzmu z futurystami, Marinettim, „Italiano” wydawanym przez Longanesi i „Critica” wydawaną przez Croce, niewiele się przyczyniła do decyzji Gran Consiglio... I zapomina się zbyt łatwo, że nawet w Niemczech hitlerowskich literacka subtelność i ironia uchowała się w znacznej mierze od komór gazowych. Państwo totalitarne może sobie pozwolić na zbytek wolnej literatury. Na zbytek ten często pozwalają sobie dyktatury „prawicowe”, z ich wrodzoną pogardą dla intelektualistów i wątpliwością co do czytelniczych zdolności obywateli. Pod dyktaturą komunistyczną, sprawa przedstawia się odmiennie. Została ona wymyślona przez intelektualistów, którzy niechętnie przyznają, że literatura nie jest znowu tak ważna w konkretnych problemach koszar, fabryk, głosowania przez aklamację, obozów przymusowej pracy. Zwykło się tu mówić o „trybach”. Niezbędność trybu literatury w tej maszynie wydaje mi się wątpliwa. Jeśli życie nie przekonywuje, to czyż może przekonać literatura? A jeśli nie ma przekonać ani życie, ani literatura, to może wystarcząłyby łańcuchy i karabiny, a niechby sobie w ograniczonym wydaniu wyszedł „Trans-Atlantyk”. Cóż z tego kiedy fikcja marksizmu wymaga kalkującej ją literatury. A fikcja ta jest nie tylko ważnym pretekstem, ale sjamską siostrą systemu. I tak literatura w sowieckim świecie, mimo że jest może bronią zbyteczną, wydaje się skazana — ona jedna, i w próżni — na kultuwację reżymowego „Ethosu”.

Skąd bierze się w dzisiejszej Jugosławii ta wolność, ta kultura, ta subtelność literatury? Oczywiście, zerwanie z Sowietami było tu zasadniczym warunkiem. Ale także jugosłowiańscy

przewódcy komunistyczni wydają się, z całej wschodniej Europy, najmniej przywiązani do abstrakcyjnych koncepcji intelektualnych. Pozostając krajem totalitarnym, Jugosławia wyszła z dusznego i purytańskiego świata komunistycznego. Wolność literatury nie koniecznie prowadzi do wolności ludzi. Ale może przechowuje załączki tej wolności?

K.A. JELEŃSKI

Ukazał się w sprzedaży nowy tom wierszy
JÓZEFA ŁOBODOWSKIEGO

UCZTA ZADŻUMIONYCH

Na książkę, liczącą blisko 200 stron, składają się wiersze satyryczne i fraszki, dotyczące zarówno wydarzeń wojennych, jak emigracyjnych. Ciężar gatunkowy nadaje jej poemat tytułowy, stanowiący swojego rodzaju wizję apokaliptyczną obecnego świata. Akcja rozgrywa się w wielkiej stolicy, nazwanej symbolicznie Nekropolis. Na tle prostej akcji, zmierzającej ku nieuchronnej katastrofie, autor umieszcza szereg dygresji lirycznych i satyrycznych, niekiedy wpadających w zamierzoną groteskę. Kulminacyjną scenę stanowi bankiet na zakończenie konferencji pokojowej. Nieboszczyk Stalin tańczy z bisurmańską królową. — W epilogu naukowa wyprawa Selenitów bada ruiny zniszczonego miasta.

Książkę zdobi dwubarwna okładka oraz podwójna karykatura autora. Cena franków 675. Za granicą dolarów 2 lub równowartość.

Do Belgii, Holandii, Niemiec, Szwecji, Szwajcarii, Włoch, Luksemburga oraz na terenie Francji, książki wysyłamy za zaliczeniem pocztowym, płatne przy odbiorze. Do innych państw po uprzednim otrzymaniu należności, za pośrednictwem poczty „international money order” lub czekiem na jakikolwiek bank, wystawionym na „Libella”.

Zamówienia wykonujemy odwrotną pocztą.

W Anglii — Cena 14/—, (przesyłka 3 d.)

GRYF PUBLICATIONS LTD.

171, Battersea Church Rd. — London S.W. 11.

“ LIBELLA ”

SKŁADNICA KSIĄŻKI POLSKIEJ
12, rue St-Louis-en-l'île - Paris-4^e

Telefon: DANton 51-09.

Metro: Sully Morland albo Pont Marie. Autobusy Nr 86 oraz 67.

Żądajcie naszych kompletów katalogów płyt oraz książek.

Fragmenty z dziennika

Sobota.

Dowiedziałem się od Tito, że Cesar Fernandez Moreno spisał naszą rozmowę o Argentynie i zamierza ogłosić ją w pewnym miesięczniku. Zatelefonowałem z prośbą aby mi to pokazał przed wydrukowaniem.

Ale przecież wy nic nie wiecie, jak się układało moje współżycie ze światem literackim argentyńskim. Tak, teraz uprzytamiam sobie, że dotąd nie jesteście wtajemniczeni w ten rozdział mojej biografii. Nie wątpię, że o tym chętnie posłuchacie. Czy zdołałem już na tyle wprowadzić was w siebie aby wszystko, co mnie dotyczy, nie było wam obojętne?

Jak wiadomo, przybyłem do Buenos Aires na statku „Chrobry” na tydzień przed wybuchem wojny.

Jeremi Stępowski, wówczas tutejszy dyrektor „Galu”, opiekował się mną i on to przedstawił mnie jednemu z czołowych pisarzy, Manuelowi Galvezowi. Galvez był zaprzyjaźniony z Choromańskim, który tu spędził czas dłuższy na rok przed moim przybyciem i liczne pozyskał sympatie. Okazał mi Galvez wiele najprzedniejszej gościnności i w wielu rzeczach dopomógł, ale głuchota, na którą cierpiał, spychała go na bok, w samotność — więc przekazał mnie niemiętnemu znanemu poecie, Arturowi Capdevili, który również był „amigo de Choromański”. — Ach — powiedziała pani Capdevila — jeśli pan jest równie czarujący, jak Choromański, z łatwością zdobędzie pan nasze serca.

Niestety, stało się inaczej. Nie mogę winić Argentyńczyków. Musieliby zastosować dozę przenikliwości o wiele większą, niż ta której wymaga pośpieszny młyn wielkomięjskiego obcowania z ludźmi, aby rozemnać się w moim ówczesnym szaleństwie — i być aniołami cierpliwości aby się do niego przystosować. Winna była ta „konstelacja” która powstała na moim niebie straconym...

Gdy płynąłem z Polski do Argentyny, byłem doszczętnie demoralizowany — nigdy (pomijając może okres spędzony w Pa-

ryżu na wiele lat przedtem) nie znajdowałem się w stanie takiego rozprzeżenia. Literatura? Literatura nic mnie nie obchodziła, po wydaniu „Ferdynandurke” postanowiłem odpocząć — i zresztą urodzenie tej książki było dla mnie rzeczywiście silnym wstrząsem — wiedziałem, że dużo wody upłynie zanim zdołam zmobilizować w sobie jakieś nowe treści. I w dodatku byłem jeszcze zatruty jadami tej książki, o której sam w sercu swoim nie wiedziałem na pewno czy chce być „młoda” czy dojrzała? Czy jest kompromitującym wyrazem mego wieczystego urzeczzenia młodą, więc czarującą, niższością, czy też dążeniem do dumnej, ale tragicznej i niepociągającej, dojrzałej wyższości? A gdy na „Chrobrym” mijałem brzegi niemieckie, francuskie, angielskie, wszystkie te ziemie Europy zastygły w lęku nieurodzonej jeszcze zbrodni, w klimacie duszącym oczekiwania, zdawały się krzyzczyć: bądź lekkomyślny, nic nie znacysz, nic nie zdziałasz, jedyne co ci pozostało to pijaństwo! Upijałem się przeto na swój sposób, to jest nie koniecznie alkoholem — ale płynąłem pijany, doszczętnie prawie zamroczony...

Potem pękły granice państw i tablice praw, otworzyły się upusty ślepych sił i — ach! — nagle ja w Argentynie, zupełnie sam, odcięty, zgubiony, zaprzepaszczony, anonimowy. Byłem trochę podniecony, trochę przestraszony. Ale jednocześnie coś we mnie kazało mi powitać z namiętnym wzruszeniem cios, który mnie niszczył i wytrącał z dotychczasowego mojego porządku. Wojna? Zagłada Polski? Los bliskich, rodziny? Moje własne losy? Czy mogłem przejmować się tym w sposób, jak powiedzieć, w sposób normalny, ja, któremu to wszystko z góry było wiadome, który tego dawno doznałem — tak, nie kłamię, mówiąc, że od lat obcowałem w sobie z katastrofą. Gdy to nastąpiło, powiedziałem sobie coś w rodzaju: — ach, więc już!... i zrozumiałem, że nadszedł czas aby wykorzystać tę zdolność rozstawiania się i porzucania, którą w sobie wykształciłem. Nic przecież nie zmieniło się, ten kosmos, to życie, w którym byłem uwięziony, nie stało się inne dlatego, że skończył się pewien określony ład mojej egzystencji. Ale dreszcz jakiegoś strasznego i gorączkowego podniecenia rodził się z wycucia, że gwałt wyzwała to coś nienazwanego i nieuformowanego, czego obecność nie była mi obca, żywiłem o którym tyle tylko wiedziałem, że jest „niższy”, „młodszy” — i ruszający teraz jak powódź w czarnej i gwałtownej nocy. Nie wiem czy będę dość jasny mówiąc, że od pierwszej chwili zakochałem się w tej katastrofie której nie nawidziłem, która przecież i mnie rujnowała, że moja natura kazała mi ją powitać jako okazję do połączenia się z niższością w ciemności.

Capdevila — poeta — profesor uniwersytetu — redaktor wielkiego dziennika „La Prensa” — mieszkał z rodziną w pięknej willi w Palermo i powiało na mnie z tego domu atmosferą „Kuriера Warszawskiego” i kawiarni Lourse'a. Pamiętam dzień, w którym poszedłem tam po raz pierwszy na kolację. Jak

miałem zaprezentować się Capdevilom? Jako tragiczny wygnaniec z najechaną przez wroga ojczyznę? Jako cudzoziemski literat, omawiający „nowe wartości” w sztuce, informujący się o kraju, w którym przebywa? Oczekiwał Capdevila, oczekiwała Capdevilowa, że ukażą się im w jednej z tych postaci i zresztą pełni byli potencjalnej życzliwości dla „amigo de Choromanski” — ale wręczce skonfundowali się, widząc przed sobą całkiem młodego chłopca, który wszakże nie był już tak młodym chłopcem...

Co się stało? Tak. Będę musiał to wyznać: pod działaniem wojny, spotęgowania sił „niższych” i sił regresyjnych nastąpiła we mnie irrupcja jakiejś spóźnionej młodości. Przed kłeską uciekłem w młodość i zatrzasnąłem te drzwi. Zawsze miałem skłonność do szukania w młodości — własnej i cudzej — schronienia przed „wartościami”, to jest przed kulturą. Już napisałem w tym dzienniku: młodość jest wartością samą w sobie, czyli niszczytelką wszelkich innych wartości, które nie są jej potrzebne, gdyż ona — samowystarczalna. Ja więc, wobec zagłady wszystkiego co dotąd posiadałem — ojczyzna, dom, sytuacja społeczna, artystyczna — schroniłem się w młodość, i z tym większą skwapliwością, że przecież, byłem „zakochany”. *Entre nous soit dit*, wojna odmłodziła mnie... i dwa czynniki były mi w tym pomocne. *Wyglądałem* młodo, miałem twarz świeżą, dwudziestoparoletnią. *Świat traktował* mnie jak młodzika — wszak dla przygniatającej większości nielicznych Polaków, którzy mnie czytali, byłem wariatowatym chłystkiem, zgoła niepoważną osobą — a dla Argentyńczyków byłem kimś zupełnie nieznanym w rodzaju jakiegoś debiutanta, przybyłego z prowincji, który dopiero musi się wykazać i zdobyć uznanie. A choćbym chciał narzucić się tym ludziom jako wartość i jako powaga, cóż mogłem zdziałać gdy ich język był mi nieznanym i porozumiewali się ze mną w kulawej francuszczyźnie. Więc wszystko, i mój wygląd, i moja sytuacja, i to zupełne wytrącenie z kultury, i wibracje tajne mojej duszy, wszystko pchało mnie w lekkomyślność młodzieńczą, w młoda samowystarczalność.

Capdevilowie mieli córkę, Chinchinę, dwudziestoletnią. Tak się stało, że wręczce on i jego żona przekazali mnie Chinchinie, ta zaś zapoznała mnie ze swymi przyjaciółkami. I wyobraźcie sobie Gombrowicza w tym śmiertelnym roku 1940-ym, flirtującego z lekką z tymi dziewczętami — które pokazywały mi muzea — z którymi chodziłem na ciastka — dla których wygłosiłem pogadankę o miłości europejskiej... Duży stół w jadalni Capdevilów, za stołem dwanaście panienek i ja — cóż za idylla! — mówiący o „l'amour européen”. A jednak choć ta scena wydaje się haniębnym kontrastem tamtych scen spustoszenia, w gruncie rzeczy nie była ona tak bardzo od tamtego oddalona, raczej była to inna postać tej samej kłeski, początek drogi, wiodącej również w dół. Nastąpiło jak gdyby zupełne zbagatelizowanie mej istoty. Stałem się lekki i czczy.

A jednocześnie wsiąkałem w Argentynę — odległą tam-

temu, egzotyczną i rozgrzeszającą, obojętną i oddaną własnej codzienności. Jak poznałem Rogera Pla? Chyba przez pannę Galignana Segura. Dość na tym, że on wprowadził mnie do domu Antoniego Berni, malarza, i tam także wygłosiłem pogadankę o Europie dla grona malarzy i literatów. Ale wszystko, co mówiłem, było bardzo złe — tak, właśnie w chwili gdy zdobyć takiego uznania było dla mnie sprawą niezmiernie wagi, zawiódł mnie styl, a słowo moje stało się tak kiepskie, iż nieomal kompromitujące. O czym mówiłem? O regresji Europy, o tym, jak i dlaczego Europa zapragnęła dzikości i w jaki sposób ta chorobliwa skłonność ducha europejskiego może być wyzyskana dla rewizji kultury, zbyt oderwanej od swego podłoża. Ale mówiąc to, sam byłem chyba smutnym okazem regresji i jej zawstydzającą ilustracją — było to tak, jak gdyby słowa mnie zdradzały i pragnęły właśnie udowodnić, że nie jestem na poziomie tej problematyki, że jestem poniżej tego co mówię. I do dziś pamiętam, jak na Diagonal Norte Pla ze złością robił mi wyrzuty z powodu jakichś głupich i naiwnych sentymentalności mojego wywodu — ja zaś, przyznając mu w duchu rację i nawet cierpiąc wraz z nim, wiedziałem, że to było nieuniknione. Bywają okresy w których następuje w nas rozdwojenie osobowości i jedna połowa naszej istoty płata figła drugiej, gdyż inną drogę i inny cel sobie obrała. Tam właśnie, u Bernich, poznałem się z Cecylią Benedit de Debenedetti, w której domu na avenida Alvear zbierała się rozmaita cyganeria. Cecylia żyła w jakimś zamroczeniu, zdumiona, przerażona, odurzona życiem, osaczona ze wszystkich stron, budząca się ze snu aby przetoczyć się w inny sen i bardziej fantastyczny, walcząca po chaplinowsku z materią istnienia... ona nie zdolna była wytrzymać tego, że istnieje... zresztą kobieta świetnych przymiotów, cnót wybitnych, o szlachetnej i arystokratycznej duszy. Ale, wobec tego, że była zdruzgotana i przerażona samym faktem istnienia, było jej właściwie wszystko jedno kim się otacza. Przyjęcia u Cecylii? Coś z tego pozostało jednak w mojej pamięci, tańczący Joaquin Parrez Fernandez, Rivas Rooney zalany w sztok, jakaś młodzieutka dziewczynka, bardzo ładna i rozbawiona do nieprzytomności... tak, tak, te przyjęcia zlewają mi się z wieloma innymi w innych miejscach i widzę siebie, z kieliszkiem w dłoni, i słyszę własny głos, dochodzący z daleka, zmieszany z głosem Juliety:

Ja: — *Te dwie panienki, tam, w rogu? Znasz je?*

Julieta: — *To córki tej pani, która rozmarwia z La Fleur. Opowiem ci co o niej mówią: wzięła z ulicy dwóch chłopców do hotelu i żeby ich podniecić dała im zastrzyk... ale jeden miał słabe serce i umarł. Możesz sobie wyobrazić! Dochodzenie, policja... ale miała stosunki, zatuszowano sprawę, wyjechała na rok do Montevideo...*

Nie mogłem zdradzić, jak ważna była dla mnie ta wiadomość i powiedziałem tylko:

— *Ach, tak!*

Ale wprędcie opuściłem zebranie i w argentyńską noc grana-

towną, nieruchomą, udałem się na Retiro, które znacie już z „Trans-Atlantyku”: „Tam więc wzgórze ku rzece opada i miasto do portu zstępuje i cichy wody wiew jak śpiew jaki wśród placu drzew... Tam wielu było młodych Marynarzy...” Osobom, które by to interesowało, pragnę wyjaśnić, że nigdy, z wyjątkiem sporadycznych przygód w bardzo wczesnym wieku, nie byłem homoseksualistą. Nie umiem, być może, całkowicie sprostać kobiecie, nie umiem jej sprostać w dziedzinie uczucia, gdyż istnieje we mnie jakieś zahamowanie sentymentu, jak gdybym bał się uczucia... a jednak kobieta, zwłaszcza pewien gatunek kobiety, przyciąga mnie i przykuwa. Nie szukałem więc na Retiro przygód erotycznych, ale — oszołomiony, wytracony z siebie, wydziedziczony i wykołejony, trawiony pasjami ślepymi, które rozniecił we mnie mój walący się świat i bankrutujący los — czego szukałem? Młodości. Mogłbym powiedzieć, że szukałem razem młodości własnej i cudzej. Cudzej — gdyż tamta młodość w marynarskim czy żołnierskim mundurze, młodość tych arcyzwykłych chłopców z Retiro, była mi niedostępna, tożsamość płci, brak pociągu seksualnego, wykluczały wszelką możliwość zespolenia i posiadania. Własnej — gdyż ona była jednocześnie moją, urzeczywistniała się w kimś, jak ja, nie w kobiecie, ale w mężczyźnie, była to ta sama młodość, która mnie porzuciła, teraz kwitnąca w kimś innym. I otóż dla mężczyzny, młodość, piękność, wdzięk kobiety nigdy nie będą tak kategoryczne w swoim wyrazie — gdyż kobieta jest jednak czymś innym, a także stwarza możliwość tego, co w pewnej mierze biologicznie nas ratuje: dziecka. A tu, na Retiro, widziałem, aby tak się wyrazić, młodość samą w sobie, niezależną od płci, i doznawałem kwitnienia rodzaju ludzkiego w formie najostrożniejszej, najbardziej radykalnej i — wobec tego, że była napiętnowana beznadziejnością — demonicznej. A do tego — w dół, w dół, w dół! To ściągało mnie w dół, w najniższą sferę, w krainę poniżenia, tu młodość, raz już poniżona jako młodość, poddana była jeszcze wtórnemu poniżeniu, jako młodość gminna, proletariacka... I ja, Ferdydurke, powtarzałem trzecią część mojej książki, historię Miętusa, usiłując go „bratać się” z parobkiem!

Tak, tak! W to mnie popchnął splot tendencji, którym podlegałem w chwilach gdy w dawnej ojczyźnie mojej poniżenie osiągnęło swoje dno i pozostawało już tylko parcie do góry... to była nowa ojczyzna, którą zastępowałem powoli tamtą. Ileż razy zdarzało mi się porzucać artystyczne lub towarzyskie zebrania aby tam, na Retiro, na Leandro Alem, włożyć się, popijać piwo i z najwyższym przejęciem łowić błyski Bogini, sekret życia rozkwitającego, a zarazem poniżonego. We wspomnieniach moich wszystkie te dni normalnego mego bytowania w Buenos Aires podszyte są nocą Retiro. Aczkolwiek ślepa i głucha na wszystko obsesja zaczynała opanowywać mnie całkowicie, umysł mój pracował — zdawałem sobie sprawę, że zabrnąłem gdzieś na niebezpieczne pogranicze i, naturalnie, pierwsze co mi przyszło do głowy to iż torują sobie we mnie drogę podświadome

homoseksualistyczne skłonności. I, może z zadowoleniem powitałbym ten fakt, gdyż on przynajmniej umieściłby mnie w jakiejś rzeczywistości — ale nie, w tym samym czasie nawiązałem bliższe stosunki z kobietą, których intensywność nie pozostawiała nic do życzenia. I w ogóle w tym okresie dość dużo chodziłem za dziewczynkami, nieraz nawet trybem dosyć skandalicznym. Proszę darować te zwierzenia. Nie zamierzam oprowadzać was po moim życiu erotycznym, tu idzie tylko o wyznaczenie granic mojego przeżycia. Jeżeli z początku ja tylko chroniłem się w młodość przed niedostępnymi mi wartościami, to wkrótce ona ukazała mi się jako jedyna, najwyższa i absolutna wartość życia i jedyna piękność. Ale ta „wartość” miała jedną cechę, wymyśloną chyba przez samego diabła, tę mianowicie, że, będąc młodością, była czymś zawsze poniżej wartości — była jak najściślej związana z poniżeniem, była samym poniżeniem.

Chyba w 42-im roku zaprzyjaźniłem się z poetą Karolem Mastronardi — była to moja pierwsza przyjaźń intelektualna w Argentynie. Nieliczne wiersze Mastronardiego zapewniły mu znaczne miejsce w sztuce argentyńskiej. Z okładem czterdziestoletni, subtelny, w binoklach, ironiczny, sarkastyczny, hermetyczny, trochę może w rodzaju Lechonia, był ten poeta z Entre Rios prowincją, ozdobioną najbardziej paryską europejskością — był zarazem anielską dobrocią odzianą w pancerz kostycyzmu — był skorupiakiem, chroniącym swoją nadczułość. Zaciekał go rzadki podówczas w Argentynie egzemplarz kulturalnego Europejczyka i nieraz spotykaliśmy się w barze o nocnej godzinie... co miało dla mnie także gastronomiczne znaczenie, gdyż od czasu do czasu fundował ravioles albo spaghetti. Stopniowo odkryłem mu moją przeszłość literacką, opowiedziałem o Ferdynandzie i o innych sprawach, a wszystko co było we mnie słowiańskie i odmienne od sztuki francuskiej, hiszpańskiej, angielskiej, jakie znał, żywo go interesowało. I, z kolei, wtajemniczał mnie w zakulisową Argentynę, w kraj niełatwy i w dziwny sposób wymykający się im, intelektualistom, a nawet dla nich częstokroć przerażający. Lecz z mojej strony gra była bardziej zamaskowana — bardziej zamaskowana, gdyż niedozwolona. Nie mogłem powiedzieć wszystkiego. Nie mogłem wyjawiać tego miejsca we mnie, owianego nocą, które nazwałem „Retiro”. Często wałem Mastronardiego pracą mego wykołejonego mózgu, który szukał jakichś „rozwiązań”, nie wymieniając źródeł mojej inspiracji — i on nie wiedział skąd bierze się we mnie namiętność, z jaką uderzałem we wszelką „starszość”, z jaką domagałem się aby w kulturze (opartej na supremacji wyższości, starszości, dojrzałości) ujawniony został ten prąd, z dołu bijący, który z kolei uzależnia starszość od młodszości, wyższość od niższości. Żądałem aby „Dorosły został poddany Młodsze”. Żądałem aby na koniec została zalegalizowana ta dążność nasza do nieustannego odmładzania się i aby Młodość uznana została jako osobna i autentyczna wartość, która zmienia nasz stosunek do innych wartości. Musiałem nadawać pozór rozumowania temu co w rzeczy-

wistości było we mnie pasją i to prowadziło mnie w bezmiar konstrukcji myślowych, które naprawdę były mi obojętne... ale czyż nie w ten sposób rodzi się myśl: jako obojętny surogat ślepych dążeń, potrzeb, namiętności, którym nie umiemy wywalczyć prawa obywatelstwa pośród ludzi. Czynnikiem odciążającym w tym dialogu było dzieciństwo, gdyż Mastronardi, prawie tak dziecinny, jak ja, umiał na szczęście bawić się mną, jak ja nim się bawiłem. Dzieciństwo, będąc czymś pokrewnym młodości, jest jednak nieskończenie mniej drastyczne; dlatego łatwiej jest człowiekowi dojrzalemu być dziecinny niż młodzieńcem; dlatego ja prawie zawsze stawałem się dziecinny w obliczu demona zieleni, z którym rady dać sobie nie mogłem. Jednakże o ile chciałem tylko być dziecinny, a o ile byłem naprawdę dziecinny? O ile chciałem być młody, a o ile byłem naprawdę jakąś spóźnioną młodością? O ile było to moje, a o ile było tylko czymś, w czym byłem zakochany?

Mastronardi był w zażytych stosunkach z grupą Wiktorii Ocampo, najpoważniejszym ośrodkiem literackim kraju, koncentrującym się wokół miesięcznika „Sur”, wydawanego przez nią i Wiktorię — damę już starszą i arystokratyczną, siedzącą na grubych milionach, której entuzjastyczny upór sprawił, że stała się przyjaciółką Paul Valéry, że gościła u siebie Tagorego i Keyserlinga, że była na herbatce u Bernarda Shaw i że pokumała się ze Strawińskim. Jak dalece zaważyły na tych majestatycznych poufałościach pani Ocampo jej miliony, a jak dalece jej osobiste, niewątpliwe, zalety i talenty — pytanie, którego nie silę się rozwiązać. Natrętny zapaszek tych milionów, ta perfuma finansowa pani Ocampo, nazbyt może kręcąca w nosie, zrażały mnie do zawierania z nią znajomości. Opowiadano o niej, że jeden pisarz francuski o znanym nazwisku upadł przed nią na kolana, krzycząc, że nie wstanie póki nie otrzyma kilkudziesięciu tysięcy na założenie literackiej revue. Pieniądze otrzymał, gdyż — powiedziała Ocampo — cóż miałam począć z człowiekiem, który klęczał i nie wstawał? Musiałam mu dać. Co do mnie, podejście tego francuskiego pisarza do pani Ocampo wydawało mi się jeszcze najzdrowsze i najszczerze, ale z góry wiedziałem że, nie będąc znany w Paryżu, nic z niej nie wydebuję choćbym klęczał miesiącami. Nie śpieszyłem się więc z pielgrzymką do rezydencji w San Isidro. Zresztą Mastronardi, słusznie obawiając się że „el conde” (bo, jak już wspominałem gdzie indziej, ogłosiłem się hrabią) gotów zachować się dziwacznie a nawet niepożyczalnie, również ociągał się z wprowadzeniem mojej osoby na te reuniony. Postanowił naprzód przedstawić mnie siostrze Wiktorii, Sylwinie, żemężnej za Adolfem Bioy Casares. Pewnego wieczoru wybraliśmy się tam na kolację.

Potem wielu innych poznałem literatów, spory procent literatury argentyńskiej — ale zatrzymuję się dłużej na tych pierwszych moich krokach, gdyż następne nie wiele się od nich różniły. Sylwina była „poetizą”, wydawała co pewien czas tomiki... mąż jej, Adolfo, był autorem wcale dobrych powieści fantastycz-

nych... i to kulturalne małżeństwo przesiadywało dzień cały w poezji, w prozie, uczęszczając na wystawy i koncerty, studiując francuskie nowości, kompletując zbiór płyt gramofonowych. Jednakże na tej kolacji był także Borges, najbardziej chyba utalentowany argentyński pisarz, o inteligencji wystrzonej na osobistym cierpieniu — ja zaś, słusznie czy niesłusznie, uważałem że inteligencja jest moim paszportem, czymś co zapewnia moim symplizmom prawo przebywania w świecie cywilizowanym. Ale, pomijając trudności techniczne, moją oporną hiszpańszczyznę tudzież wady wymowy Borgesa — który mówił prędko i niezrozumiale — pomijając moją niecierpliwłość, dumę, złość będące następstwem bolesnego egzotyizmu i spętania w obcości, jakież były możliwości porozumienia pomiędzy mną a tą Argentyną intelektualną, estetyzującą, filozofującą? Mnie fascynował w tym kraju dół, a to była góra. Mnie urzekła ciemność Retiro, ich — światła Paryża. Dla mnie owa niewyznana, milcząca młodość kraju była wibrującym potwierdzeniem moich własnych stanów uczuciowych i dzięki temu kraj porwał mnie jak melodia — czy jak zapowiedź melodii. Oni nie dostrzegali w tym żadnej piękności. I dla mnie, jeśli było coś w Argentynie co osiągało pełnię swego wyrazu i mogło imponować jako sztuka, styl, forma, to coś pojawiało się tylko we wczesnych stadiach rozwojowych, w młodzieńcu, nigdy zaś w dorosłym. Cóż jednak jest ważne w młodzieńcu? Przecież nie jego rozum, ani doświadczenie, wiedza, technika, które są zawsze gorsze, słabsze niż w człowieku już wyrobionym i skonsolidowanym, ale właśnie i wyłącznie jego młodość — oto jego jedyna atutowa karta. Lecz oni nie dostrzegali w tym żadnego atutu i ta argentyńska elita przypominała raczej młodzież potulną i pilną, której ambicją było nauczyć się jak najprędzej od starszych starszości. Ach, nie być młodością! Ach, mieć dojrzałą literaturę! Ach, dorównać Francji i Anglii! Ach, dorosnąć, prędko dorosnąć! A zresztą w jakim sposób mogliby być młodzi, skoro osobiście, rzecz jasna, to byli już ludzie w pewnym wieku, i ich osobista sytuacja kłóciła się z tą ogólną młodością kraju, ich przynależność do wyższej klasy społecznej wykluczała prawdziwe zespolenie się z dołem. Więc Borges, na przykład, to był ktoś kto liczył się tylko z własnymi latami, odrzucając się zupełnie od podłoża, to był dojrzały człowiek, intelektualista, artysta, który przypadkiem urodził się w Argentynie, choć równie dobrze a nawet lepiej mógł być urodzić się na Montparnasse.

A jednak atmosfera kraju była taka, że w niej ten Borges międzynarodowo wyrafinowany, gdyż, jeśli był Argentyńczykiem, to był nim po europejsku, nie mógł uzyskać wydzwieku. Był czymś dodatkowym, jak przyklejony, był ornamentem. Ocieślałoby się o nonsens żądanie aby on, będąc starszy, mógł wypowiedzieć bezpośrednio młodość, aby, będąc wyższy, mógł dosłownie wypowiedzieć niższość. Ale miałem im za złe, że nie umieli wypracować własnego stosunku do kultury, zgodnego ze swoją rzeczywistością i z rzeczywistością Argentyny. Jeżeli na-

wet pod względem osobistym niektórzy z nich byli dojrzały, to jednak przebywali w kraju gdzie dojrzałość była słabsza od nie-dojrzałości i tu, w Argentynie, sztuka, religia, filozofia nie były jednak tym samym co w Europie. Zamiast przeto przeplancowywać je żywcem na grunt tutejszy i potem jęczeć, że drzewko jest rachityczne — czyż nie byłoby lepiej aby hodowali coś zgodniejszego z naturą swojego gruntu?

Dlatego ta potulność sztuki argentyńskiej, jej poprawność, jej mina dobrego ucznia, jej dobre wychowanie, były dla mnie świadectwem impotencji wobec własnego losu. Wolałbym twórczą gaffę, błąd, niechlujstwo nawet, ale wypełnione energią, pijane poezją, którą oddychał kraj, a obok której oni przechodzili z nosem wsadzonym w książki. Nieraz próbowałem powiedzieć temu lub owemu Argentyńczykowi to samo co, zresztą, nieraz mówiłem Polakom: — Przerwij na chwilę pisanie wierszy, malowanie obrazów, rozmowy o surrealizmie, zastanów się na przód czy to cię nie nudzi, sprawdź, czy to wszystko jest dla ciebie takie ważne, pomyśl, czy nie będziesz bardziej autentyczny, swobodny i twórczy lekceważąc bogi, do których się modlisz. Przerwij to na chwilę aby się zastanowić nad twoim miejscem w świecie i w kulturze i nad wyborem twych środków i celu. Ale nie. Pomimo całej swojej inteligencji nie rozumieli w ogóle o co mi chodzi. Nic nie mogło zahamować toku kulturalnej produkcji. Wystawy. Koncerty. Odczyty o Alfonsinie Storni lub o Leopoldo Lugones. Komentarze, glossy i studia. Powieści i nowele. Tomiki poezji. I zresztą czyż nie byłem Polakiem i czyż nie wiedzieli, że Polacy nie są na ogół „finos” i w ogóle nie na wysokości problematyki paryskiej? Więc zdecydowali, że jestem dosyć mętnym anarchista z drugiej ręki, z tych co to, w braku głębszego uświadomienia, proklamują „élan vital” i gardzą tym czego nie mogą zrozumieć.

Tak oto kończyła się kolacja u Bloy Casaresów.. na niczym... jak wszystkie kolacje spożyte przeze mnie z literaturą Argentyny. I tak mijał czas... mijała noc Europy i noc moja, w ciągu której rozbudowywała się w ciężkich bólach moja mitologia... i mógłbym dziś przedstawić listę słów, rzeczy, osób, miejsc które mają dla mnie posmak ciężkiej, poufnej świętości — to był mój los, moja świątynia. Gdybym wprowadził was do tej katedry zdziwilibyście się widząc, jak nieważne a czasem wręcz nędzne i godne pogardy, aż śmieszne w swojej drobnej pospolitości były te sacra którym kult oddawałem — ale przecież świętość nie mierzy się wielkością bóstwa tylko zawziętością duszy, która sobie uswieca — byle co. „Nie można walczyć z tym co dusza sobie wybierze”. Pod koniec 1943 roku zaziębiłem się i pozostała mi podgorączka, która nie chciała ustąpić. Grywałem wówczas w szachy w kawiarni Rex na Corrientes, a Frydman, dyrektor sali szachowej, szlachetny i dobry przyjaciel, zaniepokoił się moim stanem zdrowia i wydosłał trochę pieniędzy aby mnie wysłać w kordobeńskie góry — co uskuteczniłem z zadowoleniem — ale i tam gorączka nie ustępowała aż

wreszcie bęc, tłucze się termometr, pożyczony od Frydmana, ja kupuję nowy termometr i... znika gorączka — tak to pobyt paromiesięczny w La Falda zawdzięczam temu że frydmanowski termometr był zepsuty i wskazywał o kilka strychów za dużo. Pobyt został okraszony tym, że w sąsiednim Valle Hermoso zamieszkała (co było między nami ukartowane) pewna znajoma moja, Argentynka, którą poznałem za pośrednictwem Cleo, siostry tancerki Rosity Contreras.

Przybywając do La Falda nie wiedziałem, że czekają mnie straszne i śmieszne przeżycia.

Wszystko dobrze się układało. Zamieszkałem w hotelu San Martin, wyzwolony z kłopotów materialnych, i wkrótce poznałem parę ucieśnych bliźniaków (już o nich pisałem); z nimi i z inną młodzieżą chodziłem na wycieczki i pozyskałem nowych przyjaciół w których budzące się życie drżało, jak koliber, na których osiadał uśmiech, ten uśmiech będący jednym z najszlachetniejszych zjawisk, jakie znam, gdyż dokonywuje się wbrew wszystkiemu, wbrew przede wszystkim niezmiernemu smutkowi, przyniatającej nostalgii i żalości tych lat, skazanych na nienasytę. Znać te lekkomyślne wakacje w górach lub nad morzem — kapelusz porwany wiatrem, sandwich zjadany na skale, lub przemoknięcie na deszczu — i porozumienie moje z Ameryką Łacińską, będące odświeżeniem ras wspaniałych Europy, zdumiewająco cichą i dyskretną w swoim jakże uprzejmym bytowaniu, wydawało się niczym niezmacone (wówczas brat mój i bratanek znaleźli się w obozie koncentracyjnym, matka z siostrą, uszedszy ze zburzonej Warszawy, błąkały się na prowincji, a nad Renem rozlegał się ryk zgrozy i bólu ostatniej kontrofensywy niemieckiej; ale ten ryk, ten krzyk, o którym nie zapomniałem, wzmagają moją ciszę). Nie trzeba wyobrazić sobie, że obcując z tymi chłopcami, zachowywałem się jak gdybym był jednym z nich, ależ skąd, na to nigdy by mi nie pozwoliło poczucie śmieszności — zachowywałem się jak starszy, gardząc nimi, szydząc, drażniąc, wyzyskując wszystkie przewagi dorosłego. Ale to właśnie ich zachwycało i rozżarzało ich młodzieńczość, a jednocześnie poza tą tyranią ustalało się tajne porozumienie oparte na tym żeśmy byli sobie wzajem potrzebni. Wszelako pewnego dnia, przejrzawszy się dokładnie w lustrze, ujrzałem coś nowego na mej twarzy: subtelną sieć zmarszczek, wyłaniającą się na czole i pod oczami, oraz w kącikach ust, jak wyłania się pod działaniem chemikaliów złowroga treść niewinnego na pozór listu. Przekłeta moja twarz! Twarz moja zdradzała mnie, zdrada, zdrada, zdrada!

Czy suchość powietrza? Czy woda wapienna? Czy też po prostu nadszedł moment nieunikniony, w którym moje lata przebiły się przez kłamstwo mej młodzieńczej cery? Ośmieszony, upokorzony jakością tego cierpienia, zrozumiałem, wpatrując się we własną twarz, że oto koniec, kres, finał, kropka i punkt! Na szosach, wychodzących z La Falda, istnieje granica, na której kończą się światła domków i hoteli a zaczyna ciemność prze-

strzeni, łamiącej się we wzgórze i zarośniętej karłowatymi drzewkami, przestrzeń karłowata, połamana, jakby kaleka i skażona. Nazwałem za Conradem tę granicę „smugą cienia” i gdy nocami przekraczałem ją, udając się do Valle Hermoso, wiedziałem że wchodzę w śmierć, o, śmierć nieznaczną, delikatną i powolną, jeśli chcecie, ale w konanie... że ja sam jestem starzeniem się i żywą śmiercią, która udaje życie, która jeszcze chodzi, mówi, nawet zabawia się, nawet używa, a jednak jest naprawdę żywotna już tylko jako stopniowe urzeczywistnianie śmierci. Jak Adam wygnany z raju, tak ja zapuszczałem się w ciemność, poza smugą cienia, wyzuty z życia, które tam, poza mną, rozkoszowało się sobą w promieniach łaski. Tak, mistyfikacja musiała się wydać, pewnego dnia musiało się urwać to nieprawne i spóźnione przebywanie w życiu rozkwitającym i oto teraz jestem starzeniem się, ja, zatruty, ja, wstrętny, ja — dorosły! A to napędzało mnie okropnym przerażeniem, gdyż rozumiałem, że już ostatecznie jestem wyrzucony z czaru i że nie mogę się podobać naturze, tak, jeżeli młodość mniej lęka się życia to dlatego, że sama jest życiem pociągającym, zniewalającym, czarującym i wie ona, że jest sympatyczna i może liczyć na życzliwość... To więc był powód, dla którego tak garnałem się do rozkwitania, ale teraz, na tej ziemi nagle oschłej i pod sklepieniem bezlitosnym gwiazd musiałem wytrzymać napór bytu, sam będąc bytem skażonym, nie mogąc zjednać sobie niczego — niepociągający!

I tu okazuje się jakim wyzwoleniem jest płęć, to rozłamanie na mężczyznę i kobietę... Gdy bowiem, u kresu mej krzyżowej drogi, dobijałem od wiadomej willi, gdzie oczekiwała na mnie moja przyjaciółka, cała panorama mego losu zmieniała się i było to jak wtargnięcie innej, nowej siły, wywracającej całą moją „konstelację” do góry nogami. Siły obcej! Oczekiwała tam na mnie młodość, ale inna, wcielona w kształt ludzki, ale odmienny od mego — i te ramiona, zarazem identyczne i egzotyczne, czyniły mnie naraz kimś innym, zmuszały abym w tych objęciach zgrał się z obcością jako jej uzupełnienie. Kobięcość nie żądała ode mnie młodości, lecz męskości, i ja stawałem się tylko mężczyzną, zaborczym, zdolnym posiadać, anektującym cudzą biologię. Potworność męskości, nie liczącej się z własną brzydota, nie dbającej o podobanie się będącej aktem ekspansji, i gwałtu i — przede wszystkim — panowania, ta pańskość szukająca tylko własnego zadowolenia... być może przynosiło mi to chwilową ulgę... to było jak gdybym przestał być istotą ludzką, trwożną, zagrożoną, a stał się panem, posiadaczem, suwerenem... i ona, kobieta, we mnie chłopca mężczyzną zabijała. Ale nie trwało to długo.

Trwało póki Byt rozdzielał się, mocą płci, na dwa bieguny. Gdy nad ranem wracałem do domu w chłodnym przedświcie, wszystko dookoła mnie znów zasklepiło się w okrąg, przed którym nie było ucieczki — czułem się jak oszust lub jak ktoś kto padł ofiarą oszustwa — i świadomość umierania znów wdzierała się we mnie. Byłem już opatrzony znakiem negatywnym.

Byłem w opozycji do życia. Kobieta nie była w stanie uratować mnie, kobieta mogła mnie zbawić tylko jako mężczyznę, ale ja przecież byłem także istotą żywą po prostu, niczym więcej. I znów powracało pragnienie młodości „mojej”, to jest takiej, jak ja, tej która powtarzała się obecnie w innych, młodszych... to więc było dla mnie jedyne miejsce życia, w którym działo się kwitnienie, moje kwitnienie, to coś absolutnie urzekającego, czego byłem pozbawiony. Wszystko inne było upokorzeniem, było kompensacją. Jedyne triumf, jedyna radość w ludzkości potwornej, zdartej, znużonej, zrozpaczonej i shańbionej. Znajdowałem się wśród potworów, ja — potwór. Rozglądając się po domkach, rozrzuconych w dolinie, pełnych bylejakich chłopców, śpiących banalnym snem, myślałem, że tam do nich przeniosła się moja ojczyzna.

Powróciłem do Buenos Aires w przeświadczeniu, że nic mi nie pozostaje... nic przynajmniej co by nie było surogatem. Jechałem z moją upokarzającą tajemnicą, której wstydiłem się zwierzyć komukolwiek, gdyż było to „niemęskie” a ja, mężczyzna, byłem przecież poddany mężczyznom — i huczny a rubaszny śmiech tych ciężkich samców groził mi za to jedno, że się wylamałem z ich zaborczego kodeksu. W Rosario pociąg zaroił się dwudziestolatkami, to marynarze wracali do bazy w Buenos Aires.

Na razie dość, już ręka mnie boli od pisania. Ale nie na tym koniec moich wspomnień z owych jeszcze niedawnych lat w Argentynie.

Witold GOMBROWICZ

PREUVES

REVUE MENSUELLE LITTERAIRE ET POLITIQUE

publie notamment dans son numéro de

MARS

ANDRE MALRAUX : Lignes de force; ROGER CAILLOIS : Lois de la guerre en Chine; GEORGES GORSE : Golovkine et le bonheur; THIERRY MAULNIER : Réflexions sur la co-existence pacifique; NICOLA CHIAROMONTE : La scène et l'écran en Italie; HERBERT LUTHY : Le «grand tonneau»; MICHEL SEUPHOR : Klee ou la création ininterrompue.

Le numéro de 104 pages, hors-texte : 180 fr.

PREUVES : 23, rue de la Pépinière, Paris (8^e).

C.C.P. 178-00 Paris.

Un ancien numéro sera envoyé gracieusement sur demande comme spécimen.

Dolina Issy (2)

XXII

Miało się ku wiosnie, lód na sadzawce zachodził wodą i zacieraly się na nim rysy po butach Tomasza — ślizgał się albo bawił się samym stukaniem w zieloną taflę, w której, niedosięgalne, zakrzepły owady i liście wodorostów. Śnieg już był zmęczony, w południe kapało z dachu i krople żłobiły wzdłuż domu linie dziurek. Wieczorem jasna różowość światła na białych garbach gęstniała w żółtość i karmin. Ślady ludzi i zwierząt ciemniały zebraną w nich wilgocią.

Tomasz zawzięcie rysował, z rozpędu jakiego nabrał wskutek przywiezienia przez babkę Dilbinową ilustrowanych pism niemieckich. W nich oglądał armaty, tanki i aeroplan „Taube”, który bardzo mu się podobał. Aeroplan dwa razy pojawił się nad Giniem, ale wysoko, ludzie zbierali się i pokazywali palcami w niebo, skąd szło brzęczenie. Ale teraz Tomasz przekonał się jak wygląda naprawdę. Na jego rysunkach żołnierze biegli do ataku (ruch nóg oddać nie jest trudno, trzeba ich patyczki zgiąć tam gdzie kolano), przewracali się, z łuf wydobywały się pęki prostych linii i kule mknęły — rzędy przerywanych kresek. I „Taube” przesuwiał się nad tym wszystkim.

Zanim przystąpi się do zdarzenia, mającego bądź co bądź pewien związek ze scenami, jakie wymyślał na papierze, trzeba podać rozkład pokoi w skrzydle domu. Zamieszkiwano w zimie tylko tę część, która miała okna na sad, to jest do wewnątrz kąta tworzonego przez stary dwór i dobudowę. Najpierw tkalnia (tam gdzie pracował Pakienas), później nic, skład na wełnę i nasiona, dalej pokój babki Dilbinowej, za nim ten, w którym sypiał To-

masz. Następnie dziupla babci Misi i już w samym rogu dziadek.

Tego ranka Tomasz obudził się wcześniej, bo było mu jakoś zimno, przewracał się i kulił, ale nie pomagało, dmuchało na niego mroźne powietrze. Odwrócił się od okna, zaciągnął kołdrę na szyję i przyglądał się słońcu na ścianie. Pod ścianą, na wielkiej płachcie rozsypano mąkę żeby przeschła. Leniwie wodząc oczami po niej, nagle zaciekał się: błyszcząco coś w niej, jakby kryształki lodu czy soli. Zerwał się i przykucnął dotykając: okruchy szkła. Wtedy, zdziwiony, oglądał się za siebie na okno. W szybie dziura tak na dwie pięści i naokoło rysy rozpryskiwały się gwiazdźście. Pobiegł zaraz do babci Misi, wołając że ktoś w nocy cisnął z sadu kamieniem.

Nie był to jednak kamień. Szukano długo, wreszcie dziadek wyszperał pod łóżkiem Tomasza, w samym kącie, czarny przedmiot i powiedział, żeby go nie ruszać. Posłano do wioski po kogoś, kto służył w wojsku. Czarny przedmiot, Tomasz mógł potem obejrzeć go dowoli, był podobny do dużego jajka, bardzo ciężki. Okrężał go w środku jakby ząbkowany kołnierz. W sadzie pod oknem znalezione ślady butów i zapalnik. Przypomniano też, że psy w nocy szczególnie zajadłe ujadają.

Granat nie wybuchł, ale mógł wybuchnąć i wtedy złożono by pewnie Tomasza pod dębami, niedaleko Magdaleny. Świat dalej by trwał, wróciłyby jak co roku z zamorskich podróży jaskółki, bociany i szpaki, a osy i szerszenie tak samo spijałyby słodycz z gruszek. Dlaczego potrzeba było, żeby nie wybuchnął, nie do nas tutaj należy sądzić. Uderzył o ścianę, odbił się i toczył się ku łóżku Tomasza a dojrzywała w jego wnętrzu decyzja na samej granicy tak i nie.

Dziadek Surkont zmartwił się. Na wszystkie opowieści o napadach na dwory, o przykład do czego nie było trudno tuż na wschód, łagodnie chrząkał i obracał te strachy w żart. Nawet kiedy po lasach włóczyły się gromady rosyjskich „plenników” żyjących z bandytyzmu, nie nakazał żadnych ostrożności. A ktoś z okolicznych mieszkańców miałby na niego napadać? Czyż nie znano go tu od dziecka i czyż wyrządził komuś krzywdę? Chyba mimowoli? Co do nienawiści między Polakami i Litwinami, to Polakom perswadował, że Litwini mają prawo do swego państwa i że oni, ci mówiący po polsku, są też przecie tak jak on „gente Lithuani”. Ale granat został rzucony. Przez kogo i przeciw komu? Liczono okna: jedno dziadka, dwa babci Misi, dwa w pokoju Tomasza. Gdyby to zrobił ktoś dobrze znający dom, nie celowałby przecie w dziecko. Więc albo ktoś z daleka, albo orientujący się mniej więcej i pomylił się.

Babci Misi wcale to nie przejęło, że mogłaby być nie lubiana do tego stopnia. Wylała na dziadka zwykłą porcję o jego litwo-

maństwie i chłopomaństwie i o tym, że on taką teraz dostaje zapłatę. Nie zdawała się też bardzo troszczyć o własne bezpieczeństwo, zresztą o jakieś środki zaradcze było trudno: drewniane okiennice zamykały się od zewnątrz i tylko do okiennicy babci Dilbinowej wygrzebano teraz kłódkę, bo się naprawdę bała; rozpieszczała Tomasza po owym cudownym ocaleniu bardziej niż kiedykolwiek i z głębi kufra, który mieścił nigdy do końca niezbadane skarby wyciągnęła podłużne pudełeczko z prawdziwymi farbami i pędzelkiem. Pierwszym jego malowidłem był gil; bo gil (a ciągle łuskały swoje ziarenka w krzakach koło domu) to duża masa czerwieni, do niej dodaje się niebieski zmieszany trochę z szarym, trochę z czarnym. Gil i pstry dzieciół z czerwona głową, stukający wysoko i strząsający z drzew białą okiść są największymi niespodziankami zimy.

Zdarzenie z granatem nie wkraczało w zasięg podróźniczych i wojennych fantazji Tomasza. Skradająca się siła, ciemność nocy, nie jego żołnierze i piraci. Choć ślady na śniegu pobudzały go do wyobrażania sobie długich butów, kurtek ściągniętych paskiem, naradzań się szeptem. Zalegała się w nim podejrzliwość i ploszył się, kiedy spotkał jednego z tych młodych chłopów, od których niesło czymś groźnym, nabytym przez nich w wojsku. Co prawda już latem, ile razy zbliżał się do Issy, stąpał z ostrożnością Indianina, bo przesiadywali tam w gąszczu, rozlegały się śmiechy i gwizdy. Strzelali z karabinu i kule szyły po powierzchni wody jak płaskie kamyki. Miru w wiosce nie mieli, odgradzali się od innych. Akulonis wygrażał im pięścią i wymyślał od żulików, ponieważ ploszyli ryby i raz nawet głuszyli granatami, przez co wywołali powszechne oburzenie: takie rybactwo jest za łatwe, nieprzyzwoite.

Ze środków bezpieczeństwa zastosowano właściwie tylko jeden. Do tkalni wstawiono łóżko i przeniósł się tam ze świrna Pakienas, co nie stanowiło szczególnie pewnej opieki. Mówiono o nim, że jest okropnym tchórzem, co datowało się być może jeszcze od jego wrzasków, jakie wyprawiał, kiedy dopadł żywych ludzi po swojej ucieczce przed duchem skierdzia. Zresztą do takich posądzeń skłania czyjś wygląd, w tym wypadku jego wylające oczy, ruszające się jak u raka. Pakienas prócz sękatego kija miał stary rewolwer, ale brakowało do niego naboi.

XXIII

Józef Czarny piął się pracowicie drogą od wioski. Grząził w kaszy śniegu zmieszanego z końskim nawozem, a w koleinach wygładzonych przez płozy sań ciurkały strumyczki. Rozpiął swoją

kurtkę z siwego grubego samodziału. Przed krzyżem uchylił czapki i mrużył oczy od blasku: biała spadzizna, nad nią na skraju parku biel ściany dworskiego śpichrza. W dole, nad Borkiem, w buchcie Issy, wrony krążyły z przedwiosennym krakaniem.

Nie skręcił w aleję, minął jej wylot i wzdłuż sadu skierował się na kumietynię. Dawniej we wszystkich chatach, stojących po obu stronach drogi, mieszkali kumiecie czyli inaczej ordynariusze pracujący na dworskim. Teraz tylko kilka z nich było przez nich zajętych, w reszcie siedzieli różni, biedota chodząca na zarobek to tu, to tam. Józef grzecznie odpowiadał na przywitania, ale zbyt mu się spieszyło, żeby się zatrzymywał. Za kumietynią, koło krzyża z blaszanym daszkiem, zwrócił się na prawo, ku wiosce Pogiry i ciemnej linii lasu.

Pogiry to długa wioska, jej główna ulica ciągnie się sponad wiorstę, a ma również drugą, poprzeczną ulicę. Dość bogata wioska, nie napotka się tutaj dachów krytych słomą ani kurnych chat. Sady nie wiele gorsze niż w Giniu. Hodują też dużo pszczoł, które zbierają ciemny miód z gryk, koniczyn i leśnych łąk. Józef przy trzeciej chacie za dworem Bałudisa, Amerykańca, pomalowanym na zielono, zatrzymał się i zajrzał nad ostrymi deskami płotu. Stary mężczyzna w brązowym, wełnianym kaftanie (owce w Pogirach trzymają przeważnie brązowe i czarne) ociosywał na podwórzu kłodę. Józef pchnął wrota i kiedy uściśnęli sobie ręce, zauważył, że niczego sobie jodła. Stary zgodził się, że niczego i że przyda się, bo świronek trzeba podeprzeć. Jodła trafiła tu pewnie przez Baltazara, ale to do Józefa nie należało.

Młody Wackonis wylazł skądś zaspany. Wyczesywał palcami słomę i pierze z włosów i świadczył Józefowi swój trochę zawstydzony szacunek, a równocześnie obserwował go niepewnymi oczami. Ubrany był w granatowe spodnie galife i w wojskową bluzę. Jego szeroka, kocia twarz zachmurzyła się, kiedy Józef oznajmił, że ma do niego sprawę.

Odstawiając cynowy kubek i ocierając wąsy wierzchem dłoni, Józef przyglądał mu się bez słowa. Wreszcie oparł łokcie o stół i powiedział:

— A ot, ja wiem.

Tamten w kącie ławy, w rogu, zatrzepotał powiekami, ale zaraz powieki opuścił, sennie. Wzruszenie ramion.

— Nic nie ma tu do wiedzenia.

— Albo nie ma, albo jest. Ja do ciebie przychodzę, bo ty durny. Kto ciebie czytać nauczył? Może już nie pamiętasz?

— Wy.

— Aj, aj, to może po to, żebyś rzucał w ludzi granatami?

Wackonis podniósł powieki. Twarz miał teraz dorosłą i poważną.

— A jeśli to ja, to co? Nie w ludzi, a w panów.

Józef położył czeczotkową tabakierkę na stole i skręcał sobie papierosa. Wsadził w cygarniczkę, zapalił, pociągnął.

— Ty może widziałeś, żebym ja z panami trzymał?

— Nie widziałem, ale widzę.

— Ojciec tobie nie powie, to ja powiem. Ty słuchaj mądrzejszych, a nie takich samych jak ty. U was w głowie pusto.

Wackonis założył ręce na piersiach, drgał mu muskuł w szczęce.

— Panowie krew naszą pili i nam ich nie potrzeba. Zabijesz jednego, drugiego, uciekną do swojej Polski. A ziemia nasza.

Józef kręcił głową na boki z szyderstwem.

— Panów nam w Litwie nie potrzeba, ziemia nasza. Od kogo to słyszałeś? Ode mnie. A teraz ty będziesz mnie uczyć. Chcesz zabijać i palić jak ruski?

— Cara u nich nie ma.

— Jak nie ma to będzie. Ty jesteś Litwin. Litwin to nie bandyta. Ziemię panom i tak odbierzemy.

— Kto im tam odbierze.

— Litwa odbierze. A wszyscy Słowianie, czy Polacy czy Rosjanie, takie same paskudztwo. W Szwecji pracowałem, tak jak oni nam żyć.

Wackonis słuchał ze zmarszczonymi brwiami, patrząc w okno.

— Każdy Polak to nasz wróg.

— Surkonty to Litwini od wieku wieków.

Tamten zaśmiał się.

— Jaki on Litwin, jeżeli pan?

Józef przysunął dzbanek i nalał sobie piwa. Zapytał:

— Ty — w niego chciałeś?

Chłopak zmieszał się. Bąknął:

— Nnnie, mnie było wszystko jedno.

Józef znów kręcił głową na boki.

— Aj, aj, ładnie. Podziękuj Panu Bogu, że granat nie rozewał się. A kogo by zabił, mówili tobie?

— Nie mówili.

— Małego Tomasza. Znaleźli pod jego łóżkiem.

— Dilbiniuka?

— Aha.

Milczeli. Nie odrywając ust od kubka Wackonis stwierdził:

— Wszyscy wiedzą gdzie jego ojciec. Jaka jabłoń, takie jabłko.

— Durny. Na pogrzeb byś poszedł?

— Co miałbym chodzić.

Warga Józefa podniosła się i zalsniły zęby. Poczzerwieniał.
— Ty, Wackonis, teraz uważaj. Kto ciebie podmówił i kto z tobą stał wtedy w nocy, też wiem. Twoich Żelaznych Wilków nie boję się. Z babami i dziećmi umiecie wojować. Jeszcze pokażcie taką sztukę, jak Boga kocham, zatlukę jak psa.

Wackonis zerwał się. Wrzasnął:

— Wam nic do tego, podmówił czy nie podmówił!

Józef odchylił się na zydlu i przyglądał mu się z dołu.

— Co ty? Z Polaków pewnie, że taki honorowy — powiedział pogardliwie.

XXIV

Lody pękały na Issie z hukiem armatnich strzałów. Potem szła kra i niosła słomę, deski, wiązki chrustu, nieżywe kury, a wrony podjeżdżały na niej spacerując drobnymi kroczkami. Suka Murza oszczeniła się w tym czasie na gumnie i nie udało się jej długo chować swego legowiska, bo szczenięta piszczały. Tomasz przytulał do twarzy te ciepłe pulpeciki i zaglądał im w ślepką powleczone niebieską mgiełką. Murza, rudawa, ni to wilk, ni to lis, z pyskiem murzatym w cętki, ziała wywieszając język i pozwalając łaskawie.

Pakienas włożył szczenięta do koszyka a Murzę zamknięto w drwalni z tym jednym, największym i najzwawszym, którego jej zostawiono. Tomasz pobiegł za Pakienasem i dopędził go na urwisku nad rzeką — takie obrywy świeciły żółtą gliną, podziurawioną przez jaskółki — brzegówki. Kra już spłynęła, obracały się w wypukłej toni lejki wirów.

Pakienas zamachnął się i cisnął pieska. Plusnęło, nic, koło rozerwał i pognał prąd, aż głowa pieska wynurzyła się dalej; przebierał łapkami, znów zniknął i pokazał się jeszcze na zakręcie. Teraz Pakienas wybierał po dwa z koszyka, kiedy jednego rzucił drugiego trzymał przyciśniętego do piersi. Ostatni zagłębił się tylko na sekundę, walczył dzielnie aż wyniosło go na środek i tak go Tomasz odprowadził wzrokiem.

Z ciepła, spomiędzy rzeczy, których jeszcze nie rozróżniały, w lodowatą wodę, nie wiedziały nawet, że taka woda gdzieś jest. Tomasz wracał zamyślony. W jego ciekawość wkradł się cień tamtego snu o Magdalenie. Otworzył drzwi drwalni i głaskał Murzę, która skomliła niespokojnie i zaraz wyrwała mu się węsząc.

Pierwsze ładne dni. Na trzaśniku grzebały się kury, stary Grzegorzunio zasiadał na swojej ławce i coś strugał — jego nożyk, tak starty od użycia, że ostrze zwężyło się prawie w sztyło, przecinał gałązkę jednym zamachem — nie tak jak u Tomasza,

nawet tym samym nożykiem musiał podcinać z jednej i z drugiej strony zanim się złamała.

Malinowska przysłała do dziadka Surkonta, żeby wziąć sad w arendę. Niezwyczajna prośba, ale powiedziała, że chce spróbować bo jej syn Domcio ma już czternaście lat i że dadzą radę razem. Obiecał jej sad i wygrała na tym, że przysłała wcześniej. W kilka dni potem zabarszkotała bryka Chaima, który przyjechał proponując na arendarzy swoich krewniaków. Za Chaimem przemawiały gwarancje zawodowe i zwyczaj, bo arendują zawsze Żydzi. Ale przyrzeczenie zobowiązuje i skończyło się tylko na zwykłym targaniu się za włosy, krzykach i pięściach podniesionych w niebo.

Malinowska, wdowa, najuboższa z całej wioski Ginie, nie siała i nie zbierała, należała do niej tylko chata koło promu, bez gruntu. Niska, szeroka, dziób chustki unosił się nad jej piegowatym czołem, większy niemal od niej dach. Przez jej wizytę przygotowywała się już nowa przyjaźń Tomasza.

W kilka miesięcy później, zapędziwszy się do części sadu za rzędem uli (ścieżka wiodła tam tuż przy ulach i pszczoły często napadały) zobaczył budę. Wspaniała buda, nie taką jaką budują sobie koniuchy na noclegi na łąkach. Stojąc pośrodku nie zginało się głowy, a do pokrycia użyto całych kulów słomy, przyciśniętych żerdziami. Spojenie tam, gdzie przypada ostry koniec tej odwróconej litery V, umacniały gwoździe. U wejścia paliło się ognisko, przy nim siedział chłopiec i podpiekał na patyku zielone jabłka; on to Tomaszowi budę ze wszystkich stron i w środku pokazał.

Dominik Malinowski, piegowaty jak jego matka, ale wysoki i z rzyżym wiechem czupryny, wziął od razu we władanie Tomasza, który mówiąc mu „ty” czuł się zażenowany, jakaś przykrość go gnioła z tego przywileju wobec prawie dorosłego. Domcio przypuścił go do palenia fajeczki: z kuli karabinowej do której wyborowana była dziurka i wsadzony ustnik. Nigdy dotychczas Tomasz nie palił, ale cmoktał choć go w gardle wierciło, starając się, żeby żarzył się zwinięty liść domowej tabaki. Wszelkimi sposobami starał się — i odtąd już stale — zyskać aprobatę szarych, chłodnych oczu.

Dawniej, jeżeli zniknął, Antonina na pytania odpowiadała: „Tomasz do Akulonisów znowu poleciał”, teraz: „Tomasz w budzie”. Nieprzeparty urok dymku snującego się między drzewami, zapach nadgniłych jabłek wewnątrz, słomy. I tych godzin przy ognisku. Domcio umiał śliną strzykać na kilka sążni, wydumchiwać dym nosem, dwie strugi wtedy unosiły się w powietrzu, przyrządzać pastki na ptactwo i na kuny (w parku kuna goniła wiewiórkę dokoła pnia lipy, ale z zastawieniem tych pastek

należało czekać do następnej zimy), uczył poza tym Tomasza przekleństw. A od niego wymagał opowiadań o tym, co pisze się w książkach. Sam czytać nie umiał i ciekawiło go wszystko. Z początku Tomasz się wstydził, wiedza nabywana z liter wydawała mu się gorsza (wstyd taki sam jak na przykład z solidarności z babką Dilbinową), ale Domcio żądał i nigdy nie zadawał sobie łatwo, ciągle: „a po co?” „a jak?” „a jeżeli tak to dlaczego?” i nie zawsze udawało się wyjaśnić, bo nie zastanawiał się przedtem.

Pociąg, uległość. Może pociąg do tego co szorstkie i złośliwe? Domcio występował jako arcykapłan prawdy, ponieważ jego ironia, niewymówione naśmiewanie się, godziły w powierzchnię tego co Tomasz wiedział, a wyczuwał, że pod nią coś się kłębi dopiero rzeczywistego. I nawet nie te długie ślimaki bez skorupy, które zbierali i przypiekali węglami, żeby się kurczyły, ani baki, którym pakowało się słomkę w odwłok i tak pozwalało im się lecieć, ani nawet szczur, którego Domcio wpuścił w tunel między rozżarzonymi węglami. Jeszcze dalej i głębiej. W każdym biegnięciu do budy w sadzie zawierała się obietnica.

Słuszne ostatecznie zgadywania, bo Domcio wobec niego odślaniał część tylko swojej natury i traktował go oględnie. Nie potrzebował okazywać dobitnie, że nad nim góruje, przyjmował z pobłażliwością hołdy. Poza tym oszczędzał go. Dlatego że naiwne zaufanie rozbraja, albo że roztropniej było nie psuć sobie we dworze. W jego mruczeniu „hmm” i owijaniu rękami kolan, kiedy Tomasz napierał się żeby wskoczyć w niedozwolone, nie dla niego, wiadomości, zawierało się wiele, to właśnie do czego mały Ignął. Jeżeli wreszcie ta powściągliwość nagle została złamana, stało się to za przyczyną diabłów znad Issy, albo też głupoty Tomasza, który zlekceważył przepis, że nie trzeba zawsze i wszędzie czepiać się tych, których się uwielbia. Skąd mu zresztą do taktu, jeżeli żył ze swoimi urojeniami i nikt mu właściwie dobrze nie przytarł nosa.

Malinowska w budzie gościła rzadko. W południe przynosiła obiad dla syna, ale też nie zawsze i Domcio gotował sobie kapuśniak, odkrajał z wielkiego bochna czarnego chleba pajdy scyzorykiem i zjadał z plasterkami słoniny. No i pieczone jabłka i gruszki — gruszki w popiele są smaczne jak nic, a kartofle które też sobie szykowali, pokrywają się chrupiącą skorupą, próbuje się czy gotowe wbijając ostry patyczek. Antonina zaglądała po to, żeby wyciągać za kark Tomasza albo z koszami po inspekcję — tak nazywa się część owoców, przypadająca z arendy na bieżące potrzeby dworu — i wtedy pomagało się jej nieść. Do Domcia odzywała się figlarnie a brzydko: riapużuk, czyli krewny wszystkich ropuch.

XXV

Domcio, wyznajmy to tutaj, był przebrany królem. Rządził przy pomocy cichego terroru i przestrzegał tej cichości. Na urząd królewski wydzwignął się dzięki swojej sile i powołaniu do rozkazywania. Bici w zęby jego twardą pięścią przestrzegali zakazu i nigdy nie ośmielili się naskarzyć rodzicom. Dwór, który go otaczał na wioskowym pastwisku, składał się, jak należy, z najbliższych zauszników czy ministrów i zwyczajnych pochlebców, używanych do podrzędnych usług, jak na przykład uganianie się za krowami, kiedy wchodziły w szkodę. Do poważnych badań jakie przeprowadzał dopuszczał tylko zauszników.

Umysł krytyczny, nie przyjmujący niczego na wiarę, wymagający naukowego potwierdzenia, zwracał żywą uwagę na wszystko co biega, lata, skacze i pełza. Obcinał nogi i skrzydła i w ten sposób próbował zgłębić tajemnicę żywych maszyn. Nie pomijał ludzi, a wtedy jego ministrowie trzymali obiekt, to jest trzynastoletnią Wercię, za nogi. Intrygowały go również wytwory techniki i długo podglądał budowę młyna, aż skleił dokładny model, nawet z własnymi ulepszeniami, który ustawił tam, gdzie ruczaj wpada do Issy.

Narzucając swoją wolę równieśnikom, Domcio mścił się za to, co wycierpiał od dorosłych. Od małego tylko poniżenia: i matka i on pracowali na cudzym, najczęściej dla bogaczy z sześćdziesięciu czy osiemdziesięciu hektarami, a tacy najgorsi. Patrząc im w oczy, zgadywać ich życzenia, skoczyć i uprzedzić co za chwilę każą, niby wesoło i dobrowolnie, bać się, że jak co do czego nie dadzą przyrzczonego pudu żyta czy pary starych butów — z tego rośnie nienawiść, albo wątpliwość czy cały ten świat nie opiera się na jakimś kłamstwie.

W początku owego lata, przed tym nim wprowadził się do budy w sadzie, zaszedł w życiu Domcia ważny fakt. Dopóty zabiegał i spełniał cudze kaprysy, dopóty kręcił się, aż jeden z byłych żołnierzy pozwolił mu używać od czasu do czasu swego karabinu. Zresztą stanowiło to zapłatę za milczenie o pewnych sprawkach.

Otóż rozporządzanie karabinem zbiegło się z wypadkami wścieklizny w okolicy i podejrzewano w wiosce jednego psa, że ukąsił go wściekły. Mówiono, że trzeba go zabić, ale nikt się nie kwapił, aż Domcio podwinął się i ofiarował się go skończyć. Dano mu go, niezbyt chętnie, bo może wcale nie został ukąszony. Pies — wielki, czarny, z zadartym ogonem i siwymi włosami na pysku, łąsił się do niego, rad że spuszczone go z łańcucha i że zamiast ziewać i wybierać pchły idzie w pole.

Dał mu jeść a potem zaprowadził nad jeziorko. To jeziorko pośrodku bucht w pętli Issy, zasilala rzeka w czasie wiosennych roztopów przez bagnisty rów; wtedy na jego ciepłych płycznach narostowały szczupaki; latem podsychało i więcej w nim wtedy zostawało mułu niż wody; stale mieszkaly w nim tylko rybki-cierniki. Dookoła trzciny, gęsty mur, wysoki jak człowiek na koniu. Przy jednym brzegu, wewnątrz tego kręgu trzciny, rosła grusza. Do niej przywiązał Domcio psa na grubym postronku. Sam zasiadł niedaleko z karabinem. Z naboi wykręcił kule i wstawił drewniane, które na to wystrugał. Pies merdał do niego ogonem i wesoło szczekał. Oto chwila: mógł strzelić albo nie strzelić, przykładał kolbę do ramienia i jeszcze zwlekał żeby delektować się samą możliwością. Właśnie to, że pies niczego się nie domyśla, a on, Domcio, ma w ręku wybór i on decyduje. I jeszcze to, że przez ruch jego palca pies zamieniłby się na pewno w inną rzecz niż dotychczas, ale w jaką: czy padłby, czy skakał? Ale razem wszystko by się pod gruszą i naokoło zmieniło. Z takim zabijaniem kulą, żadne się nie porówna, bo spokój, cisza, jakby człowieka nie było i bez gniewu, bez wysiłku, powie: już.

Trzciny szumiały, czerwony, wilgotny język zwieszał się z otwartego pyska. Pysk zamknął się z kłapinięciem: złapał muchę. Domcio celował w lśniącą sierść.

Już. Przez ułamek sekundy psem targnęło jakby zdumienie. I zaraz rzucił się naprzód z chrypiącym ujadaniem, naprężając sznur. Zagniewany za tę wrogość, Domcio puścił mu drugą kulę. Pies przewrócił się, wstał i nagle zrozumiał. Ze zjezoną sierścią cofał się przed przerażającym widzeniem. Dostawał nowe kule z rzadka, tak żeby nie za prędko umarł i za każdą było z nim inaczej, aż do ciągnięcia zadem, jęków i konwulsyjnego przebierania łapami kiedy leżał na boku.

Przed ogniskiem w sadzie Domcio snuł myśli teologiczne, wsparte na przypomnieniach tamtej chwili. Jeżeli on tak górował nad psem, wymierzając mu los jaki tylko zechciał, to czyż Pan Bóg nie postępuje tak samo z człowiekiem? Do Boga chował urazę. Przede wszystkim za jego nieczułość na najbardziej szczere prośby o pomoc. Kiedy raz, przed Bożym Narodzeniem, zabrakło w domu nawet chleba, a matka płakała klęcząc przed świętym obrazem i odmawiając modlitwę, żądał cudu. Wlazł na strych, ukląkł, przeżegnał się i swoimi słowami powiedział: „Nie może być żebyś Ty nie widział jak martwi się moja matka. Spraw cud, a ja Tobie oddaję siebie i zabij mnie zaraz, pozwól tylko cudu doczekać”. Zeskoczył z drabiny, pewny skutku, siadł spokojnie na ławie i czekał. Ale Bóg okazał zupełną obojętność i poszli spać głodni.

Poza tym Bóg, dzierżący w dłoni piorun, jeszcze lepszą broń niż karabin, wyraźnie sprzyja kłamcom. W niedzielę wkładają paradne ubrania, kobiety sznurują zielone, aksamitne gorsety i wiążą pod brodą mieniące się chustki, wydobyte z kufrów. Śpiewają chórem, przewracają oczami i składają ręce. Ale kiedy tylko wrócą do domu! Mają, ale choćby się zdychało na ich progach, nie dadzą, a sami będą żreć bonduki z tłuszczem i ze śmietaną. Bić potrafią, zaciągnąwszy do świrna, żeby nie było słyhać. Jeden drugiego nienawidzi i obszczekuje przed innymi. Żli i głupi, udają raz na tydzień, że są dobrzy. A zapłata? Największe bogactwo w wiosce Pan Bóg zesłał temu, który śpi ze swoją córką; podglądał ich; w szparze jej gołe kolano, sapanie starego i jej miłosne jęki.

Ksiądz uczy, że trzeba być łagodnym. Ale przecie każde zwierzę goni i zabija inne zwierzę, każdy człowiek gniecie innego człowieka. Nad Domciem kiedy jeszcze był mały znęcali się wszyscy. Dopiero jak podrósł i nabrał dość zdrowia, żeby puszczać krew z zębów i nosów, zaczęli go szanować. Bóg pilnuje żeby silnym było dobrze, a słabym źle.

Gdyby tak polecieć do nieba i schwycić Jego za brodę! Ludzie już wymyślili latające maszyny i na pewno jeszcze lepsze wykombinują. Tymczasem jednak Domcio gubił się w zawilosciach. Bo kogo diabły porywają do Piekła? Bóg może tylko udaje, że nic go nie wzrusza, chytry, odwraca głowę jak kot, kiedy puszcza mysz i potem jej dopada. Gdyby nie strach przed Piekłem, można by było zupełnie inaczej żyć, swoje przeprowadzić, a kto by się sprzeciwił, to w niego z karabinu.

Wtulając kolana między ramiona i słuchając łaskawie gawożenia Tomasza, szukał wyjścia z tych kręcących się ścieżek. I raz olśnił go nowy pomysł. A jeżeli księża plotą bajki i Bóg zupełnie nie zajmuje się światem? Jeżeli nieprawda, że wszystko widzi, bo sam nie ma na to ochoty? Piekło naturalnie gdzieś jest, ale to już załatwia się między ludźmi i diabłami — te, podobnie jak przezroczyta czarownica Laume, która przybiera taką czy inną postać, polują na głupich gotowych się z nimi zadać. Może nawet Boga wcale nie ma i nikt nie mieszka w niebie. Ale jak się o tym przekonać?

Domcio, jak się stwierdziło, odznaczał się umyślnym docenianym wagę eksperymentu. Rozwinął powoli następujące rozumowanie. Jeżeli człowiek jest dla psa tym czym Bóg dla człowieka, to kiedy pies ugryzie człowieka, ten łapie za kij, a Bóg ugryziony przez człowieka też wpadnie w gniew i ukarze. Cała rzecz to wynaleźć coś tak obrażającego Boga, żeby musiał użyć swoich piorunów. Jeżeli wtedy nic się nie stanie, dowód zostanie przeprowadzony, że o Niego dbać nie warto.

XXVI

Ostre szydło szewskie. Domcio próbował jego ostrza palcem, kiedy niósł w kieszeni. Tej niedzieli słońce wschodziło we mgłach, później mgły opadły i wlokły się w powietrzu błyszczące nitki babiego lata. Niedaleko jednego z obrywów Issy leży wielki kamień obrośnięty chrzęszczącymi liszajami. Wierzch ma płaski, niby ołtarz. Ministrowie Domcia — w trzewikach i czystych koszulach bo po kościele — siedzieli naprzeciwko tego głazu na trawie i ćmili cygarki, nadrabiając miną jeden przed drugim. Nie jest bynajmniej wykluczone, że obok nich gromadziły się już istoty niewidzialne, które wysuwały szyje i oblizywały się w oczekiwaniu widowiska.

Domcio tymczasem stał na brzegu rzeki i w zamyśleniu puszczał w wodę kamyki. Jeszcze mógł się cofnąć. A jeżeli tamto to prawda? W takim razie piorun spadnie zaraz i jego zabije. Podnosił głowę. Niebo bez chmurki, słońce wysoko, południe. Taki piorun z jasnego nieba, żeby mógł przynajmniej to zobaczyć, ale nie, wtedy już nie zdąży. Falki goniące jedna drugą w coraz szerszych kręgach kołysały rozpostartymi liśćmi, jeden zgiął się i woda zalewała jego zieloną skórę. Więc co? Boi się? Wycelował kamyk daleko, aż pod cień drugiego brzegu, zacisnął pięści w kieszeniach i namacał szydło.

Zbliżył się do głazu. Wtedy oni, jego podwładni, zaczęli się cofać. Przenosili się szybko coraz dalej od niego, coraz dalej i oglądali się na nich z pogardą. Wyjął z kieszeni zgniecioną niebieską chustkę, rozwijał ją ostrożnie i wyglądał jej rogi na chropowatej twardziźnie.

Zaraz po kościele Tomasz chciał się do niego zbliżyć, ale stracił go z oczu. Ktoś go widział jak szedł w stronę pastwiska, więc, łowiąc ślad, Tomasz puścił się tam pędem. Nie powinien był. Do rozwścieczenia Domcia wystarczyło już to, że tak się za nim włóczył, ale gorzej że zjawił się kiedy wszystko dojrzało do najwyższego napięcia, kiedy pionowa zmarszczka między brwiami wyrażała wolę odwagi. Dlaczego Domcio miałby troszczyć się o cokolwiek prócz tego, co należało spełnić? Czy przeciwnie w takim momencie nie załatwia się porachunków, na przykład nie ujawnia się że pozorna sympatia była ledwie znoszeniem czujności towarzystwa? Domcio wrzasnął na Tomasza, który nic nie rozumiał, chociaż już uchwycił niestosowność, jakąś obrzydliwą śmieszność swojej osoby, pokazaną przez zwrócone do niego twarze chłopców. Na rozkaz ministrowie rzucili się na Tomasza, przewrócili go i siedli na nim. Szarpał się a ich łapy

śmierdzące tabaką gniotły go do ziemi. Tylko brodę zdolny był dzwignąć do góry. Kazali mu być cicho.

Kamienny stół sięgał Domciowi nieco powyżej pasa. Na środku chustki białeł okrągły opłatek: ciao Boga. Przystąpiwszy do Komunii św. i stąpając ze skrzyżowanymi na piersiach rękami, niósł go na języku i zaraz wypuł z ręcznicą w chustkę. Teraz się przekona. Ujął szydło i obrócił w dół, ku Bogu. Opuszczał powoli, znów podnosił.

Uderzył.

I trzymał ostrze w tej ranie, rozglądał się, pragnąc kary. Ale nic nie nastąpiło. Stado małych ptaszków mieniło się trzepotem lecąc znad rżysk. Żadnej chmurki. Schylił się i badał czy z przebitego opłatka, pod szydłem, nie wycieknie kropla krwi. Nic. Wtedy zaczął kłuć i kłuć, rwąc biały krążek na strzępy.

Tomasz, wypuszczony, zerwał się do biegu z łkaniem które go dławilo w gardle. Uciekał i zdawało mu się, że ucieka od całego zła świata, że nic gorszego nie mogło go spotkać. Nie tylko groza śmiertelnego grzechu. Nagle pojął swoją niepotrzebność, cały fałsz tych chwil, kiedy myślał, że jest Domciowi przyjacielem. Nikomu z nich nie jest przyjacielem. Uciekał na zawsze. W domu trząsł się i czepiał ramienia babki Dilbinowej, on teraz potrzebował pomocy a ona wypytywała go co mu się stało, ale nic nie wydobyła prócz spazmatycznych szlochów. Wieczorem krzyczał, że się boi, żeby nie gasić lampy. Bredził też przez sen i kilka razy babka wstawiała i zaniepokojona kładła mu dłoń na czole.

Ksiądz Monkiewicz, któremu spowiadał się nie czekając następnej niedzieli, ledwie zdolny zresztą wykrztusić sprawozdanie o okropnym czynie, tak przejął się bezbożnictwem w swojej parafii że wiercił się i podskakiwał w konfesjonale; starał się ciągnąć go za język, żeby zło jak najprędzej wyrwać z korzeniem. Tomasz jednak nie zdradził, choć ksiądz tłumaczył mu, że to nawet należy do obowiązków chrześcijanina w takich wypadkach. Jakoś to imię nie chciało przejść mu przez usta. Dostał rozgrzeszenie i to go trochę uspokoiło.

Budy w sadzie unikał choć to był najlepszy czas sadobrania i używał wykretów kiedy Antonina wtykała mu w ręce koszyk. Zawsze się wtedy gdzieś zawieruszył. Jeżeli mignęły mu między drzewami parcie portki Domcia chował się a spotykając go przypadkiem, zniżał wzrok do ziemi i udawał, że go nie spotrzega.

W istocie cały obrządek nad Issą skończył się wtedy nijako. Chłopcy, raczej zawiedzeni — gdyby wałnął grom albo przynajmniej pokazała się krew, to co innego — niezdolni do zgłębienia naukowego sensu odkrycia, za najstosowniejsze zajęcie

uznali zaraz grę w durnia. Domcio — warto zwrócić uwagę na ten szczegół — zgarnął okruchy opłatka i zjadł; klucie kluciem, ale rozsypywać na wiatr albo deptać jakoś nijako. Zwiesił nogi z obrywu, tłukł obcasem w glinę i palił swoją lulkę z karabinowej kuli. Dolegała mu jakaś pustka. Bo choćby bić się z ojcem, choćby kij na nim połamać, albo do niego strzelać, to lepiej niż kiedy prawować się nie ma z kim. Ogarnął go smutek sieroctwa, podwójnego sieroctwa. Więc nikogo, nikogo żeby o coś poprosić. Sam, zupełnie sam.

Na powierzchni Issy smużyło delikatnie. Wąż wodny przeprowiał się z jednego brzegu na drugi, niosąc wystawioną prostopadle głowę, a wąsy fałd układały się za nią ukośnie. Domcio mierzył odległość i w ramieniu odgadywał celność rzutu. Ale wąż wodny jest święty i kto go zabije przywoła na siebie nieszczęście.

XXVII

Każdej jesieni Tomasz asystował młóćbie. Maszyna najciekawsza jest kiedy rusza, albo kiedy wypuszczają z niej parę. Na jej kotle, trochę z brzegu, bliżej paleniska gdzie wrzuca się polana drzewa, kręcify się dwie duże kule, na metalowych sztabkach, opuszczonych, jakby rękach. Czy kiedykolwiek te ręce się podnoszą, nigdy się nie przekonał. W kule potrafił wpatrywać się, zapominając o wszystkim naokoło. Jeżeli ruch powolny pru-tak, pru-tak, to rozróżnia się je doskonale, ale jeżeli bardzo szybki, zlewają się w wirujący krąg i latają tel-tel-tel, ledwo pokazując swoją czarność. W kącie żółto malowanej szopy (z jej dachu sterczał komin lokomobili) stały dwie ławy. Na jednej przesiadł Tomasz i przychodzili na nią na chwilę mężczyźni ze stodoły, żeby zakurzyć. Na drugiej, naprzeciwko, leżał zwykle na podestlanym kozuchu młody Sypniewski, siostrzeniec Szatybelki, który pilnował kotła. Podkurczał nogi, głowę opierał na dłoni i rozmyślał — ale o czym, zostanie to jego sekretem. Co pewien czas zląził, sprawdzał manometr, otwierał drzwiczki i do buchającej ogniem czeluści miotał dębowe polana; czasem oliwił z oliwiarki z przytykającym denkiem, choć właściwie samą maszyną zajmował się kowal.

Z rozgrzaną twarzą, z nosem pełnym zapachu smarów, Tomasz wynurzał się na powiew, który burzył liście topoli. Na zewnątrz inny ruch go przywabiał: ruch pasa. Szeroki na łokieć, z gęsto polatanej skóry, łączył wielkie koło od lokomobili z małym kółkiem przy młóćni. W jaki sposób nie ześlizgiwał się z tego dużego koła? Co prawda spadał jeżeli zwalniały się obroty i rozlegały się wtedy krzyki ostrzeżeń, żeby nikt się nie

podwinał, bo walił się z łomotem i mógł łatwo połamać kości. Kiedy zatrzymywano pracę, kowal i Sypniewski przykładali kije do pasa (a musieli mocno gnieść) i tak łagodzili jego hasanie, później odskakowali i już zsuwał się bez hałasu. Że maszyna zwalniała poznawało się po tym, że łąty na pasie jeździły już widoczne.

W stodole tumany pyłu, huczenie, uwijanie się. Worki zaczepiano o żelazne haki i pęczniały szybko, Tomasz zanurzał rękę w strumieniu chłodnych ziaren sypiących się z otworów. Pełne worki kowal odciągał na bok, pod topolę, na wagę. Na toku (pył gryzł w oczy i ledwo co majaczyło) białe chustki kobiet i spoczone twarze. Snop na widłach zataczał łuk a wtedy młóćnia zachłystywała się wwwwch. Z tyłu łapy blado-czerwonego koloru (bo kiedyś młóćnia była czerwona) przebierały niezdarne i z między nich wysuptywała się słoma.

Wielu par koni potrzeba, żeby ruszyć lokomobilę czy młóćnię z miejsca. Niekiedy, choć rzadko, wieziono ją w sąsiedztwo, z nawoływaniem, klaskaniem batów i podkładaniem gałęzi pod koła. W okolicy tylko dwór i Bałudis — Amerykaniec w Pogirach mieli tę maszynę. Gdzie indziej młócono cepami. Jeżeli już wypożyczano ją, to nigdy w dół, nad rzekę, bo z góry to jeszcze, ale pod górę koniom za ciężko.

Zawsze przy młóćbie jak u siebie, Tomasz po raz pierwszy zaznał po owej przygodzie z Domciem swojej tutaj obcości. Pogwarki mężczyzn, którzy sennie strzykali śliną żółtą od tabaki i nie zwracali na niego uwagi oddzielały go od nich. Zamyślenia Sypniewskiego; niecierpliwe sarkania kobiet żeby nie przeszkadzał kiedy drapał się na tok; umorusane dzieci w jego wieku, które miały wyznaczony obowiązek: wytaszczać spod młóćni płachtę z pośladem; wszystko to spychało go jakoś na ubocze.

I, być może, inne porażki nabierały teraz wyrazistości. Na przykład ubawiona pobłażliwość z jaką mężczyźni traktowali go kiedy próbował kosić albo orać. Także baraban — kawał żelaza zawieszony na drutach, w który Szatybelko barabanił młotkiem, rano — że pora do pracy, w południe — że pora na obiad, później że znów do pracy i wieczorem na wyjście z pola (przy młóćbie służył do tego sygnał lokomobili, gwizdał tak mocno, że zatykano uszy). Szatybelko wystukiwał na nim całą melodię, a ludzie śmieli się, że baraban mówi: „pan-gałgan, pan-gałgan”. Śmieli się bez gniewu ale Tomasz to trochę urażało.

W czeladnej, Antonina i kobiety często rozmawiały o panach, o tym jacy byli dawniej, jak męczyli. Jedna ich zabawa szczególnie pobudziła jego wyobraźnię: kazali dziewczynie wlażyć na drzewo i kukać a wtedy do niej strzelali. Dziewczyny wlażące na drzewo, kiedy zbierały wiśnie czy jabłka. Tomasz

lubił, starał się wtedy zaglądnąć im w ciemność pod spódnicą (jak świat światem nie nosiły w Giniu majtek). Chichotały i przezywały go, ale jakby zadowolone. Więc jakto? Z fuzją pod drzewem i strzelali? W westchnieniach Antoniny uchwycił nie tylko gniewną zadumę, ale, i poczucie wyższości nad nim, też panem.

Z takich czy innych powodów zaczął garnąć się do dziadka i, kiwając się, z dłońmi wsuniętymi pod uda, wysłuchiwał jego wykładów o azocie, który wdychają rośliny i o tlenie, który wydychają; o tym jak dawniej wypalano las i siano rok po roku zboże, aż wyjałowiała się gleba, a później wymyślono trójpolówkę i na czym ona polega. Dziadek powoli stał się jego głównym towarzyszem i Tomasz przewracał kartki jego książek teraz już domagając się objaśnień. W zielone królestwo roślin wkraczał kiedy żółkły i opadały z drzew liście — w inne królestwo niż w rzeczywistości. Przebywał w nim bezpiecznie, rośliny nie są złe, wśród nich nie spotka żadne odtrącenie.

Ze strony dziadka też nic nie groziło. Nigdy zniecierpliwiony, nigdy tak zajęty jakimiś sprawami dorosłych żeby zlekceważyć życzenia Tomasza, odzywał się do niego poważnie, z tym swoim chrząkaniem, w którym był humor i sympatia. Nawet jeżeli mył się albo smarował fiksatuarem i zaczesywał włosy na łysinie, odpowiadał na pytania. Fiksatuarem, rodzajem mydła w papierowej tubce, Tomasz nacierał sobie ręce i wachał. Dziadek mył się zwykle ciepłą wodą, przepasywał się wtedy ręcznikiem; piersi i brzuch porastała mu siwiejąca sierść.

Babka Dilbinowa ubolewała, że Tomasz nie przygotowuje się jak należy do gimnazjum, bo co to za nauka u Józefa Czarnego; sama też go uczyła, ale przecież od dawnych czasów tyle się zmieniło. Obiecywała mu, że przyjedzie jego mama i zabierze ich ze sobą, ale to się ciągle odwlekało. Wiedza jego, to prawda, nie rozkładała się równomiernie. Czytał dobrze, bo go pchała ciekawość. Pisał jak kura patykiem, niewyraźne kulfony; mówił z tutejsza, wtrącając litewskie wyrazy (później w szkole miał doznać z tego powodu upokorzeń). Przez nagły zwrot do dziadka nabierał teraz całkiem niezłej znajomości botaniki i ten cieszył się, że może zamiast zostać żołnierzem czy piratem, zostanie rolnikiem. Żadna jego fotografia z tych czasów nie zachowała się, bo nigdy jej nie zrobiono. Już wtedy przeglądał się w lustrze, ale nie umiał siebie widzieć porównując z innymi. Żeby użyć grzebienia i szczotki do poskromienia swoich włosów, nie przychodziło mu do głowy; twarda i gęsta strzecha ciemno-blond sterczała na czoło i tak po niej, w dół, szczotką machał. Pызate policzki, oczy szare, nosek zadarty jak u knurka (taki sam jak

na fotografii lilitowego koloru prababki Mohlowej). Wysoki na swój wiek.

„Tomasz ma twarz jak tatarska dupa” — podsłuchiwał jak jeden Korejwiuk szeptał do drugiego. To dopełniło miary jego nienawiści. Dwóch tych chłopców Korejwy, sąsiada z drugiego brzegu Issy, raz tylko gościło w Giniu ze swoimi rodzicami. Zabawy nie kleiły się, chcieli nim dyrygować i obrażały go ich zmawiania się, kuksania się i śmieszki.

Powstaje podejrzenie, że odziedziczył po kimś trudność obcowania z ludźmi: samowystarczalność babki Surkontowej czy trwożliwość babki Dilbinowej. Albo po prostu działał tutaj brak wprawy. Raz dziadkowie wzięli go ze sobą na dalszą wizytę. Na córeczkę gospodarzy zerkał z ukosa i zadrzał kiedy ujęła go za rękę, żeby oprowadzić po ogrodzie. Stąpił sztywno i powstrzymywał oddech, bojąc się tych jej wąskich, gołych łokci, które go wzruszały. Na mostku nad strumieniem w parku oparli się o brzoźową poręcz i czuł, że czegoś od niego oczekuje, ale tylko milczał. Bo właściwie powiało tamtymi zabawami z Onutę i struchlał.

Maniery: szurgał nogami kłaniając się gościom, rumienił się. W miasteczku był parę razy, ale jako znajomość szerokiego świata chyba to się nie liczyło. Na rynku tkwił wtedy przy wozie i pomagał Antoninie układać jabłka które sprzedawała. Niektóre domy miasteczka mokły prawie w Issie, innej tutaj, szeroko rozlanej; ulice wybrukowane były tak dużymi kamieniami że wykręcały się nogi; Żydzi stali na drewnianych schodkach i zapraszali do swoich sklepów. Największy budynek, biały pałac książąt, nad stawami pokrytymi rzęsą, teraz pusty, prze-rabiano wewnątrz na szkołę czy szpital. Ze względu na stację kolejową nieco na uboczu, wołał kiedy wracali trochę dalszą ale za to lepszą drogą, przecinającą tor, bo wtedy udawało się zobaczyć pociąg. Powrót witał z ulgą. Antonina oddawała mu lejce i trzaskał z bata. Jeżeli w podróż ruszali sami, dbała o to, żeby zaprzężono najtępsze konie: istniała możliwość spotkania samochodu. Tomasz ściągał derkę, którą pokrywali siedzenie z siana, pędził i owijał im łby, żeby nie szalały.

Z dziadkiem, bez manier i przymusów, które czatują kiedy przestaje się z ludźmi, wędrował bajką o podziemnym kielkowan-niu nasion, o pięciu się łodyg, o koronach, płatkach, słupkach i pręcikach kwiatów. Postanowił sobie, że następnego lata będzie już dostatecznie znał się na rodzinach roślin, żeby układać ziel-nik.

XXVIII

Kiedy był zupełnie mały sadzano go na niedźwiedzim futrze i wtedy święty spokój, bo podnosił ręce, żeby nie dotknąć włochatego zwierza i tak nieruchomiał, na wpeł przerażony, na wpeł zachwycony. Skóra, zszargana i pogryziona przez mole, pochodziła od ostatniego chyba niedźwiedzia w okolicy, upolowano go dawno, jeszcze w dzieciństwie dziadka. Niedźwiedzie — znane z tej skóry i z obrazków — wzbudzały w Tomaszu tkliwe uczucia. Może nie tylko w nim, bo starsi często o nich opowiadali. Dawniej trzymano je po dworach i przyuczano do różnych prac, na przykład kręcenie żaren czy noszenie drzewa. Zdarzały się z nimi śmieszne historyjki. Tu, w Giniu pozostała pamięć po niedźwiedziu ambitnym: lubił słodkie gruszki i jeżeli jego pan dopuszczał go do wspólnej uczty, musiał baczyć żeby dzielić sprawiedliwie, bo dostając gruszki nadgniłe albo zielone, niedźwiedź obrażał się i ryczał. Tomasz poprawiał się z podnieceniem na krześle, dowiadując się o sprycie innego, który dusił kury więc musiano wziąć go na łańcuch; wtedy wynalazł sposób: siedząc sypał piasek z przednich łap i głupie kury zbliżały się w zasięg łańcucha a on bił łapą i chował zdobycz pod siebie robiąc niewinną minę jakby nigdy nic. Bohaterem najcudaczniejszej przygody (tę opowiedziała babka Dilbinowa) stał się niedźwiedź który, kiedy powóz stał przed gankiem jakiegoś dworu a furman gdzieś się zawieruszył, wlaź do środka. Konie poniosły a on, też w strachu, nie zdążył zeskoczyć. Tak wpadli na gościnię. Na rozstaju stał krzyż, powóz zarzuciło i niedźwiedź schwycił się krzyża, ale że trzymał się drugą łapą, wyrwał go i wjechał z nim w ulicę wioski, gdzie powstał popłoch, bo wyglądało to rzeczywiście po diabelsku.

Jeden wielki pan użył niedźwiedzi do okazania swej pogardy Rosjanom. Zjawił się do niego z wizytą gubernator i to zobaczył: przed gankiem dwa niedźwiedzie z halabardami, a na stopniach ten wielki pan, w rosyjskiej chłopskiej rubaszce wybijający nisko pokłony. Gubernator rozumiał że znaczyło to: „my dzicy poddani Imperatora, pół-zwierze, pół-ludzie, witamy w naszych progach”, zaciął usta i kazał odjeżdżać.

Niedźwiedzie w tych wszystkich gawędach występowały jako istoty ludzkiej prawie inteligencji i może niesłusznie męczono je tak jak w Akademii Smorgońskiej, którą opisywał mu dziadek. Podłoga w niej zrobiona była z blachy, pod nią palono ogień a niedźwiedzie puszczano w drewnianych chodakach. Grała muzyka, blacha parzyła i biedne misie stawały, bo przed-

nie łapy zostawiano bosc. Później kiedykolwiek usłyszały tę muzykę przypominała im się rozpalona blacha i tańczyły.

Co pomagało do rozbudzania sympatii to to, że takie duże, mocne, usposobienie miały właściwie łagodne i nawet strachliwe. Świadczy o tym na przykład to co przydarzyło się, kiedy jeszcze dużo ich spotykało się w lasach, pewnemu chłopu. Zginęła mu krowa, która, zawsze niesforna, często odbijała się od stada. Zły, schwycił drąg i znalazłszy ją leżącą w maliniaku, wyrzwał z całej siły. Rozległ się ryk, bo był to niedźwiedź. Chłop uciekał w jedną stronę, on w drugą i zadryzdał cały maliniak. Rozwolenie ze strachu nazywa się nawet „niedźwiedzia choroba”.

Dziadek pamiętał, że kiedy zabito tego niedźwiedzia, z którego została skóra i uwędzono z niego szynki, psy poznawały mięso po zapachu i sierść im się jeżyła.

Babcia Misia w zimie kładła przy swoim łóżku dywanik z łosia. Ale główny użytek z łosia to jego skóra wyprawiona, bardzo gruba i miękka; jeżeli Tomaszowi zdarły się podeszwy w papuciach, wydobywała ze schowka taki płat, odmierzając i wycinała nożycami dokładnie według konturu ołówkiem. To też przechowało się z dawnych czasów, bo łosi zostało już mało. W lasach, jakieś dwadzieścia wiorst od Ginia, jeszcze zabijali je czasem kłusownicy.

Skóry wspomina się tutaj w związku z miłością Tomasza. Baltazar któregoś jesiennego dnia pokazał się i powiedział, że przywiózł dla niego prezent, żeby poszedł z nim do wózka. Tam na podściółce ze słomy klatka z drewnianych prętów, a w niej — puchacz.

Nie obyło się bez gderania babki Surkontowej, że to ptaszysko zapaskudzi cały dom, ale puchacz został. Baltazar złapał go jeszcze nielatającego i podchowwał. Wcale nie tak znowu dziki, pozwalał się brać pod brzuch i wtedy piszczał cienko jak kurczak, dlatego Tomasz dał mu na imię Cipuś. Żeby podobny głos z niego się wydobywał, trudno było uwierzyć. Nie większy co prawda od kury, ale skrzydła, jeżeli rozpięte dłuższe niż rozpostarte ramiona Tomasza, dziób zakrzywiony, potężny i szpony mordercy. Odtąd zaczęło się wybieranie szcurków ze wszystkich pastek. Cipuś mięso przytrzymywał szponami a dał dziobem. Kłapał nim jeżeli do krat zbliżyć rękę, ale nigdy nie schwycił go za palec. O zmroku Tomasz wypuszczał go na pokój. Lot cichy, tylko prąd powietrza, nic więcej. Na środku zrzucił kupe, która rozpryskiwała się z pluskiem (to przestępstwo zbierało się zaraz gałganem, żeby nie irytować starszych) i na piecu hukął teraz już basem. Kiedy wylatał się, wsadzany był z powrotem do klatki.

Miękkosć jego piór, oczy czerwono-złote, ruchy głową w górę i w dół, jak u krótkowidza który chce przeczytać napis. Tomasz przywiązał się do niego i stwierdzał różne jego obyczaje. Jeżeli posadził go na łosiowym dywaniku, puchacz zachowywał się tak, że musiało się pękać ze śmiechu: targały nim nerwowe drgawki, szpony zwierały się same, miesił pod sobą przestępując z nogi na nogę. Widocznie dotyk do krótkiej sierści przywoływał wspomnienia wszystkich jego przodków, którzy rozszarpywali sarenki i zające. Natomiast na niedźwiedziej skórze nic szczególnego z nim się nie działo.

Tomasz z pewnością wstydziłby się przyznać do niektórych swoich niezbyt jasnych skojarzeń. Rozmyślał bowiem o włochatości w ogóle. Dlaczego, jak mówiono, podnosił ręce na tej puszystej skórze? Dlaczego niedźwiedzie wszyscy uważają za miśe? Czy nie dlatego że takie włochate? Magdalena wtedy w rzece. Czy puchacz, dostając tych spazmów, nie czuł tego samego co on, tego dreszczu we śnie? Utożsamiając się niejako z puchaczem, przemieniając się w niego kiedy tak podrygiwał na łosiu, nie wiele brakowało a zapytałby czy chciał też Magdalenę rozedrzeć, albo czy słodczy doznawał nie dlatego, że już umarła. Jeżeli nie zapytał, tym lepiej.

Kurczęta też piszcza, ale takie są. Podwójność natury puchacza: bez obrony, ufny, serce bijące pod palcami, nogi zwisają niezdarnie, albo oczy zachodzące z dołu powieką kiedy drapie się go za uchem — i on, terror lasu nocą. A może nie jest wcale bandytą. A jeżeli, to jakby nie zmieniało to jego wewnętrznej natury. Może każde Zło nosi w sobie ukrytą bezbronność — podejrzenie, ledwie cień myśli.

Ciotka Helena, przyjechawszy na wiosnę i zobaczywszy puchacza, zaczęła szeptać z babką Surkontową. Zapadła decyzja żeby go sprzedać, bo myśliwi dobrze za niego zapłacą: sadzają go na słupku, sami chowają się w szałas z gałęzi i stamtąd strzelają do wszelkiego ptactwa, które zlatuje się żeby puchacza bić. Tomasz posłusznie przyjął wyrok, jakby pojmując, że żadnej miłości nie trzeba przeciągać poza jej kres. Co prawda z obiecanych pieniędzy nie powąchał ani grosza.

XXIX

Idąc do biblioteki wkładał kożuszek, bo jej nie opalano, ręce mu tam siniały od zimna, kiedy przebierał w starych pergaminach, mając zawsze nadzieję natrafić na coś o roślinach i zwierzętach. Porywał najczęściej po kilka tomów i uciekał w ciepło, żeby przejrzeć. Jedna tak wyjęta książka miała tytuł wypisany

literami pokręconymi jak węże i z trudem wysylabizował: „O Urzędzie miecza używajacem” ale dalszego ciągu nie mógł, poszedł więc do dziadka, żeby mu wytłumaczył o czym to jest. Dziadek włożył *pince-nez* i powoli czytał: „Wyznanie zboru Pana Christusowego [który w Litwie] z Pisma Świętego krótko spisane. Przytem tegoż urzędu obrona przeciw wszem jego przeciwnikom przez Simona Budnego napisana. K temu jasne z Pisma Świętego pokazanie [że Christianin może mieć Poddane wolne i niewolne] gdyby ich tylo bogobojnie używał. Roku od narodzenia Pana Christusowego 1583”.

Uderzał skórzaną pochewką od *pince-nez* o zapleśniałą okładkę i przewracał kartki. Potem chrząknął.

— To nie jest książka katolicka. Widzisz, dawno, dawno temu żył Hieronim Surkont. Ta książka chyba została tu po nim. Bo on był kalwin.

Tomasz wiedział, że „kalwin” oznacza kogoś bardzo złego, że jest to nawet przezwisko. Ale ci bezbożnicy, którzy nie chodzili do kościoła tylko do kirchy, należeli do odległego świata miast, kolei i maszyn. Tutaj, w Giniu? Oceniał zaszczyt, że zostawał przypuszczony do nieskromnego sekretu.

— Heretyk?

Palce dziadka schowały *pince-nez* do pochewki. Patrzył w śnieg za oknem.

— Hm, tak, tak, heretyk.

— A ten Hieronim Surkont tu mieszkał?

Dziadek jakby się przebudził.

— Czy mieszkał? Chyba, ale wiemy o nim mało. Głównie siedział w Kiejdanach przy księciu Radziwille. Kalwini mieli tam swój zbor i swoją szkołę.

Tomasz odgadywał w nim jakąś powściągliwość, opór, tę wykrętność dorosłych, którzy o pewnych osobach z rodziny mówią półgłosem i milkną, kiedy wejść nagle do pokoju. Twarze tych osób, niemożliwe do wyobrażenia, ginęły w cieniu, jak na poczerńniętych portretach — ledwo zarys brwi czy plama policzka. Ich jakieś winy, dostatecznie wielkie, żeby dorośli za nich się wstydzili, czas ich życia, stopnie pokrewieństwa roztopiały się w szeptach, albo w fuknięciach za mieszanie się do nie jego spraw. Teraz jednak odbyło się to inaczej.

— Jest rodzina Surkontów niemiecka. Właśnie od Hieronima. Prawie trzysta lat temu, w 1656 roku weszli tutaj Szwedzi. Wtedy Hieronim przeszedł na stronę króla szwedzkiego Gustawa Adolfa.

— Był zdrajcą?

Koniec nosa z fioletowymi żyłkami dziadek lubił brać

w dwa palce, nadymał nozdrza i kiedy puszczał nagle palce, wydobywał się dźwięk tch, tch.

— Był — i znów tch, tch. — Tylko że gdyby bił się przeciwko Szwedom, zdradziłby księcia któremu służył. I byłby zdrajcą też. Radziwiłł sprzymierzył się z Gustawem Adolfem.

Tomasz zmarszczył brwi i rozważał zawiły dylemat.

— To Radziwiłł jest winien — orzekł wreszcie.

— On. To był człowiek dumny. Uważał, że od Gustawa Adolfa otrzyma tytuł Wielkiego Księcia i nie będzie już podlegać polskiemu królowi. Wtedy by rządził Litwą i kazał wszystkim przyjąć religię kalwińską.

— A jeśliby jemu udało się, czy my bylibyśmy kalwini?

— Pewnie tak.

Przyglądał się teraz uważnie Tomaszowi i jego uśmiech nie wiadomo co oznaczał, może to, że przenikał myśl, która układała się w gasnące szybko pytania. Jak to jest, że jest się tym kim się jest? Od czego to zależy? I kim byłby, gdyby został kim innym?

— Ale Hieronim Surkont nie był właściwie kalwin tylko socynianin. To jeszcze jedna odmiana między tymi, co nie uznają papieża.

I opowiedział mu o socynianach czy inaczej Arianach, którzy wymyślili nową naukę: że nie wolno brać urzędów, ani być wojewodą, ani sędzią, ani żołnierzem, bo Chrystus tego zabronił. Także że nie wolno mieć poddanych. Jednak klócili się między sobą, wielu z nich mówiło, że Pismo Święte wyraźnie na to zezwala i ta książka jest, zdaje się, o tym. A Hieronim Surkont, kiedy wygnano stąd Szwedów, wywedrował i nigdy nie wrócił. Osiedlił się w Prusach, gdzieś koło Królewca.

Tak oto rzucono ziarno i dziadek nie wiedział jak długo przechowa się ono w roślinnym śnie wszystkich ziaren, czekających cierpliwie na swój czas. Zwinięte w maleńki węzeł leżały tam skrzywienia posadzki pod krokami przesuwanymi się wzdłuż półek, z których świecą białe kartki z cyfrą na ciemnych rzędach oprawy i łokcie oparte o stoły, w kręgu światła padającego z zielonego klosza i ołówek — ręka nim balansuje w powietrzu do wtóru pomysłu, który jest z początku nie więcej niż mgłą, bez linii i granic. Nikt nie żyje sam: rozmawia z tymi co przeminęli, ich życie w niego się wciela, wstępuje po stopniach i zwiedza idąc ich śladem zakątki domu historii. Z ich nadziei i przegranej, ze znaków jakie po nich zostały, choćby to była jedna litera wykuta w kamieniu, rodzi się spokój i powściągliwość w wypowiedaniu sądu o sobie. Dane jest wielkie szczęście tym, co umieją je zdobyć. Nigdy i nigdzie nie czują się bezdomni, wspiera ich pamięć o wszystkich dążących jak

oni do nieosiągalnego celu. Tomasz zdobyć miał kiedyś to szczęście albo nie, w każdym razie chwile jak ta z dziadkiem trwały w nim, wzywając wieku w którym głosy przytłumione przez odległość stają się cenne.

XXX

Hiszpan Michał Servetus ponad dwie godziny konał i nie mógł skonać, bo drzewa podłożono za mało i przez płomień jęczał skargi na oszczędność miasta Genewy: „Nieszczęsny ja, że nie mogę zakończyć życia na tym stosie! Dwieście dukatów i złoty łańcuch, które mi wzięto, kiedy mnie uwięziono, wystarczyłyby żeby kupić dość drzewa, abym spalił się, ja nieszczęsny!” (*)

A Kalwin, sztywno siedząc na krześle w półmroku swego pokoju, czytał Biblię i tylko jego wikary Guillaume Farel, któremu dym wyciskał z oczu łzy, krzyczał do smażonego żywca heretyka: „Uwierz w wiekuistego Syna Bożego, Jezusa Chrystusa!”

Przypadło Michałowi Servetowi, po dwudziestu latach ukrywania się we Francji, wśród papistów, aby ten los spotykał go za przyczyną odnowiciela chrześcijaństwa, któremu ufał, z którym wymieniał tajnie listy i pod którego obronę się uciekł. Ale jego duch był mocny i język w na wpół zwęglonych ustach jeszcze się poruszał, a słaby głos świadczył bluźnierczej prawdzie: „Wierzę, że Chrystus jest prawdziwym Synem Bożym, nie że jest wiekuisty”.

Został po nim szept po różnych krajach i gęsie pióra skrzyptały w Bazylei, Tubindze, Wittenberdze, Strassburgu, Krakowie, przepisując pożyczane w ukryciu od przyjaciół tezy przeciwko Trójcy. Książę prychał: „Schwermerieil” kiedy u studentów polskich w Tubindze odkryto zakazane pisma, uniwersytet drżał i starał się sprawę zamazać. Nie wymawiano imienia Serveta i nawet ten, który po powrocie z Padwy rozpowszechniał nowe odkrycie wśród zborów Polski i Litwy, Petrus Gonesius, dbał o to, żeby publicznie nie wspominać swego mistrza. Choć poznał się na nim Melanchton: „Czytałem książkę Litwina, który stara się przywołać Serveta z piekiel” — pisał. Jakub Paleolog się przywołać Serveta z piekiel” — pisał. Jakub Paleolog w Transylwanii i na Morawach układał wielkie dzieło swego życia

(*) Relację o ostatnich dniach Serveta podał Wiszowaty według zaginionych następnie źródeł. Patrz: Stanisław Kot. *L'influence de Michel Servet sur le mouvement antitrinitarien en Pologne et en Transylvanie*. W zbiorze „Autour de Michel Servet et de Sébastien Castellion”, 1953, H. D. Tjeenk, Willing and Zoon, N. Y., Haarlem.

już jawnie w obronie Hiszpana: „Contra Calvinum pro Serveto”, ale na skrzyni z jego rękopisami rękę położyła Święta Inkwizycja, kiedy został aresztowany i przewieziony do Rzymu na śmierć męczeńską.

Opowiadając, odtwarza się ludzi i wypadki z drobnych szczegółów, jakie dotarły do naszej wiadomości: byłoby niezbyt uczciwie zapewniać że Hieronim Surkont był niski czy wysoki, czarnowłosy czy jasnowłosy, jeżeli nie przechował się o tym żaden ślad, tak samo jak nie przechowały się daty jego urodzenia i śmierci. Jedno jest pewne, że Rzym uważał za siedlisko Antychrysta i że jeżdżąc konno w swoim łośiowym kolecie drogą wzdłuż Issy z melancholią patrzył na lud, niezdolny do przyjęcia prawdziwej wiary. Takie to i chrześcijaństwo, akurat na miarę papistówskich zabobonów: po nabożnych pieniądź w kościele, kobiety biegły żeby złożyć ofiarę węzom, bo jeżeli jej się nie złoży, siła opuści ich mężczyzn i nie będą zdolni spełniać małżeńskich obowiązków. Nie Pismo Święte ale jakieś bajania o bogu wiatru i bogu wody, którzy trzęśli światem, rzucając go sobie z rąk do rąk jak talerz. I te pogańskie obrzędy kiedy zbierali się osacznicy idąc na zwierza. I ciągle jeszcze tajne zgromadzenia pod dębami.

Musiał być dociekliwy, drażący każdą rzecz do sedna i szukał towarzystwa takich samych jak on — znalazł je w Kiejdanach. Uczył się pewnie tam wiele, żeby czuć się równym w tych dysputach przy blasku świec, w których przepierano się cytatami z Pisma: a nie, dialektyka waszmości wykrętna, sofistyką raczej winna być nazwana, bo to miejsce po hebrajsku inaczej się wyklada, cóż to, panie bracie, czynicie, albo w grece i w łacinie nie jasno pokazano, że tak i tak wykladać się ma? Wówczas trójczaki wiernie przestrzegający Kalwina i dwubożniki i nawet ci, co za Szymonem Budnym odmawiali adoracji Chrystusa, nie gnietli siebie wzajemnie, ich nienawiści łagodził wpływ księcia Radziwiłła, który, choć sam wzór czerpał z kościoła Genewy, nie bronił teologicznych sporów, a nawet skłaniał się ku nowościom. Na jego dwór schroniło się z Polski kilku Arian i nie spotkała ich krzywda, choć co prawda zachowywali pewne ostrożności.

Hieronim Surkont czy został ponurzony to jest czy otrzymał chrzest w wieku dojrzałym, przepisany przez Braci, którzy odmawiali ważności baptyzmowi dzieci? Nie wiadomo, w każdym razie trójczakiem być przestał i mękę Serveta, od dnia której upływało wtedy bez mała sto lat, ciągle zachowywał w pamięci. Że ów trójgłowy Cerberus podstawiony za diabelską radą na miejsce Jedyne go Boga jest potworem urągającym rozumowi — to przyjmował jako objawienie. Ogarniał doniosłość tezy, która

przewracała do góry nogami ład dotychczasowy: Bóg jest jeden i jedno jest jego Pismo, jasne, nie wymagające objaśniaczy jego tajemnic, kto je czyta dowiaduje się sam jak ma żyć i powraca ku czasom Apostołów, poprzez wieki które scholastyką próbowały zaciemnić proste słowa proroków i Chrystusa. Kalwin zatrzymał się w pół drogi, zabił Serveta z lęku przed prawdą. Kto nie zniszczy Cerbera, nie wyzwoli się całkowicie z mamrotów, odpustów, mszy za dusze zmarłych, błagań o wstawiennictwo świętych i tym podobnych czarów.

Ze szczupłych danych można wywnioskować, że w sporze, który od wielu dziesiątków lat dzielił Braci, skłaniał się ku dzieźnictwu, jakie zostawił Petrus Gonesius. To znaczyłoby, że nadzieję na zbawienie swojej duszy pokładając w Jezusie Chrystusie („jako zgnity pies jestem przed obliczem Pana Boga mego” — odcyfrowano na jednej z jego książek) utrzymywał, że Chrystus nie był współistniejący w bóstwie z Ojcem, że Logos, słowo niewidzialne, nieśmiertelne, przekształciło się w ciało w łonie dziewicy, czyli z Logos dopiero Chrystus wziął początek. Przeżywał więc z grozą, wdzięcznością i słodyczą ludzką naturę Jezusa, ale nie tak jak non-adoranci, którzy między Jeremiaszem czy Izajaszem i Jezusem nie dostrzegali żadnej różnicy i więcej powoływali się na Stary Testament niż na Nowy.

Co jednak z pismem Gonesiusa „De primatu Ecclesiae Christianae”, które zapewne studiował i z pismami jego następców? Hieronim Surkont nie mógł lekceważyć ich argumentów w innej, praktycznej, sferze, tych argumentów od których długo huczało na synodach Litwy. Gdyż to czego żądali mocno wspierało się na Ewangeliach. Czyż nie jest powiedziane: „Temu, który by cię uderzył w policzek, nadstaw mu i drugiego; a temu, który by brał płaszcz i sukni nie wzbraniaj”? Czy nie jest powiedziane: „Niechaj umarli grzebią umarłe swoje; a ty poszedłszy opowiadaj królestwo Boże”? Czy nie jest powiedziane: „Który słucha a nie czyni, podobny jest człowiekowi, który zbudował dom swój na ziemi; o który się otrąciła rzeka i zaraz upadł, a był upadek domu owego wielki”? Żydzi, Grecowie, niewolnicy i panowie mają być równi i wszyscy braćmi. Chrześcijanin nie przelewa krwi, odpasuje miecz. Darowuje wolność swoim poddanym. Sprzedaje swoje majątności i pieniądze rozdaje ubogim. Tylko tak staje się godny zbawienia i tylko tym różni się od bezecnych, których czyny przeczają mowie.

Okres, o którym idzie rzecz, przypadł już po odrzuceniu przez synody Litwy tych bezwzględnych wymagań, co doprowadziło wtedy go gorzkich swarów z Bracią Polskimi. Surkont więc odpierał zapewne argumenty, wskazując na Stary Testament i na przykłady z doświadczenia. Wyzwolić niewolnych

(zaiste ucisk i nędzę znosili wielką)? Ależ byłaby to wolność do pogaństwa, do barbarii i do rozboju. Kiedy za starosty żmudzkiego, Rekucia, uczyniono taką próbę, rozbiegli się po puszczech, wypadając stamtąd na kradzież i mord. A bliżej, ta chłopska rebelia ze wskrzeszeniem starych bogów, która dała się panom we znaki również w dolinie Issy. Odpasać miecz? Złą porę wybrali zwolennicy Gonesiusa na przekonywanie o tym: wtedy na wschodzie, za Dnieprem, nie wygaszały prawie wojny z Iwanem Groźnym. Przegrali, przegłosowano ich na synodach i odtąd się nie podźwignęli.

A oto Gustaw Adolf dzierżył miecz, fundując Imperium wszystkim protestantom. Nikt nie wie, jakie były wahania, jakie chwile decyzji Hieronima Surkonta. Jego książę rozaczał przed swoimi wizję potężną. Litwini, równie dobrze jak od króla Polaków mogli zależeć od króla Szwedów, z jego pomocą wydzierając obszary i dusze papistom. Dalej na wschód i na południe, aż po Ukrainę, wszędzie gdzie ciemne parochy, bełkocące o świętym Bizancjum, ale nie znające już greki, durzą lud, nieśliiby światło. Nie znalazłoby się zresztą innego sposobu: inwazja Jezuitów, ich przemysłne metody uwodzenia umysłów, ich teatry, ich szkoły, z każdym rokiem odciągały wiernych, motłoch studentki w Wilnie znieważał świątynie, napadał na orszaki pogrzebowe. Jeszcze trochę a z reformy na Litwie nie zostanie nic. Książę grał ostatnią kartę, wierze służąc i swojemu powołaniu protektora wiary. A cel odległy, tak: korona. I kto wie, to: szwedzkie, litewskie i polskie wojska w bramach Moskwy.

Jest się skłonny przypuścić, że nie tylko lojalność wobec księcia go popychała ale i pogarda dla wrzaskliwej masy szlacheckiej, którą książę zagrzewali do świętej wojny przeciwko heretykom. Nigdy chłodno rozumujący, nigdy nie otwierający Pisma Świętego, żywioł, ślepotą instynktu.

Wierny do końca. A doświadczenia straszliwe, chwianie się najbardziej zdawałoby się oddanych po pierwszych niepowodzeniach, walka bratobójcza, kraj spustoszony przez armie, łupieżcza beztroska sojusznika. Książę umarł kiedy papieści wdierali się do twierdzy, ostatniej. Należało sporządzić rachunek własnej klęski: chwila kiedy każdy człowiek powtarza za Chrystusem: „Panie, czemuś mnie opuścił”, a wola i duma rozpadają się w nicłość.

Spodziewajmy się, że Pismo było mu pomocą. I może pamięć o ich własnym, anty-trójczaków męczenniku, którego głowę owijał wiecheć słomy napojonej siarką, łańcuch przykuwał ciało do słupa, a do nogi przywiązana jego książka czekała na pierwszy płomień. Dokładny opis zgonu Serveta przechował się tylko dzięki współwynawcom Hieronima Surkonta ze zborów Polski i Litwy.

Oni to skopiowali manuskrypt, poza tym zaginiony. „Historia de Serveto et eius morte”, którego autorem był Petrus Hyperphragmus Gandavus. Nie, wygnanie nie mogło równać się z torturą ciała.

Ale Surkont zaznał tortury duszy, piętna zdrajcy i ważył swoje czyny, nigdy nie zyskując pewności czy postąpił jak był powinien. Pomiędzy obowiązkiem wobec króla, wobec Rei Publicae i wobec księcia, który nie trzymał mu za złe teologicznej różności. Pomiędzy wstrętem do papistów i odrazą do najeźdźców, którym powodzenia, nie przegranej musiał życzyć. Heretyk dla katolików. Ledwie tolerowany odszczepieniec dla protestantów. Zaiste, powtarzać mógł tylko: „Jako zgnify pies jestem przed obliczem Pana Boga mego”.

Przypadek pozwolił dowiedzieć się, że ostatni potomek Hieronima, lejtendant Johann von Surkont, student teologii, padł w 1915 roku w Wogezach. Jeżeli leży na wschodnim zboczu, tam, gdzie gęste rzędy krzyżów, które z daleka można wziąć za winnice, schodzą w dolinę Renu, cheszą trawę na jego grobie wiatry suche, od strony rodzinnej Litwy.

XXXI

Bitnikiem czyli pszczelarzem (od bité — pszczoła po litewsku) była w Giniu ciotka Tomasza, Helena Juchniewicz. Za swoją opiekę nad ulami otrzymywała część miodu i wosku — choć w rodzinie, ale według starego zwyczaju. Przyjazd jej zapowiadał wyciąganie przyborów ze specjalnej szafy i przebieranie się. Zapinała rękawy przy dłoni agrafką i wkładała na głowę maskę — coś jak kosz z zielonego muslinu. Zresztą pszczoły mało ją grzły i nie zawsze nawet używała rękawic. Tomaszowi poruczała nabierać żar z kuchni do podkurzacza z blachy z drewnianą rączką; na żar sypało się próchno i trzeba było nim długo machać, żeby się zatliło. W swojej masce, z nożem i wiaderkiem w jednym ręku, z dymiącym podkurzaczem w drugim, wyglądała jak — chciałoby się znaleźć porównanie, ale trudno, w każdym razie Tomasz gapił się na jej postać oddalającą się aleją w stronę uli z żarliwością. Kiedy wracała, z misv czerpała na gałgan kwaśne mleko przyskładając tam gdzie użądliły. Przy podbieraniu miodu Tomasz kręcił centryfugę — metalowy garniec, który obracał się na kiju: wtedy miód wylewał się z plastrow wstawianych tam w ramkach.

Nos ciotki Heleny, duży, kształtu piramidy, sterczał pomiędzy wysuniętych naprzód jabłek-policzków, zupełnie jak u babci Misi, do której była podobna, tylko większa i z nie-

bieskimi oczami. Uśmiech jak z cukru, mina świątobliwa, zdaje się że przynosząca jej wiele pożytku, bo przez nią przystrajała swoje pasje w niewinność. Głównym jej zamiłowaniem było skąpstwo, ale takie które nie polega nawet na oszczędności, tylko siedzi w głębi i każe postąpić tak czy inaczej niby z innych powodów. Jeżeli wypadła jej sprawa w miasteczku nigdy tam nie jechała, mówiła: „Taka śliczna pogoda, pójdę sobie spacerkiem” i szła te dziesięć wiorst, zaraz na drodze zdejmując buty „bo boso zdrowiej”. Właściwej przyczyny może ktoś doszukałby się w tym, że furmanowi wypadaloby dać kilka groszy, żeby sobie coś wypić, a buty się zdzierają. Dzielać miód czy mąkę, dbała o to, żeby innym przypadła lepsza część i wzruszała się anielsko swoją własną dobrocią, tylko że w tej lepszej części naprawdę krył się jakiś defekt. Na czeladny stół u siebie, jak mówiono, wydzielala wędliny jeżeli w nich załęgły się robaki, ale pewnie cieszyło ją jej własne dobre serce, że tak dba o ludzi, którzy prócz kartofli i klusek powinni przecie dostawać i mięso.

Po babci Misi odziedziczyła końską wytrzymałość i odporność, nie chorowała nigdy (zresztą gdyby zachorowała krzyknęłaby, że doktorzy na niczym się nie znają, żeby, broń Boże, nikt nie osmielił się którego sprowadzić). Dwadzieścia wiorst w kilka godzin to naprawdę był dla niej spacer, mogłaby zrobić chyba sto, tym swoim lekkim chłopskim chodem. I naturalnie kapała się w rzece aż do listopada. Tomasz nie widział u niej nigdy żadnej książki, nawet książki do nabożeństwa, jakby przysięgła nie tknąć druku, ale przecie kiedyś się uczyła, bo umiała nawet trochę po francusku.

Jej mąż, Luk Juchniewicz, jeżeli przyjeżdżał, rozpętywał jakiś teatr, w którym nie sposób było nie wziąć udziału, tak zaraźliwy. Wrzeszczał już na wozie, wyrzucał w górę ramiona, wyskakiwał i biegł, a poły pudermantla albo burki rozwiewały się za nim i tak, gotów do uścisku, piszczał dyszkantem: „Mamusiu! Ojejeje! ja tak ciesza się że was widza; Nareszcial! Ojejeje! Jak dawno nie widzieliśmy się!...” I cmok, cmok i mm mm... Ale najważniejsza w tym jego twarz: okrągła, z ciemną grzywką na czole, marszcząca się od serdeczności, od czułości, że żadna chyba inna twarz nie umiałaby się tak miąć. „Pocziwy Luczek” odwzajemniała się duszona i obśliniana babcia Misia, choć poza jego plecami tylko pobłażliwie wdychała: „Luczek to pocziwota”. Natomiast według babki Dilbinowej Luk stanowił dowód, że w starym powiedzeniu jest coś z prawdy: nad Issą rodzą się albo opętani albo dumowaci.

Tego lata kiedy Tomasz układał zielnik (tektury do niego wyżebrał od Pakienasa) nie zbliżać się do pszczoł nie licowałoby już z jego honorem badacza przyrody. Napierał się, aż ciotka

zgodziła się zabrać go ze sobą do pasieki. Ubrał się tak, żeby żadna pszczoła na pewno nie mogła się wcisnąć, w długie majtki dziadka spięte w kostce, w starą maskę z zardzewiałego drutu i w gumowe rękawice. Pszczoły, które ceni się za ich mądrość i na które splywa cała poezja miodowego smaku, są jednak zupełnie inne kiedy otworzy się ul, niż kiedy brzęczą w gałęziach lipy. Zapach ostry i gorączka, obłąkane wrzenie, surowość prawa — Tomasz pewnie źle Ginie przygotowywało do życia w społeczeństwie, jeżeli przeraził się czymś nienazwanym, bezlitosnym. Rzucaly się, żeby żądlić, obsiadały mu rękawice, ze zgiętym kurczowo odwołkiem wibrowały czepiając się łapkami gumi, sycząc — po to żeby spełnić akt dla nich śmiertelny i drgać bezsilnie, konać w trawie. Ciotka pracowała spokojnie, strzepując je od czasu do czasu niedbale. Ostrzegala: „Tylko bez gwałtowności!” ale na Tomasz działało bardziej niż ból, samo piekło ula, narzucające swój własny rytm, nie mógł go znieść i zaczął uciekać, wtedy pszczoły za nim (w ich bzyku, kiedy ścigają, słyzy się morderstwo), kwiczał, wymachiwał rękami, czyli cały zamiar czynu praktycznego skończył się niesławą.

Rośliny są lepsze bo spokojne. Niektóre, kiedy czyta się o nich w grubym „Zielniku Ekonomiczno-Technicznym” budzą chęć żeby przygotowywać tygle i moździerze i zakładać aptekę — bo niezwykle zachęcająco przedstawione są ich lecznicze własności. Widzi się niemal te wywary różnej barwy, które należy zlać i odcedzić, ekstrakty przez zalewanie spirytusem, konfitury z korzeni uważanych przeważnie za bezużyteczne. Wyobraźnia pogrąza w aromatyczny półmrok, jak w śpiżarni w Giniu. Jednak Tomasz wolał oddawać się na razie mniej praktycznej pracy kolekcjonowania gatunków.

Miał słabość do storczyków. Jest w nich czar tajemnicy istot żyjących w ciepłe i wilgoci, w północne okolice przynoszą wieść z tropikalnego południa. Ich łodyga, mięsistość zielonego ciała, tuż przy niej, zakrywające wieloramienny kandelabr, kwiaty co pachną dzikością i zgnilizną, ale słabo, żądają żeby wachać tak długo aż ta woń się uwyraźni i potrafi się ją nazwać, co nigdy się nie udaje. Pojawiają się na łąkach nad Issą w czerwcu, kiedy między jaskrawością traw parują jeszcze wody zalewu we wgłębieniach pełnych mułu i szczątków trzciny. Storczyk plamisty, jasno liliowy stożek popstrzony centkami ciemnego fioleto, jest trudny do uchwycenia w pełni rozkwitu, bo zaraz dotyka go tu i ówdzie rdza uwiadu. Tomasz przykłękał i dłuhał szczyrykiem w czarnej ziemi (szczyryki, niestety gubione od czasu do czasu, zaznaczały różne okresy jego życia. Po takim z drewnianą rękojeścią miał teraz płaski, cały z metalu). Podważał ostrożnie grunt, żeby wydobyć całą bulwę, rozkładającą grube

palce. Z tej bulwy storczyk wytryska na krótkie spotkanie ze słońcem, potem ona ciągle tkwi tam w głębi aż do następnego roku. Przyciśnięty między tekturami, storczyk rdzewiał a bulwa rozplaszcziała się, przybierając dziwaczne kształty.

Storczyk-podkolan to lekkość i ta białość, która świeci w letnie zmierzchy jak białość narcyza. Łąka nimi pokryta w wieczornej mgle od rzeki pełna jest małych widm. Niestety, podkolan zasuszony traci cały powab, zostaje tylko wysmukły rysunek brązowego koloru. To samo dzieje się z arum. Jak się przekonał, kwiaty które rosną na suchych miejscach przechowują się doskonale, prawie się nie zmieniają, ale jego ciągnęło do bujnej roślinności mokrych miejsc. Nawet owady, poruszające się w sprażonym piasku, w płątawisku żyłastych pędów, są nieciekawie, opancerzone, szybkie w ruchach. Co innego te w cieniściej dżungli.

Z mieszkańców wydm Tomasz zbierał dziewanny, jednak są za długie żeby je pomieścić w zielniku, musiał je łamać w zygzaki. I naturalnie gorliwie szukał tych kwiatów, które książka podawała jako rzadkie. Właśnie, ponieważ rzadki, ceniał zerwany między dębami przy cmentarzu pełnik (*Trollius*), rodzaj dużego jaskra, podobny do żółtej róży.

Dziadkowi pomagał w uprawie grządek pod ścianą z obu stron ganku — więc pleć, przesadzać i nosić wodę z sadzawki. Do kładki schodziło się po stopniach z darni umocnionej kołeczkami. Wiodła tam furtka (nikt nie odgadnie po co tam była) w drewnianym płocie niewidocznym pod zwalami chmielu i powoi. Zanurzał konewkę w warstwę rzęsy a duże zielone żaby, które skoczyły w popłochu za jego zjawieniem się, nieruchomiały przy patykach pływających na środku. Potem niósł konewkę, trochę stękając bo daleko, i przyglądał się, kiedy dziadek polewał, na ile mu starczy. Wieczorem pachniały mocno drobne niebiesko-szare gwiazdki maciejki, którą obsadzane były brzegi grządek. Dziadek hodował głównie lewkonie — ich kwiaty mają głębokie odcienie aksamitu — i astry które kwitną do późnej jesieni aż kładzie się na nich szron.

Rezeda jest niepozorna i nic w niej ładnego, ale Tomasz jej dawał pierwszeństwo, bo, tak jak storczyki, budzi chęć, żeby się w nią wwąchać i żał, że taka mała — rezeda wielkości kapusty, to by dopiero był zapach.

Ponieważ babcia Misia uważała, że choroba należy do rzeczy, które nie mogą zdarzyć się ludziom normalnym, nie wykorzystywano leczniczych zalet roślinnego świata. Spiżarnię z dawnych czasów nazywano co prawda „apteczką” ale lekarstw w jej szufladkach nie przechowywano, z wyjątkiem kwiatów arniki na stłuczenia i suszonych malin — odwar z nich brał na poty

dziadek, kiedy się przeziębiał. Tomasz, często podrapany i potłuczony do krwi, wiedział, że najlepszym środkiem są liście babki, przykładał taki liść i przewiązywał ranę kawałkiem płótna. Jeśli nie goiło się, Antonina ślinała kawałek chleba i ugniatała go z pajęczyną — to zawsze pomagało. Babka Dilbinowa wprowadziła użytek jodyny — krzywił się, bo piekła.

Botanicznym upodobaniem Tomasza nie sądzone było przetrwać dłużej niż przez jeden sezon. Zielnik, zakrojony na monumentalne dzieło o florze, coraz rzadziej wzbogacał się nowym okazem i dodatkowe tektury okazały się zbyt cenne. Uwaga jego zwracała się już ku ptakom i zwierzętom, aż zapomniał o wszystkim innym. Dokonało się to za sprawą ciotki Heleny — choć trudno określić czy jej rola miała się ograniczać do wypełniania przeznaczeń siostrzeńca. Zresztą nie Helena jest tu ważna, a pan Romuald.

XXXII

Romuald Bukowski, w koszuli i w gaciach, skończył po południu kosić koniczynę, zatknął kosę przy rowie i poszedł kąpać się do rzeczki. Odpoczął, rozebrał się i w wodzie do kolan mył się dokładnie, a czarny sznurek od medalika dyndał kiedy się schylał. Mydlił sobie wklęsły brzuch i uda z przyjemnością: jeszcze nie starość. Na mokre ciało włożył swoje szmaty i ściętką, przez sadzik, z kosą na ramieniu, do domu. Barbarka niosła donicę kwaśnego mleka z chłodnika, trąciła go mocno pod żebra łokciem — przy ludziach nie pozwalała sobie na poufałości. Dał jej głośnego klapsa po tyłku, ona w pisk, że wyleje jej mleko.

Psy skomliły ze swojej zagrody, ponieważ był w dobrym humorze sięgnął po trąbkę na ścianie pod dubeltówką i harapami z sarnim kopytkiem. Wrócił z nią na ganek i zagrał, a na to rozległy się ich jęki i płacze za wolnością i polowaniem. Potem w swojej starokawalerskiej alkwocie, otworzył kufer, golił się przed lusterkiem — zarost twardy, siny i szcztokował wąs. Twarz spalona słońcem na cegłę, sucha, białe nitki w czarnym wąsie, ale to nic.

Wciągnął buty z błyszczącymi cholewami, zapiał pod szyją kołnierz ciemno-granatowy frencza. „A gdzież to jedzie?” — zapytała Barbarka. „Łowić niedźwiedzie. Ty zakąsić co daj, a nie barabol”. Spomnięty rzemieni w kącie wyplątywał dwa siodła: „Leć zawołaj Pietruka, niech osiodła Karego i Kasztanek”. Pietruk pojawił się ze swoimi piegami i skrobaniem się przez dziurę w portkach, wtedy Romuald za nim, dopilnować żeby jak trzeba dopiął popręgów. Wskoczył na Karego lekko, kółka w ostrogach

pobrzękiwały, wiódł luzem drugiego konia. W kotlinkę i pod górę, po kamienistej drodze w lasku. Jarząbek furknął, położył się na końską szyję i patrzył za nim gdzie siadł.

Na palcu Romualda sygnet z herbem, ale nie złoty, żelazny. Frencz z domowego płótna, pofarbowanego na ciemno. Książęta Radziwiłłowie dawno, począwszy od szesnastego wieku znęcali kolonistów w dolinę Issy i Bukowscy przyjechali wozami z budą na łąkach przez bory, brody i bezdroża z Królestwa Polskiego w tutejsze puszcze. Wiodło się im różnie. Wielu z ich mężczyzn zostało na polach bitew ze Szwedami, Turkami i Rosjanami, bitew bliskich czy odległych od miejsca gdzie osiedli. Niektóre gałęzie rodu zbiedniały i zrobili się z nich rzemieślnicy czy chłopci. Ale Romuald przechowywał tradycje. Jego ojciec władał rodowym folwarkiem bliżej Wędziagoły, później działał, sprzedaje, kupna i przenieśli się tutaj. Żadna fortuna, o tym, kto kim jest nie decyduje pieniądź.

Za laskiem droga zniżala się na murawy, między płataniną przegród z wiązanych chrustem żerdzi. Żuraw studni, dachy obejmia; na przywitanie, kiedy mijał dom dotknęli obaj czapki. Masiulis, czarownik, siedział oparty o ścianę i pykał fajeczkę. Nie bardzo się lubili. Ziemi miał tyle samo co Romuald, ale co za sąsiad: i chłop i Litwin. Odprowadzał jeźdźca zmrużonymi oczami, pociągnął, zakaszlał się i splunął.

Piękny wieczór. Jeszcze jasność, ledwie podchodząca różowością z za czarnej masy na widnokregu, zaznaczonej ostro szczytami jedlin, a już księżyc-opłatek, echo niesie się od grania gdzieś pastucha na długiej tubie z drewna owiniętego brzożową korą. Puścił konia w kłus. Faluje ziemia, nie myśli się o niczym, jest tylko radość ruchu, radość nogi czującej ciepło i zgrabność zwierzęcia. A oto już ukazują się płaskie pastwiska i pola, na ich krawędzi kępa parku, za nią, w dziurze powietrza, w niebieskawej mgiełce, majaczej pagórki po drugiej stronie, za doliną rzeki.

Na skraju parku, na ławeczce obrośniętej brodami siwego mchu, Helena Juchniewicz wpatrywała się w nabierający mocy księżyc. Wyszła żeby odpocząć i odetchnąć powietrzem letniego wieczora, niech nikt nie twierdzi, że po to żeby przygotowywać się na przejażdżkę z panem Romualdem, bo wtedy chyba włożyłaby spodnie? Nie, nie pamiętała wcale że ot tak, żartując, wyznaczyła spotkanie, żadna grzeszna chęć nie kierowała jej krokami. Kiedy Romuald, który przywiązał konie do drzewa niżej, koło drogi, wspinał się ku ławeczce, krzyknęła: „och”, zdziwiona. Przywitał się z galanterią, składając ukłon i całując jej końce palców. Rozmawiali o pięknej pogodzie, o gospodarstwie, opowiedział parę żarcików i śmiała się. Wzbraniała się kiedy zapro-

ponował jej spacer, bo odwykła od jeżdżenia konno, bo zresztą nie była stosownie ubrana. Zgodziła się jednak wreszcie i nogę kładła w strzemię jakby urodziła się kawalerzystą. „Gdzie pojedziemy?” — zapytała. „Spróbuję tam — pokazał przed siebie — dobrze?”

Droga, smużąca się pyłem, prowadzi od Ginia wzdłuż Issy ku miejscom, gdzie tarasy pól są coraz bardziej strome. Najpierw z obu jej stron buchy i łąki, później, przypierana przez wyniosłość chroni się pod nadrzeczne wierzby aż za jedną, drugą wiosieczką gdzie przy domach schną długie wiązki naciętej trzciny, rozwidła się: dla dążących na tamten brzeg jest tutaj bród, dla tych co przedłużają podróż prosto, drapanie się na górę Wiłajni. Wartki prąd żłobi i podmywa ławice żwiru, pośrodku zarośnięte łożą. Bród wygodny, woda nie sięga po osie, w jesieni i w czasie deszczów niebezpieczny — konie wtedy chrapią, postępują naprzód strasząc się, ale jest się zdany na ich mądrość, bo nie ma jak sprawdzić co przed nimi. Góra Wiłajni, usiana wielkimi głazami i krzakami jałowca przypominającymi ciemne postacie, obrywa się stromo ku rzece która żłobi w niej parów. Ze szczytu widok rozciąga się zachwycający na tę niebieską wstążkę w dole i wysepki koło brodu, ale góra, dzika i pusta, zyskała czemuś złą sławę.

Już cisza, z mijanych zagród pachnie wieczornym udolem, czasem jeszcze ciurkanie mleka w wiadro i zniecierpliwiony okrzyk gospodyni: „E, Marga” kiedy ją krowa walnie po twarzy ogonem. Jechali w zmierzchu, w blasku tu i owdzie, z drzwi chat, w szczekaniu psów z za płotów. Bród lśnił się, łuszczyła się fala. Kiedy konie stukały kopytami o kamienie wypłukane przez deszcze na stromiźnie Wiłajni, Helena ściągnęła cugle Kasztance.

— Jakoś straszno.

Zaśmiał się.

— A cóż tu straszego?

— Broń Boże żeby nie wymówić tego imienia.

— U mnie na jego sposób jest.

— Jakiż to sposób?

— Grzecznie do niego przemówić, zaprosić do kompanii.

Wtedy nic nie robi.

— Jezus Maria, jak można! Bo ja wracam.

— Jaż tak, dla żartów.

Wspinali się, ciemność na zboczu gęstniała, lekki wiaterek kołował w trawach. Zatrzymali się na skraju obrywu. Rzeka pod nimi przebłyskiwała bladawo. Ptak zawołał płacząco tii-tii-tii lecąc gdzieś nisko.

Stają nieruchomi, brzęknie wędzidło, nad nimi gwiazdy a w nich równoczesność tego co było, co jest i będzie. Nikt nie

pozna serca Heleny. Chowa się tam wielkie przedrzeźnianie i dobra i zła, jakby i bogowie i ludzie istnieli tylko na niby, miny i gesty wybierało się takie jak się da, bo innych nie ma, a w istocie ani się wierzy w cokolwiek, ani nie wierzy, odgaduje się, że wszystko to komedia i tylko zwinięte w kłębek, w ciepłym gnieździe, przykryte, pragnienie. Życ, mieć, nie służyć nikomu i niczemu, nikomu i niczemu nie poświęcać siebie. Albo może ta wątpliwość, której nie wyznaje się prawie sobie, ale która odzywa się jak szept fali, stanowi u Heleny jedyne wezwanie prawdy i miesza się z tym żal, że nie dano jej nic więcej.

Mleczna Droga, nazywana w tym kraju Drogą Ptaków, rozstawiała swoje promieniste znaki na niebie.

Czesław MIŁOSZ

(D. c. n.)

POLSKIE SŁOWO NA OBCZYŻNIE

ROZPOCZYNAJĄC DRUGIE DZIESIECIOLECIE
SWEJ PRACY NA OBCZYŻNIE

KSIĘGARNIA POLSKA W LONDYNIE

ORBIS

38, Knightsbridge, London S.W.1.

przesyła wszystkim swoim Klientom i Przyjaciółom

podziękowanie

za dotychczasowe zlecenia i zapewnienie
najstaranniejszego załatwiania Ich zleceń nadal.

Zawsze na składzie ponad 3.000 tytułów.

WSZELKIE NOWOŚCI WYDAWNICZE

o r a z

PLYTY GRAMOFONOWE POLONIA

Około 100 płyt własnych nagrań
w wykonaniu najwybitniejszych polskich artystów
na emigracji.

Płyty wysyłamy w specjalnym opakowaniu i ubezpieczone.
W Paryżu: Księgarnia Princesse, 15, rue Princesse, Paris 6.
Katalogi książek i płyt wysyłamy na żądanie bezpłatnie.

Nasza stała lektura

Zasadą „pastiche'u” jest prawdopodobieństwo. Odtworzenie stylu i treści pisarza tak aby mogło się „niemal” wydawać, że to oryginał. Znaczna część nadesłanych „pastiche'ów” „Kultury” przeciąga strunę treści, nie utrafiając w sedno stylu. Ale nawet mniej udane „pastiche'e” zawierają trafne shtychy.

Zabawny jest artykuł przypisany Jerzemu Renckiemu pt. „A.B.C. Instytucji Emigracyjnych”. Wykracza on jednak z dziedziny „pastiche'u”, stając się samodzielnym dowcipem. Przesłano go nam anonimowo. Warto przytoczyć kilka z tych instytucji:

1) Zarząd Emigracji i Spółka. Skrót: Z.E.SPÓŁ. Siedziba: Maisons Laffitte. Zakres działania: Sprawuje rząd dusz, odkrywa Amerykę, strzeże domu „Kultury”.

2) Katolicko-Inteligentka Rada Kierująca Ewolucją Narodu. Skrót: K.I.R.K.E.N. Zakres działania: Organizuje plebiscyty, arbitruje spory, podnosi poziom życia politycznego do miary Bywalca, a życia kulturalnego do miary Sądka. Wpływa decydująco na wybór Miss Polonu.

3) Centralna Agencja Tumanienia. Skrót, C.A.T. Zakres działania: Broni pamięci Stanisława Augusta, a interesów Stanisława i Augusta.

4) Armia Narodowa Doszkalająca Energicznie Rzeźkich Starców. Skrót: A.N.D.E.R.S. Zakres działania: Czuwa i czeka.

Ten sam anonimowy autor proponuje, do działu „W Dwóch Słowach”:

FRANCJA.

CHAIX. Indicateur des Chemins de Fer.

Ciekawie ujęta praca, z wieloma użytecznymi danymi, o prostym, rzeczowym stylu. Podaje rozkład pociągów do Maisons-Laffitte.

Szkoda że „listę wplat” i artykuł pt. „Meblujemy Dom” (wraz z poświęceniem numeru Zuchom w Itace) nadesłano nam anonimowo (z Francji).

Nagrody przyznajemy: Józefowi ŁOBODOWSKIEMU (Madryt) za pastiche Miłosza, Gombrowicza, Parnickiego, Pankowskiego, Andrzejewskiego i Jeleńskiego oraz Romanowi KRZYCZKOWSKIEMU (Londyn), który nadesłał nam artykuły Mieroszewskiego i Zarzewskiego oraz wiersz Danuty Bienkowskiej. Mamy pewne wątpliwości co do artykułu W.A. Zbyszewskiego (opracował K.A. Jeleński): jest to może raczej Zbyszewski z „Wiadomości”, niż Zbyszewski z „Kultury”. Mamy nadzieję że nasz „éminent collaborateur” (jak mawia „Figaro” o Mauriacu) nie weźmie nam tego za złe.

KULTURA

Numer poświęcony (po raz dziewiąty) zespolowi Zuchów w Itace (Ohio)

DALSZE WPLATY NA DOM „KULTURY”

Jan Kowalski Lens	1.000 fr.
W. A. Londyn	100 ”
Stanisław Kamiński, Nowy Jork	100.000 ”
Mrs. Weatherington-Boomingdale, Lond-Island	1.000.000 ”
Anonimowo	1 Talar Marii Teresy

Meblujemy dom

Dom „Kultury” istnieje. Zbudował go wysiłek naszych czytelników. Pisałem niedawno o cegielkach na restaurację Wawelu. Ale ze wzruszeniem widzimy że, podczas gdy nie od razu Wawel zbudowano — dom Kultury powstał w dwa miesiące. Przekonał się że „Kultura” ma korzenie w szerokich rzeszach naszych czytelników. Jakże nie być poruszonym tym od-

dźwiękiem? Cegielkom towarzyszą listy... I jednakowo nas wzrusza milion naszej przyjaciółki pani Weatherington-Boomingdale, jak Talar Marii Teresy włożony do butelki na pełnym morzu przez polskiego marynarza! Ten dar, przyniesiony przez fale aż na brzeg naszej rzeki Seine-et-Oise, ma dla nas szczególną wymowę... Ale Apel nasz trwa. Cóż z tego że mamy dom, kiedy nie ma foteli na których mógłby usiąść Zespół, badający w naszym archiwum przemiany jakie zachodzą w Kraju? Cóż z tego że mamy dach nad głową, kiedy nie mamy gdzie spocząć po całym dniu niezależnej pracy nad samodzielną myślą polityczną?

Ale i tutaj też czytelnicy zaczęli wyczuwać powagę sytuacji. Z dalekiej, północnej Szwecji przyszedł nocny stoliczek! Z Kenii polski plantator przysłał nam wydrążoną kość słoniową na popielniczkę! Nawet najdrobniejsze przedmioty domowego użytku mają swoją głęboką wymowę. Szczoteczka jest dla nas wyrazem solidarności. Ściereczka może wyrażać głębokie zrozumienie potrzeby niezależnej ewaluacji położenia dalszych pokoleń emigracji! Jednych nekają groby, innych trapią kolyski. W toku codziennych, szarych spraw, coś szepcze: „Kultura nie ma mebli”. Za to że słuchacie tego głosu — dziękujemy.

Józef CZAPSKI

Fragmenty z dziennika

Poniedziałek.

Ten Portorikeńczyk, przyjaciel Kuki, zapytał, jak to się dzieje, że mam negatywny stosunek do książek, chociaż cenię literaturę, i zaraz wszyscy zaczęli krzyżeć, żebym się wytłumaczył.

Negatywny? Ależ skąd! Entuzjastyczny raczej. Choć, co prawda, dotychczas nie mogłem stwierdzić, czy Książka jest dla mnie ważniejsza od Literatury czy odwrotnie? Czy Literatura tworzy Książkę, czy Książka — Literaturę? Najpewniej jest tak i owak, a może jeszcze zupełnie inaczej, gdyż w tym klimacie, w tym powietrzu, w tej aurze, w tej konstelacji, w tym układzie, w którym obraca się subtelność, ostrość, delikatność, nahałność abstrakcyjnego intelektualizmu, gdzie miękkie staje się twarde, a twarde miękkim, od dawna wiedziałem, że Polacy nie znajdują się ani na Książce ani na Literaturze. Od czasu, gdy przestałem łączyć na czworakach i zaniosłem mój pierwszy rękopis do Kistera, zdałem sobie sprawę, że Polak nie chce patrzeć na to miejsce moje, gdzie pion staje się poziomem, przegrana przechodzi w wygraną, grzech — w zasługę, cnota — w niemoralność, że nie potrafi odkryć, dlaczego właściwie piszę i jakie są tego następstwa.

Czas więc wreszcie stać się sobą, wyzwolić się bez reszty i całkowicie, i zoperować ten korzeń, który sięga tak głęboko, że... Co pomyślał, ujrzałem Ducha i ten mi powiedział: — Paszół won, pęta! —

Wtorek.

Zagłębiliśmy się w pampę, na której pasły się kozy i cielęta. Jedno z nich popatrzyło na mnie, jak cielę na malowane wrota. Ricardo zaproponował mi, żebyśmy zjedli po kawałku cielęciny. A mnie rozboleł brzuch. Boli i jestem trochę podekscytowany. Podkrecony! I zresztą nudzi mnie, że ten chłopiec jest taki nieoryginalny. Gdy mu podają konia, wkłada lewą nogę w strzemień, gdy idzie do kąpieli, rozbiiera się, a teraz poczęstował cielęcina, bo zobaczył cielęta. Brzuch boli. Motyle furczą.

Sroda.

Gdyby brzuch mnie nie bolał, byłbym poważnie zadowolony, a może nawet zachwycony. Szliśmy pampą, obok szedł Ricardo w pumpach, a za nami dwóch parobków bez pumpów. Wówczas zdarzyło się coś wspaniałego. Mianowicie wszyscy upadli na kolana (ja także), a ręka Ricarda dała mi do ręki scyzoryk, podczas gdy lewą nogą (w pumpach) wskazywał coś w pampie... Pum. Pam. Pim. Rzuciłem się naprzód.

Zaszurało, zafuręgało, zalsniło, zabłyszczyło. Skoczyło, wybdyczyło się i ulotniło.

I tylko furczenie motyli. Wstałem i zacząłem iść do domu, jakby nic... Puma. Puma! Puma!!! Puma, przestraszona, ale nie do reszty, przepędzona, ale nie całkiem. I ten scyzoryk, ten scyzoryk, który się zamierzył i, co gorzej, uderzył!!! Brzuch boli. Oszołomienie, oślnienie, zdumienie i rozwolnienie. I ta puma, niecałkowita, niepełna, niedostateczna, niedojrzała, niedowarzona puma tam... Brzuch. Ból. Boli brzuch. Motyle furczą.

Czwartek.

Położyłem się, jak zwykle, koło północy i zjadłem kolację w łóżku: makrelę z kalafiejem i pralinowe czekoladki. Wystawivszy nogę spod prześcieradła, oglądam nagniotek na małym palcu. O trzeciej obudził mnie telefon. Dzwonił Poczoczo, żeby umówić się na łowienie ryb z Pirulą. Otworzyłem okno i wyjrzałem. Ulica: wiadome porykiwania, szurania, szepty. Położyłem się znowu. Coś się ze mną dzieje, ale co?... Spałem do rana.

Powyższe ogłaszam, byście wiedzieli, jak spędzam moje noce.

Piątek.

Los Pantalones. Kąpielisko na szczytach Andów. Patrząc na panie i panów, siedzących w wannach i popijających refresco przy akompaniamencie arii z drugiego aktu „Pajaców”, doszedłem do niezbitego wniosku, że w pewnych sytuacjach mężczyzna jest kluczem do kobiety.

Sobota.

Przeczytałem książkę Miłosza. Potężna rzecz. Miłosz jest dla mnie objawieniem. Jedyny pisarz emigracji, który był w centrum pożaru. Spalił się na proszek, gdy inni tylko przypalili pośladki. Teraz chodzą obandażowani, pooklejani plastrami. Cóż za hańba! Nie brak u nas talentów, Jeleński na przykład pisze o mnie urzekająco, lubię też czytać listy Giedroycia, ale któryż z nich smażył się na patelni? Miłosz — tak, skwierczał w oleju, aż pozostała z niego garstka szarego proszku. I wtedy właśnie ukazał mu się Sfinks, dmuchnął i popiół Miłosza rozwiął się na kosmicznym wietrze.

To bardzo wiele. To lojalność wobec spalonej Warszawy. A jednak nie wystarcza. Miłosz nie powinien być zbyt lojalny. Oczekuję, że się przetworzy i powstanie z proszku na nowo.

Witold GOMBROWICZ

Obiekt i nicość

Zgadzam się, oczywiście, że litery, sylaby, słowa, zdania i okresy mają swoje znaczenie. Cezar stanął nad rzeką i powiedział: „Alea iacta est”! Po pijanemu mówimy nieskoordynowanymi dźwiękami, a ileż w nich celności, o jakiej nie śniło się Valéry’emu. W świętej księdze Buszmenów „Bwabwa” synkopy zdań podporządkowane są rytualnemu dźwiękowi, wydobywanemu przez czarownika, gdy kręci palcem w nosie fetysza (spirali ruchu odpowiada spirala dźwięku, przeciw naszej centralizacji cywilizacyjnej). Okrzyk „be” w ustach dziecka nie ma nic z przypadkowości i nieraz pozwala nam dotrzeć do sedna (czyżby chodziło tylko o pieluszki?) Uzupełnię te przykłady kilkoma własnymi przeżyciami:

Leżę w łóżku, słuchając odgłosów nocy. Krople wody dzwoniące o rynnę, mają zmienną kadencję: cymbały grają pod ręką Jankiela; ktoś spóźniony puka do drzwi hotelu; telegrafista przekazuje depeşe.

Chłop przed chałupą piuje drzewo. Dźwięki są raz pieściwe, subtelne, kiedy indziej dramatyczne, groźne. O takiej muzyce nie śniło się Strawińskiemu. Kakafonia (urocza!) cepów bijących w klepisko. Jest taki instrument, zwany „hebel”, za którego używanie w wieku XVIII wieszano sprawcę, tak przejmująco działa na nerwy.

Czyż zresztą sami kompozytorzy nie chylą z pokorą głowy przed dźwiękami tego typu, uzależniając — jak Paganini — s w ó j utwór (przez siebie stworzone p i z z i c a t a) od formacji strun — z jelit cielęcych czy baranich?

K.A. JELEŃSKI

Seksualizm i demografia

Kilkakrotnie już starałem się przekonać Polusów że jedynym sposobem zapewnienia dobrobytu jest drastyczne ograniczenie przyrostu ludności. Przed wojną różne sanacyjne analfabety wzywały mnie na „konferencje budżetowe” pytając mnie o radę co uszczknąć ze szkolnictwa, budownictwa, utrzymania dróg aby wzmóc produkcję drogich Rydzowi wojskowych guzików od płaszcza. „Les Polonais n'ont qu'à moins f....”, odpowiadałem zirytowany, ale przecież te nasze pułkownicy nie rozumiały nawet po francusku. Dochodzę tu do sedna sprawy: przyrost ludności jest ściśle związany z seksualnymi obyczajami danego narodu. Wystarczy wpuścić nos w jakąkolwiek statystykę aby zrozumieć chociażby, że im mniej w danym kraju perypatetyczek, tym więcej rodzi się bachorów. Póki we Francji królowały la Cócotte, la Demi-Mondaine, albo chociażby la Fille de Joie, czy la Grue — przyrost ludności spadał, i wszystkie Harpagony i ojcowie Goriot obrastali w pierze. Od czasu nieszczęsnych dekretów antypatycznej Marthe Richard krzywa przyrostu ludności pędzi do góry jak oszalała. Nie będę czytelników zanudzał mymi własnymi łózkowymi sprawami. Zostawiam te paskudztwa różnym Gombrowiczom i Miłoszom. Jestem nawskroś normalny i odczuwam największe obrzydzenie do pederastii. Zawsze staram się nie być sam na sam z żadnym pedziem, tak by mnie żenowały jego „awanse” w stosunku do mnie. Onanizm nudzi mnie niepomierne, choć uważam karę Onana w Starym Testamencie za grubo przesadzoną. Jako katolik i kawaler, rozwiązałem tę sprawę najtrudniejszą drogą Świętego Szymona Słupnika i Św. Agapita: drogą czystości.

Ale cóż ma robić przeciętny człowiek wieczorami w tak ekonomicznie nędznym kraju jak Polska jeśli nie płodzić dzieci! Przy tym niesłusznie uważa się pod tym względem Polusów za naród opieszale. Jeden z tych potwornych babusów które się szarogęsiły w Polsce jako różne: „Panie Janowe”, „Panie Stefanowe”, „Panie Bogumiłowe” i którym dawniej „Czas” a teraz „Wiadomości” poświęcają regularnie nekrologi, opowiadał mi kiedyś, że jakiś proboszczunio na jednym z jej folwarków skarżył się pojękiwując: „Mówię Pani Hrabinie, że u chłopstwa jeszcze większe zgorzenie jak u Jaśnie Państwa!” Dodawała przy tym mrużąc oko: „Comme il confessait la famille, ça ne devait pas être peu de choses...”

Nie wiem zatem czy perypatetyczki nie są obok abstynencji — najlepszym środkiem ekonomicznego wzrostu kraju. Lepsze to w każdym razie z punktu widzenia teologii od obrzydliwego „birth-control”, które propagują kraje protestanckie.

W.A. ZBYSZEWSKI

Notatki z lektury

Ktoś oświadczył, że uważa mnie za pisarza politycznego. To bardzo mgliste. Nawet w Dwudziestoleciu istnieli ludzie (należałem do nich), którzy wiedzieli, że każde nasze słowo, chcąc nie chcąc, dociera do uszu innych, a tym samym skłonić ich może do działania, nawet politycznego. Oto przeraźliwa konsekwencja: byle jakie odezwanie się uderza o bębni słuchowe, a ich posiadacz gotów jest zacząć bić w bęben polityczny. Wiedział o tym już Majakowski, malując sobie czarne diabełki na war-gach (zastępcza funkcja obrazu), a jego „Obłok w spodniach” zostawił trwalszy ślad w dziejach Rosji i świata, niż wszystkie posunięcia Lenina i Trockiego.

Te myśli opanowały mnie z nagłą ostrością, gdy wchodziłem do paryskiego lokalu z książką Putramenta, niegdyś mego przyjaciela, który pozostał w kraju i oddzielił się ode mnie gładką ścianą wrogości. Jakiż tragizm w tym, że zamiast chodzić ze sobą pod ramię, możemy jedynie swoje książki nosić pod pachą. Utrwaliłem tę chwilę w następujących słowach:

*W barze paryskim myślałem o tobie,
któryś pozostał na warszawskim bruku.
Drzwi się zamknęły z przejmującym skrzypem,
wtargnęła fala mroźnego podmuchu.*

*Któż to nam taką los na wieki ukuł,
że my, co razem grywaliśmy w klipę,
dziś rozdzieleni... Putramencie, druhu,
wspólnie wileńskie toczyliśmy boje,
dziś — ty tam siedzisz, a ja — tutaj stoję.*

Czesław MIŁOSZ

Za drzwiami wielkiej niewiadomej

Od tego pamiętnego wieczoru, kiedy Antynor po raz pierwszy zaniósł do łóżnicy małżeńskiej piękną Pentykapeję, w życiu obojga zaczęły dźbiać się sprawy, na razie przed nimi ukryte, a przecież tak proste, aż się później dziwili, w jaki sposób mogły ująć ich uwagi. Wprawdzie czarny kot z miauczeniem przebiegł im drogę u samego wejścia do weselnej komnaty, jednak nawet ich wyćwiczone w filozoficznej dyscyplinie umysły nie zdołały połączyć miauczenia zwierzęcia z Wielką Niewiadomą.

Zaczął się od tego, że Antynorowi odebrano stanowisko dogładcza niewolnic królewskich i kazano dogłądać Głównego Eunucha, który, choć cieszył się łaskami późniejszej królowej

Trebizondy, miał niemiły zwyczaj czkania głośno podczas przewleknięcia paciorków z gałki muszkatułowej przez nos nałożnicy Palimpsesty, sprowadzonej jeszcze za panowania Hieroglifa Wielkiego z miasta Rumbarbarum, znanego z pięknych dziewcząt, choć niektórzy twierdzili, że przywożą je z krajów bardziej oddalonych, zaś w mieście owym jedynie przetrzymują przez pewien okres, by poddać czynności kwitnienia i obrzezania. Antynorowi przyszło to z dużym trudem, ze względu na siostrę króla, cudną Bastardomachię, która od tego czasu nie tylko patrzyła na niego z ukosa, ale przy jego ukazaniu się zaczynała rytmicznie uderzać lewą stopą, obutą w sandał z kałakuckiego szyldkretu, w deskę z marmuru, inkrustowaną ulegalkami ze szczerzego złota; ale nawet i te fomy, gdy raz się rozwiały w pamięci, przestały być rzeczywistością, zwłaszcza w zestawieniu z trudnościami w rozśądzeniu sprawy między młodym Barbitonem i tubylcem z przedmieścia Karakaput, którzy pobili się łyżkami o odrobinę zeszłorocznego kisielu po siódmej wodzie; ponieważ gliniana miska, w której wspólnie jedli ów kisiel, pochodziła z kamieniołomów, oddanych w pacht jeszcze przez Sufraganta Zółzowatego tubylczemu szczepowi Galgameszów, ów Karakaputczyk miał zupełną rację, iż zdzielił Barbitona w łeb łyżką z drzewa sufir, rosnącego wyłącznie nad Bifurkacją, czwartym dopływem, licząc od Krainy Wiecznego Zaćmienia Słońca, szeroko rozlanej rzeki Piramidonu; z drugiej jednak strony prawo trebizondzkie przewidywało, że jeśli tubylec dokona zamachu na któregoś ze zdobywców, a świadkowie zgodnie stwierdzili, iż tubylec z przedmieścia Karakaput zamachnął się drewnianą łyżką na młodego Barbitona, powinien zostać skazany na wrzucenie do studni, w której gnieździły się węże z gatunku Bazyliszków.

— Dlaczego się martwisz, mężu? — pytała go Pentykapeja, przeginając się lubieżnym ruchem, wyuczonym w czasie, gdy przebywała na dworze satrapy Kalafonii, i prężąc łędźwia, pokryte siatką ze szmaragdów, wielkich jak kocie łby, którymi wybrukowany był królewski dziedziniec.

— Krew z rozbitej głowy Barbitona na mnie ciąży i Palimpsesta nigdy mi tego nie przebaczy.

— Palimpsesta nie przebaczy ci czego innego.

— Czego?

— Czw zauważyłeś, że piękna Bastardomachia szarpnęła struny harfy, aż pękły, gdyż jej składał należyty hołd w drugiej kwadrze księżycy?

— Miałoby oznaczać, że muzyczne upodobania siostry królewskiej sprawiły, iż zbrodniczy Karakaputczyk był jedynie instrumentem w rękach Palimpsesty?

— Rzekłeś, o mężu.

I zrzuciwszy z siebie chiton, tkany rękami dziewcząt birlibockich z pajęczyny, dowożonej przez kupców karakałpackich z krainy Wyjącego Szakala, Pentykapeja pozwoliła zanieść się do łożnicy.

Teodor PARNICKI

CENTKOWANA ZEBRA

*Oto strof moich jedyny więcierz
na dno sadzawki zapuszczam,
z bioder kobiecych muszli
morszczyzny bałtyckie zgarniam;
na Kupaly rozjuszonym święcie
szumi pogańska puszcza,
i już poplochu-ście uszli,
za wami słów moich psiarnia.*

*Gospodarz na dłoni swej szorstkiej
podaje dzieciństwa plaster,
wam — miedziaki wytarte,
mnie — kose kulego srebra.
Nad urwanym z kótewic, miastem
hetmańską zaciągam warę,
po rozlogach pra-mowy polskiej
centkowana cwałuje zebra.*

*Dalekosiężnym uderzam wierszem
w ramiona paralityków,
rozpinam śpiewającą antenę,
niech się cięciwą napręży!
Zaczepte się o nią i pierwszy
wylecę pociskiem krzyku
tam, gdzie krowa z zielonym wymieniem
w okno nocy wrykuje: księżyc.*

Marian PANKOWSKI

POETA NIEDOCENIONY

*włosy miał nastroszone
w których hodował ptaki
co wylatując
nigdy nie potrafiły usiąść
na grzędach ludzkiego uznania*

*żaden koń z jego stajni
nie dotarł pierwszy do mety
choć batów im nie szczędzili
dziękuję niepopularni*

*nie mógł wygrać ani jednej recenzji
na totalizatorze krytyki*

*śmierć przyszła
wypisała mu nekrolog
z malej litery
bez kropek i bez przecinków*

Bogumił ANDRZEJEWSKI

CZTERY SCHODY W GÓRĘ

Szłam po schodach
Kręconych na górę,
Z piętra na piętro;

Na schodach był dywan
Czerwony z obiciem,
Ze schodka na schodek;

A za drzwiami na piętrach
mieszkali różni ludzie —
Jeden grał na mandolinie,

Drugi na harmonii
A za drzwiami trzecimi
Ktoś płakał jak dziecko...

Doszłam na górę do strychu. Tam, mój maleńki,
Bóg patrzył na nas dobrotliwie
I słońce jeździło na welocypedzie.

Danuta BIENKOWSKA

ARCHIWUM POLITYCZNE

OSWIADCZENIE ZESPOŁU „KULTURY”

.. Wobec bezskutecznego apelu o demokratyzację funduszu samopomocy B.Z.W.D., Zespół „Kultury” oświadcza że niecelowe, a nawet wręcz szkodliwe byłoby ze strony emigracji „A” płacenie rocznych opłat, 3 pensy od głowy, na rzecz B.Z.W.D. Dopiero po uznaniu naszego „dwudziestopięcioprocentowego postulatu”, powitamy z uznaniem każdą inicjatywę, demokratyzacji funduszu B.Z.W.D.

Zespół „Kultury”

Wyjaśnienie: Szereg czytelników prosi nas o podanie składu osobowego Zespołu „Kultury”. Do Zespołu należą: Redaktor Jerzy Giedroyc, Redaktor Giedroyc Jerzy; Giedroyc Jerzy, Redaktor; J. Giedroyc, Redaktor; Giedroyc Jerzy; Jerzy Giedroyc; Redaktor; Giedroyc; Jerzy; oraz inni członkowie Zespołu „Kultury”.

List z Wyspy

O TRZECIĄ EMIGRACJĘ

(Od londyńskiego korespondenta „Kultury”)

Zostałem zaproszony na kawę do londyńskiego „Ogniska” przez dwóch wybitnych działaczy „Zamku” — obydwaj są jednocześnie chodzącymi personifikacjami emigracji „A”. (Lat 45 lub więcej. Dochód roczny 500 funtów lub mniej). Pierwszy z mych rozmówców jest podtatusiałym, wieloletnim i zapewne dożywotnym prezesem Związku Obiecujących Młodzieńców. Drugi, z szarej eminencji przekształcił się ostatnio w ministra.

W ciągu dwugodzinnej rozmowy — a właściwie ich dialogu — stała mi cały czas przed oczyma sylwetka młodego marynarza, który po kilkuletnim jałowieniu w Z.O.M. w „służbie emigracji i wojsku” zbuntował się nareszcie przeciwko skostniałej hierarchii organizacji. Po naturalizacji (Nb. nie wiem dlaczego Grydzewski oburza się na to słowo. Rzeczywiście nie ma go u Kryńskiego, który mówi o „przyjęciu obcego poddaństwa” ale to oczywiście zupełnie co innego. Kryńskiemu nie śniło się o emigracji Polaków do Anglii!) Otóż po naturalizacji, mój marynarz zaciągnął się na węglarkę kursującą pomiędzy Szkocją i Irlandią. Ma już żonę Walijkę i syna Anglika. Opowiadał mi również, że włożył dużo wysiłku aby się nauczyć poprawnie kłać po amerykańsku.

Pomimo całego szacunku dla poglądów mych rozmówców, uważam że ten marynarz postąpił słusznie i z większą korzyścią dla sprawy polskiej niż dwadzieścia odpraw kierowników Z.O.M. Jeden krok poza ghetto londyńskie i z iloma narodami zachodu nawiązał kontakt! Jak nieskończone większe są jego możliwości oddziaływania na opinię światową niż polityków z Ogniska.

Swoją drogą zdumiewające jest jak z pnia tej samej organizacji wywodzą się tak różni ludzie. Co muszą myśleć młodszy koleś mego marynarza, którzy winni już mieć pewne aspiracje a ciągle jeszcze pozostają pod stęchłym wpływem prezesa Z.O.M. u?

Wydaje mi się że jest to Trzecia Emigracja. Emigracja „C”. Mówiąc brutalnie, w tej chwili ma ona trzy cechy: Lat 45, albo mniej. Dochód dorywczy i niestały (często stypendia). Zainteresowania żadne.

Musimy sobie jasno powiedzieć, że w rękę tej emigracji leży klucz do rozwiązania naszych zagadnień. Wierzę, że młodzież ta, jak dojrzej, potrafi przejąć ster Londyńskiego Teatru Wyobraźni, zwłaszcza jeśli zajmie odpowiednio myślące stanowisko wobec odprzemysłowienia Francji i uatomienia Niemiec o czym pisałem przed miesiącem.

Juliusz MIEROSZEWSKI

PRZEGLĄD GOSPODARCZY

Uran czy złoto ?

Związek Afryki Południowej (Union of South Africa) ma powierzchnię 472.944 mil kwadratowych i ludność 12 milionów, w czym tylko dwa miliony białych.

Ekonomia kraju jest klasycznym przykładem gospodarki kolonialnej, na wzór amerykańskiej Luizjany XVII wieku. Nastroje polityczne zbliżone do naszych. Po śmierci ugodowca Smutha (Mikołajczyka), do władzy dorwał się, po trzydziestu latach opozycji krwiożerczy Malan, będący w jednym wieku ze Strońskim. Obecnie rządzi jeszcze bardziej krańcowy Strydam (Bielecki?).

Na podobieństwa pomiędzy stosunkiem Polska-Rosja i Afryka Południowa-Anglia wskazywał ostatnio „Manchester Guardian” z 18 lipca 1947 roku.

Gospodarka Afryki Południowej opiera się na wywozie węgla i złota. Pewną rolę grają też diamenty. W roku 1951 średni miesięczny eksport tych produktów wynosił:

Surowiec:	Procent:
Węgiel	25
Diamenty	8
Złoto	13

(dane z „Economist'a”)

Z analizy (*) podstawowych danych o rozwoju i stanie gospodarki Afryki Południowej wynika, że po pierwsze, inflacja afrykańska jest faktem, po drugie że obok niej od lat kilku — dokładnie od chwili wybuchu atomowego w Hiroszynie — pojawił się w gospodarce państwa nowy czynnik: uran.

Ten ciężki metal (238,07 i izotopy wg. „Świata Chemii” Turkiewicza) jest zasadniczym surowcem wyjściowym do produkcji bomb wodorowych i kobaltowych. Stąd nowe strategiczne znaczenie Afryki, której gospodarczy środek ciężkości łatwo obecnie może przesunąć się ze złota na uran. Fakt ten jest w pełni rozumiany zarówno w Stanach Zjednoczonych jak i Wielkiej Brytanii i stąd opozycja przeciwko szalejącemu Apartheid który nawet postępowy londyński „Observer” uważa za „raczej krańcowy i potencjalnie nieprzemysłany”.

Stanisław ZARZEWSKI

(*) Obszerny ustęp poświęcony tej analizie został przez Redakcję opuszczony z braku miejsca.

Przegląd miesięczników

Kukul Syndarjak jest zapewne najgenialniejszym z żyjących pisarzy kurdyjskich. Jego poemat „Pataza Zabula” (Etudes, styczeń 1955) opisuje siedzenie na skale u źródeł Eufratu. Mądre, wyrozumiałe spojrzenie kurdyjskiego poety przypomina Johana Bojera. Nawet w stylu są pewne analogie.



Z niesłabnącym zainteresowaniem przeczytałem w wartościowym miesięczniku emigracji karaimskiej, *Hubbuka*, wspaniałe studium ezoteryczne Salomona Marduchkranca. Ezoteryzm, jak wszelka wiedza tajemna, jest w pojęciu ludzi „poważnych” intelektualną mistyfikacją, a przecież Gabriel Cupizzi w swoim fundamentalnym dziele, „Aspect de l'Alchimie Anti-Traditionnelle” (Płon, 1954) przyznaje, że u ezoteryków nigdy nie powstała szczelina między snem i jawą, jak u uczonych, którzy mogą jedynie przeczuwać, ale te ich przeczucie nigdy ich nie doprowadziły do znalezienia „kamienia filozoficznego”.

(j)

Mamy zaszczyt podać do wiadomości
Polaków w świecie

że z dniem 21 stycznia 1955 roku przejęliśmy
istniejącą od 82 lat i zasłużoną firmę
wydawniczo-księgarską

POLISH AMERICAN BOOK CO

1136 Milwaukee Ave. Chicago 22, Ill. USA

W związku z tym do firmy tej zostało włączone
przedstawicielstwo
„Kultury”, „Wiadomości” i „Orla Białego”.

POLISH AMERICAN BOOK CO.

Józef F. BIAŁASIEWICZ

Marian GAWUĆ

Archiwum polityczne

Szanowny Panie Redaktorze,

Mówią, że wiek leczy złudzenia i zapobiega rozczarowaniom. Jeśli tak jest w istocie, to powinienbym osobiście czuć się bezpieczny. A przecież przeżyłem wstrząs, czytając w listopadowym numerze (11/85) *Kultury* oświadczenie jej „Zespołu” nie tylko odmawiające dalszych własnych świadczeń na rzecz Skarbu Narodowego, ale stwierdzające, „że jest obowiązkiem każdego logicznie myślącego emigranta wstrzymać się z placeniem jakichkolwiek opłat na Skarb Narodowy”.

Nakaz taki, daleko wybiegający poza utarty zakres działania redakcji pisma, musiałby mieć, o ile spotkałby się z posłuchem, groźne następstwa. Bez środków, które dziś Skarb zapewnia, nasza ambasada przy Stolicy Apostolskiej przestałaby istnieć, a Skarby Wawelskie, przechowywane w Kanadzie, uległyby zaprzepaszczeniu.

Nie wątpię, że intencje „Zespołu” były zgoła inne. Nawet tam, gdzie idzie o wywarcie presji w interesie ideologii, użyteczność publiczna zakreśla takiej walki granice. Dlatego chcę wierzyć, że decyzja Panów, której powody doceniam, a skutki kwestionuję, poddana być może rewizji. Z jej racji bowiem sympatycy *Kultury*, będący zarazem płatnikami Skarbu Narodowego, znaleźli się w przykrych rozterce.

Normalnym wyrazem stosunku czytelnika do kierunku pisma jest udzielenie mu lub odmowa materialnego poparcia. W naszych, emigracyjnych warunkach taka odmowa jest wszakże krokiem znacznie dalej idącym, na który nikt rozsądny nie zdecydowałby się łatwo w obawie o zagrożenie z takim trudem zbudowanych i cennych dla naszej sprawy osiągnięć. To samo, tylko w stopniu większym i pilniejszym jeszcze odnosi się do potrzeb obsługiwanych przez Skarb Narodowy.

Celem mego listu jest zaproponowanie Panu Redaktorowi wyjścia z tego dylematu. Widziałbym je we wznowieniu przez „Zespół” *Kultury* jego świadczeń na Skarb Narodowy za pośrednictwem Komisji tegoż na Kanadę, z równoczesnym zaleceniem podobnego kroku tym czytelnikom, którzy argumentacji „oświadczenia” ulegli.

Pragnę bowiem zapewnić Pana, że sieć Skarbu Narodowego w Kanadzie w pełni urzeczywistnia od chwili swego powstania postulaty przez *Kulturę* wysunięte. Władze jego tutaj pochodzą na każdym szczeblu z wyborów, a kierownictwo, w postaci Komisji Skarbu Narodowego na Kanadę, złożone z 20 członków rozrzuconych po całym kraju, odnawiane jest

w połowie corocznie w drodze bezpośrednich, tajnych wyborów korespondencyjnych, do których powołani są wszyscy płatnicy. W odezwie z 25 sierpnia 1954 roku, opartej o swą uchwałę uzgodnioną z jednolitą wówczas jeszcze Główną Komisją S.N. w Londynie, Komisja na Kanadę zobowiązała się do przekazywania zebranych w Kanadzie funduszy wyłącznie na następujące przydzielone jej bezsporne potrzeby na czas trwania kryzysu wewnątrz-politycznego: 1) konserwacja Skarbów Wawelskich; 2) utrzymanie placówki R.P. w Irlandii; 3) dalsze prowadzenie audycji radiowych na Polskę w Madrycie; 4) pomoc dla polskiego uniwersytetu na obczyźnie z siedzibą w Londynie; 5) polskie prace oświatowe i kulturalne w samej Kanadzie. Nie chcąc zajmować miejsca szczegółami, załączam tekst mego listu otwartego z 11 listopada 1954 r. do działaczy i płatników Skarbu Narodowego w Kanadzie.

Nie widzę przeszkód w łożeniu za pośrednictwem Komisji S.N. na Kanadę świadczeń na te cele lub którykolwiek z nich przez płatników z tym krajem zamieszkałych. Takie wyjątki już się zdarzały. Jeśli posiadają tu wystawione legitymacje, to na równi z innymi biorą udział w wyborach władz.

Oczekiwać będę z zainteresowaniem na zajęcie przez „Zespół” *Kultury* stanowiska w tej sprawie. Upewni mnie ono, jak ufam, że postawa Panów jest nie tylko krytyczna, ale także konstruktywna, a bez tego smutny okres jaki przeżywamy obecnie, okres niszczenia wszelkich autorytetów i udaremniania wszelkich poczynań, prowadzić by musiał naszą emigrację do nihilizmu politycznego. Należę bowiem do grona czytelników *Kultury* w Kanadzie, którzy z pełnym zrozumieniem odnoszą się do godziwej potrzeby zapewnienia temu pismu własnego dachu nad głową. Jeżeli wiele osób z tego grona zwleka dotychczas z wzięciem udziału w pięknym plebiscycie sympatii na rzecz *Kultury*, to jedynie w obawie, by wobec oświadczenia jej „Zespołu” krok taki nie przyniósł uszczerbku bardziej jeszcze nagłym potrzebom ogólnonarodowym.

Ponieważ niektóre organy prasy polskiej w Kanadzie przytoczyły oświadczenie „Zespołu” *Kultury* w sprawie Skarbu Narodowego, co dla jego akcji w tym kraju nie może być obojętne, przeto czuję się w prawie udostępnić im tekst mego niniejszego listu, nie czekając na odpowiedź Pana Redaktora.

Łączę wraz z życzeniami świątecznymi i noworocznymi wyrazy prawdziwego poważania i przyjazne pozdrowienia.

Tadeusz ROMER

Pieniądz i odpowiedzialność

Ponieważ Skarb Narodowy w Kanadzie, jak to widać jasno z listu amb. T. Romera, wprowadził pewne nowe formy organizacyjne, zbiegające się z postulatami wysuwanymi przez „*Kulturę*” — Zespół naszego pisma postanowił przyjąć propozycję amb. T. Romera i wznowić placenie składek przekazując je na rachunek kanadyjskiej Komisji Skarbu Narodowego.

Deklarujemy czynne poparcie i dlatego sądzimy, że jesteśmy w prawie wysunąć pewne istotne propozycje i sugestie.

Przede wszystkim nie możemy się zgodzić z ogólną zasadą apolityczności Skarbu Narodowego, ani z istnieniem tzw. bezspornych celów. Płatnicy w Kanadzie, łożąc np. na audycje polskie w Madrycie, mają nie tylko prawo ale i obowiązek wiedzieć co mówi się do Kraju za ich pieniądze. Trudno nazwać celem „bezsportnym” propagandę, o której kierunku nie ma się informacji i na którą nie ma się wpływu. Niewłaściwe audycje mogą przynieść więcej szkody niż korzyści, a pieniądź publiczny na nie wydany byłby nie tylko zmarnowany ale użyty ze szkodą. W tym świetle, głoszenie zasady apolityczności byłoby równoznaczne z odmową ponoszenia odpowiedzialności za akcje realizowane z naszych pieniędzy. Zarówno Komisja Skarbu Narodowego jak i każdy płatnik ponoszą indywidualnie i zbiorowo odpowiedzialność za akcje finansowane (w całości lub częściowo) z pieniędzy zebranych przez kanadyjski Skarb Narodowy. Tylko ten kto *nie płaci* nie uczestniczy w tej zbiorowej odpowiedzialności.

Nawet cele filantropijne, w zasadzie apolityczne, nie mają nigdy charakteru bezspornego w tym sensie by zwalniały płatników czy ofiarodawców od wszelkiej dalszej odpowiedzialności. Finansując organizację pomocy inwalidom, która byłaby nieuczciwie czy nieudolnie zarządzana — ponosilibyśmy częściowo odpowiedzialność za krzywdy powodowane złą wolą czy niedołęstwem zarządu.

Musimy przyjąć zasadę, powszechnie obowiązującą w demokratycznym świecie, która głosi, że każdy pieniądź publiczny jest pieniądzem politycznym, a jak wiemy — nie ma polityki bez odpowiedzialności.

To jest zagadnienie centralne zarówno Skarbu Narodowego w Kanadzie jak i całości życia organizacyjnego polskiej emigracji.

Jakie byłoby idealne rozwiązanie tego zagadnienia?

Idealne, czyli po prostu normalne rozwiązanie powinno być następujące:

W każdym kraju osiedlenia powinny istnieć wyłonione z wyborów, Komisje Skarbu Narodowego. Członkowie danej Komisji Skarbu Narodowego tworzyłiby równocześnie oddział regionalny Organizacji Zjednoczenia. Polak w Argentynie, Kanadzie czy w Australii wybierając członków terytorialnej Komisji Skarbu Narodowego tym samym aktem wyborczym upełnomocniałby swojego przedstawiciela politycznego do miejscowego oddziału Zjednoczenia.

Organizowanie wyborów na emigracji nastrocza wiele trudności i przeprowadzenie podwójnych wyborów — raz do władz Skarbu Narodowego, drugi raz do miejscowej reprezentacji politycznej — w praktyce mogłoby się okazać niemożliwe.

Oddziały Zjednoczenia uchwałyby budżety związane z potrzebami i celami miejscowymi, pokrywając wydatki z wpływów terytorialnego Skarbu Narodowego. Członkowie danej Komisji odpowiadałoby wobec płatnika-wyborcy tak administracyjnie jak i politycznie za celowość wydatków. Odpowiadaliby bowiem zarówno jako członkowie komisji skarbowej i jako radni oddziału Zjednoczenia. Terytorialne komisje z kolei wybierałyby delegatów do Centralnej Rady, ta zaś organ wykonawczy, który przedkładałby projekt budżetu; na jego pokrycie wszystkie regionalne oddziały uchwałyby roczne dotacje. Chcąc więc uzyskać pieniądze na zadania i cele, wyszczególnione w preliminarzu, centralny oddział wykonawczy musiałby dla swoich zamierzeń (czyli dla swojej polityki) uzyskać zgodę większości rad. Wówczas musiałby zaistnieć jasno określony program działania i przemyślane konkretne plany, bo tylko konkretna polityka mogłaby liczyć na poparcie rad regionalnych.

Niestety plan powyższy jest w warunkach emigracyjnego rozproszenia trudny do realizacji. Niewielu delegatów, powiedzmy z Francji czy Australii, zgodziłoby się na dwuletni pobyt w Stanach Zjednoczonych, a ci, którzy by się zgodzili — musieliby przez cały czas swej kadencji otrzymywać stałe uposażenie, co znowu byłoby ogromnym obciążeniem Skarbu Narodowego.

Może więc najpraktyczniejszym rozwiązaniem byłoby powierzenie centralnej reprezentacji jednej z rad regionalnych.

Powyższy projekt harmonizuje w praktyce naturalną tendencję do autonomii z ideą centralnej, ogólno-emigracyjnej, reprezentacji politycznej.

Osobiście jestem przekonany, że ani legalizm, ani neo-legalizm Aktu Zjednoczenia na dłuższą metę nie będą zdolne przeciwstawić się naturalnym, dyktowanym logiką życia, tendencjom autonomicznym.

Wyobraźmy sobie następującą sytuację. W Stanach Zjednoczonych, zgodnie z powyższym projektem, powstaje regionalna Rada. Należy wnioskować, że budżet amerykańskiej Rady byłby najwyższy a Skarb Narodowy najbogatszy. Wówczas byłoby całkowicie zrozumiałe gdyby Polacy w Ameryce zadali sobie pytanie dlaczego ich regionalna Rada zarówno z uwagi na wysokość budżetu jak i możliwości działania politycznego nie ma być owym „primus inter pares”? I gdyby w takiej sytuacji amerykańska Rada przejęła inicjatywę w swoje ręce postąpiłaby zarówno słusznie jak i logicznie. Nie ulega wątpliwości, że znakomita większość Polaków w świecie udzieliłaby poparcia takiej inicjatywie.

Otóż projekt naszkicowany powyżej umożliwiłby na drodze praworządności, to jest z mocy uchwały większości, przesunięcie ośrodka centralnej dyspozycji w ręce najbardziej odpowiedzialne. Gdyby centralna Rada w Londynie nie potrafiła zdobyć pełnego zaufania i poparcia regionalnych oddziałów — istniałaby zawsze możliwość — na drodze powziętych uchwał — wyposażyć inną

regionalną Radę, np. w Stanach Zjednoczonych — w przywilej reprezentowania Polaków w świecie w ramach uchwalonych pełnomocnictw.

Zdaję sobie sprawę, że ten projekt nie wzbudzi zachwytu wśród londyńskich polityków, którzy bez względu na to czy są za legalizmem czy przeciw legalizmowi, czy za p. Zaleskim czy też przeciwnie za p. Arciszewskim — żywią wspólną niezachwianą wiarę w nadrzędny przywilej Londynu do reprezentowania, centralizowania, przywodzenia. Kto nie został pokropiony wodą z Tamizy temu wara od symboli i pieczęci.

Polski Czytelnik zauważy — może z przekąsem — że tego typu maszyna polityczna byłaby ciężka... Niewątpliwie — tak. Ale tylko dyktatura i rządy odpowiedzialne jedynie przed „Bogiem i Historią” są lekką maszyną. Odpowiedzialność wobec współcześnie żyjących współobywateli nie jest nigdy lekka, zwłaszcza, gdy się apeluje o pieniądze.

Powyżej naszkicowany projekt niech nam posłuży za kontrastowe tło do rozpatrzenia obecnej sytuacji — dalekiej niestety od idealnych rozwiązań.

Wyszliśmy z założenia, że każdy pieniądz publiczny jest pieniądzem politycznym i obarcza odpowiedzialnością tych, którzy nim dysponują. Gdyby życie polityczne na emigracji zorganizowane było na zasadach obowiązujących w normalnym świecie — każdy płatnik-emigrant miałby zapewnioną kontrolę w stosunku do politycznej działalności finansowanej z jego kieszeni. Wybierając członków regionalnej Komisji Skarbu Narodowego wybierałyby równocześnie delegatów do oddziału Zjednoczenia i kontrolowałyby zarówno gospodarkę finansową jak i działalność polityczną.

Oczywiście to jest czysto schematyczne ujęcie. W krajach osiedlenia o licznej Polonii — płatnik wybierałby członków lokalnego komitetu Skarbu Narodowego a przewodniczący komitetów lokalnych wybierałby członków głównej Komisji, która byłaby równocześnie oddziałem Zjednoczenia. Ten z kolei wyłaniałby organ wykonawczy.

Przewodnią ideą tej koncepcji jest nie tylko obciążenie odpowiedzialnością polityczną tych, którzy dysponują pieniądzem publicznym, lecz również uzależnienie liczebności (a tym samym znaczenia) regionalnej reprezentacji politycznej od ilości płatników. Czynne i bierne prawo wyborcze przysługiwałoby bowiem tylko płatnikom Skarbu Narodowego. Mogłoby się więc zdarzyć, że kraj osiedlenia o dużej liczbie Polaków miałby reprezentację polityczną mniejszą niż kraj o niskim procencie Polaków ale o wysokiej liczbie płatników na Skarb Narodowy.

Jest jednak rzeczą bezspornie słuszną by prawo inicjatywy, wpływu i kontroli było uzależnione od świadczeń. Polacy, którzy wówczas odmawialiby płacenia na Skarb Narodowy tym samym rezygnowaliby z wpływu i prawa kontroli w stosunku do polityki emigracyjnej.

Jak te sprawy wyglądają w obecnym układzie na emigracji? T.R.J.N. nie posiada w swym gronie ani jednego radnego pochodzącego z wyborów. Płatnicy Skarbu Narodowego nie mają żadnej możliwości inicjatywy czy kontroli w stosunku do akcji finansowych z ich ofiarności. Niemniej tożąc na powyższą politykę ponoszą za nią odpowiedzialność.

Zespół „Kultury” podejmując decyzję wstrzymania czasowo wpłat na obecny Skarb Narodowy wychodził z założenia, że jest rzeczą niemoralną płacić kierowcy samochodu za benzynę nie mając równocześnie prawa postawienia pytania: *dokąd jedziemy?*

Obecnie wszyscy mamy płacić za benzynę ale o kursie jazdy decydować będą politycy, których *nie* płatnicy delegowali i którzy przed nami nie ponoszą żadnej odpowiedzialności. My natomiast, płacąc — choć pozbawieni prawa kontroli steru — za obrany przez tych panów kurs w pełni odpowiadamy. Każdy przyzna, że to jest sytuacja nie do utrzymania.

Po jakiej linii należy szukać wyjść z tej matni?

Politycy T.R.J.N. mówią również o wyborach! Nie brak optymistów, którzy zapowiadają wybory na maj lub czerwiec br. W chwili gdy piszę te słowa (druga dekada stycznia) nie ma jeszcze nawet ordynacji wyborczej. O ile jednak wszyscy niemal członkowie T.R.J.N. są zgodni w opinii, że wybory należy przeprowadzić — o tyle również wszyscy są zgodni i w tym, że na drodze wyborów należy wprowadzić do Rady tylko pewien procent radnych — Broń Boże wszystkich! Ilu? W kołach politycznych wymienia się cyfrę 30 (może 40?) radnych z wyborów na ogólną liczbę 90. (Czy ta ilość radnych nie jest w ogóle za duża?)

Choć nawet politycy londyńscy zaczynają sobie (niezmiernie wolno) zdawać sprawę, że nieuchronna ewolucja, której nie da się zatrzymać — wiedzie od nominatów i delegatów ku radnym wybieralnym — to jednak daje się do zrozumienia, że tego rodzaju „modernizacja” reprezentacji politycznej musi postępować wolno i stopniowo.

Czytelnikowi w Australii czy w Kanadzie, który odwrócił do tutejszego klimatu — trudno jest wyjaśnić dlaczego nasza reprezentacja polityczna musi być udemokratyczniana na wzór kolonialnego samorządu, któremu dopiero po latach, iak „zda egzamin”, przyznaje się pełnię praw. To jest zagadnienie skomplikowane, którego analiza zaprowadziłaby nas zbyt daleko. Ograniczmy się więc do stwierdzenia, że aby mogła zwyciężyć zasada wyborów w odniesieniu do pełnego składu Rady, trzeba by przełamać opory pewnych ugrupowań politycznych a w szczególności Stronnictwa Narodowego. Optymiści sądzą, że pod naciskiem opinii publicznej stanowisko stronnictwa, a w szczególności Stronnictwa Narodowego, ulegnie „liberalizacji” i kto wie — czy za trzy lub cztery lata nie doczekamy się R.J.N. wyłonionej z całości z wyborów. (Kadencja Rady ma trwać dwa lata). Być może również, że na opinię przywódców stronnictw wpłynie ko-

rzystnie wynik ułamkowych wyborów projektowanych na rok bieżący.

Lecz to wszystko są spekulacje i pobożne życzenia. Nasz sąd musimy przede wszystkim opierać na faktach.

Zasadnicze elementy sytuacji należy ugrupować następująco:

- 1) Obecna T.R.J.N. nie jest reprezentacją wyłonioną z wyborów.
- 2) Jest prawdopodobne, że w skład (90 osób) przyszłej R.J.N. wejdzie pewien procent radnych z wyborów. Uznać niemal za pewne, że w Radzie tej radni z wyborów będą stanowili mniejszość.
- 3) Nie ma żadnych obiektywnych danych do twierdzenia, że trzecia z kolei R.J.N. wyłoniona zostanie w całości z wyborów.

Innymi słowy, ci którzy wiążą swe nadzieje z procesem demokracji obecnego systemu reprezentacyjnego będą musieli czekać trzy do czterech lat nie mając absolutnie żadnej pewności czy gwarancji, że nasi przywódcy, urzędujący z łaski Bożej choć nie z woli narodu, uznają w tym okresie czasu Emigrację polską za dojrzałą do wyborów i parlamentarnej reprezentacji. Skłonny jestem przypuszczać, że członkowie szczepu Kikuju w Kenii prędzej się tego doczekają.

Wracam do punktu wyjścia tych rozważań. Gdyby nie istniał Skarb Narodowy, gdyby Egzekutywa T.R.J.N. żyła wyłącznie z manny niebieskiej — moglibyśmy spokojnie i w zgodzie z sumieniem czekać i dziesięć lat na adwent demokracji. Bylibyśmy bowiem w możności powiedzieć sobie wówczas: nie my finansujemy politykę T.R.J.N. i nie my ponosimy za nią odpowiedzialność. Ale tak nie jest. Wszyscy mamy płacić na Skarb Narodowy. Płacąc bierzemy na siebie odpowiedzialność za akcje (polityczne i inne) finansowane z naszych pieniędzy. W rezultacie obarczeni jesteśmy odpowiedzialnością, której nie jesteśmy w stanie sprostować, gdyż pozbawieni jesteśmy prawa kontroli i inicjatywy ustawodawczej. Uchwalają budżet reprezentanci nie przez nas wybierani lecz osoby delegowane bez jakiegokolwiek z naszej strony udziału.

Jedno jest z tej sprawie pewne i oczywiste: dorosły człowiek przebywający w wolnym świecie nie może w takiej sytuacji przyjąć postawy biernej. Na coś trzeba się zdecydować.

W naszej opinii mamy przed sobą dwa wyjścia. Albo trzeba oświadczyć, że do czasu zdemokratyzowania Skarbu i rozszerzenia jego kompetencji na odcinek polityczny wstrzymujemy wpłacanie jakichkolwiek kwot — albo decydując się płacić na Skarb Narodowy należy dążyć do przebudowy jego struktury w tym kierunku, by wyłonieni z wyborów reprezentanci płatników mieli zapewnioną kontrolę w odniesieniu do wszystkich akcji finansowanych z pieniędzy skarbowych. Pierwsze jest rozwiązaniem negatywnym — drugie pozytywnym. Nie mając możliwości działania pozytywnego zespół „Kultury” zdecydował się na rozwią-

zanie negatywne. Obecnie chcemy wierzyć, że list amb. Romera i uchwały kanadyjskiego Skarbu Narodowego stwarzają możliwości szukania rozwiązań pozytywnych.

„Krokiem wstępnym po tej linii winno być zarejestrowanie Skarbu Narodowego w Kanadzie jako samodzielnej instytucji a nie jako oddziału Firmy „Danina Polska, Limited, London”. W ten sposób zarejestrowane są Skarby Narodowe w Stanach Zjednoczonych, które są samodzielnymi instytucjami w rozumieniu prawa stanowego. Usamodzielnienie Skarbu Narodowego w niczym nie przesądzałoby stosunku Komisji Skarbu Narodowego w Kanadzie do Głównej Komisji w Londynie — unie-możliwiałoby natomiast rozwiązanie Skarbu Narodowego w Kanadzie prostym cofnięciem pełnomocnictw.

Następnym krokiem winno być podjęcie przez Polaków kanadyjskich inicjatywy zorganizowania ogólno-amerykańskiego zjazdu reprezentantów Komisji Skarbow Narodowych. Zjazd taki powinien objąć Kanadę, Stany Zjednoczone i Amerykę Południową”.

Byłoby pożądanym, by na tej pierwszej konferencji wybrano wspólną komisję ogólno-amerykańską, której zadaniem byłoby ustalać linię postępowania w stosunku do zagadnień wykraczających swym zasięgiem i wagą poza ramy regionalne. Komisja nie byłaby instytucją nadrzędną w sensie statutowym, lecz raczej organem koordynującym. Do niej należałoby zbadać i ustalić nie tzw. celów bezspornych, które należy poprzeć finansowo. Członkowie komisji musieliby również ustalić kontrolę tych akcji, które całkowicie lub częściowo będą finansowane z pieniędzy płatników obu kontynentów amerykańskich. To jest zadanie trudne, które przekracza możliwości komisji kanadyjskiej. Nie przekracza to jednak możliwości komisji ogólno-amerykańskiej, która reprezentowałaby rzesze płatników i poważne fundusze. Komisja sprawowałaby funkcje kontrolne poprzez swych mężów zaufania w Europie (a w miarę potrzeby na innych kontynentach) i jestem przekonany, że prace tych organów kontrolujących nie natrafilyby na poważniejsze trudności.

Najdelikatniejszym zagadnieniem w tej całej sprawie byłby stosunek owej proponowanej ogólno-amerykańskiej komisji do Głównej Komisji Skarbu Narodowego w Londynie i do T.R.J.N. czy „Zamku”.

W naszym przekonaniu, z wielu względów (m. inn. z uwagi na stanowisko Kongresu Polonii Amerykańskiej) należałoby przyjąć formułę, której użył w swym Liście Otwartym amb. Romer: „na czas kryzysu”. Przyjmując tego typu określenie niczego nie przesadzamy i nie zatraskujemy drzwi. By jednak uniknąć niejasności i nieporozumień musimy zdefiniować dokładnie co rozumiemy przez termin „kryzys”.

Zespół „Kultury” przez kryzys rozumie brak praworządności w naszym życiu organizacyjno-politycznym. Kryzys dobiegnie kresu gdy wszystkie polskie instytucje zostaną oparte na zasadach demokratycznych to jest na wyborach. Dopóki nie zniknie ostatni „delegat” i „nominat” — kryzys będzie trwał bez względu na to czy w Londynie będzie prezydent, Rada Trzech czy wicekról.

Jeżeli kiedyś kryzys zostanie przewyciężony — wówczas nie będzie żadnej trudności w scharmonizowaniu celów i zadań ogólno-amerykańskiej komisji skarbowej i R.J.N. Przeciwnie — Skarb Narodowy ogólno-amerykański stałby się automatycznie częścią składową Zjednoczenia.

Lecz jeżeli nie chcemy rezygnować z wszelkiej działalności nie możemy beczynn timer czekać aż takie Zjednoczenie ujrzy światło dzienne. Niestety nie można wykluczyć, że to pragnienie większości Polaków pozostanie na zawsze utopijnym projektem. Nie wolno nam również umywać rąk od odpowiedzialności głosząc wykrętnie, że Skarb jest apolityczny i wskutek tego jego władze odpowiadają jedynie za przekazanie uchwalonych kwot adresatowi. (Prawidłowe doręczenie pieniędzy adresatowi gwarantuje każdy urząd pocztowy i do tego nie potrzeba żadnej komisji).

Za każdy pieniądz publiczny, ktoś wobec płatników musi ponosić odpowiedzialność. Nie może tej odpowiedzialności ponosić T.R.J.N. ani „Zamek”, bo nie zostali wybrani przez płatników i płatnicy nie mają w stosunku do nich prawa kontroli. Odpowiedzialność tę muszą przeto przejąć władze Skarbu Narodowego odpowiednio przeorganizowane.

Z pełnią dobrej woli Zespół „Kultury” zgłasza swe czynne poparcie dla Kanadyjskiej Komisji Skarbu Narodowego. Ufamy, że płatnicy kanadyjscy oraz Polacy w innych krajach osiedlenia podzielą nasz punkt widzenia. Nie wszyscy będą mogli poprzeć czynnie kanadyjski Skarb Narodowy ze względu choćby na ograniczenia dewizowe istniejące w wielu krajach. W tym wypadku jednak nasi Czytelnicy, którzy popierają swój lokalny Skarb Narodowy powinni energicznie domagać się jego przebudowy i politycznego usamodzielnienia.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Kronika angielska

O LIBERALIZMIE „KULTURY”

Wychodzimy z założenia, że warto jest pisać o sprawach spomych gdyż omawianie zagadnień bezspomych jest zarówno nudne jak i zbędne. Dzięki temu, że „Kultura” porusza wiele zagadnień spomych i drażliwych — otrzymujemy dziesiątki listów i artykułów „za” i „przeciw”.

Każdy autor uważa oczywiście, że jego list czy artykuł jest zasadniczy i jeżeli „Kultura” odmówi mu gościny na swych łamach gotów jest oskarżyć nas przed światem o brak liberalizmu, o niedopuszczanie przeciwników do głosu, o stronniczość, zaściankowość itp.

Pismo nawet najbardziej liberalne musi być dobrze redagowane. Co to znaczy? Oznacza to, że każdy numer musi być skomponowaną całością. Nie może być kilku artykułów na ten sam temat a numer musi być interesujący i na jednolitym poziomie. Redaktor jest reżyserem tego widowiska, które tym różni się od teatru, że każdy numer jest premierą.

Jak długo pismo jest dobrze redagowane Czytelnicy przyjmują to za rzecz oczywistą i zwyczajną. Jednak błędy redakcyjne rzucają się natychmiast w oczy jak źle skrojony płaszcz czy za ciasny kołnierzyk.

Pismo jest kompozycją a nie korespondencyjnym wiecem. Nawet w najbardziej liberalnym piśmie wymogi ściśle redakcyjne muszą być postawione na pierwszym miejscu. Przez liberalizm w naszym konkretnym wypadku należy rozumieć, że „Kultura” drukuje opinie przeciwników, jeżeli nadesłane teksty odpowiadają pewnym warunkom formalnym i redakcyjnym. Artykuł może być na dobrym poziomie niemniej, według opinii redaktora, nie wnosi do dyskusji nic istotnie nowego — względnie nadszedł w chwili kiedy redaktor postanowił polemikę w danej sprawie zakończyć. Wówczas artykuł — składną dobrze napisany — nie pojawia się na łamach „Kultury” nie ze względów formalnych lecz ściśle redakcyjnych.

O tym czy dyskusję na dany temat należy kontynuować czy zamknąć, o tym czy dana wypowiedź jest interesująca i nowa czy też nie — decyduje wyłącznie redaktor, który sam ponosi pełną odpowiedzialność wobec Czytelników za każdy numer „Kultury”.

Znakomitej większości naszych Czytelników nie interesuje czy zamieściliśmy dziesiątą z rzędu polemikę p. Hrabyka czy nie, czy wydrukowaliśmy list do redakcji p. Y czy też nie. Czytelnika interesuje tylko jedna sprawa a mianowicie, czy bieżący numer „Kultury” jest równie ciekawy jak poprzedni, czy przynosi artykuły poświęcone nowym, nieomawianym dotąd zagadnieniom, czy warto go od deski do deski przeczytać i czy warto za niego zapłacić.

SKLEPY Z OPINIAMI

Problem redagowania pisma wiąże się z kapitalną sprawą: czy pismo powinno mieć własną opinię?

Na Zachodzie istnieje wiele pism, które swój liberalizm posuwają tak daleko, że w dyskusjach toczących się na ich łamach nie zabierają głosu. To są pisma, które są sklepami z cudzymi opiniami i niczym więcej.

„Readers Digest” (nakład 17 milionów egzemplarzy) w jednym z numerów zamieścił artykuł W. Harda za polityką koegzystencji a w następnym numerze wydrukował artykuł Dawida Lawrance'a przeciw koegzystencji. Co na ten temat, tak istotny, myśli sam redaktor magazynu o największym w świecie nakładzie? Redaktor „Digest'u” ograniczył się do następującego komentarza: „Oba punkty widzenia mają wielu zwolenników i zasługują by się nad nimi głęboko zastanowić”.

Liberalizm i tolerancja doprowadzone do takiej doskonałości są w praktyce równoznaczne z brakiem jakichkolwiek przekonań.

„Kultura” nie jest sklepem z cudzymi opiniami i w każdej dyskusji formułuje swój własny pogląd. Jest to w naszych warunkach tym ważniejsze, że pewien procent inteligentów i intelektualistów emigracyjnych ugina się pod „kompleksem Florczaka”. Odrzucając komunizm ludzie ci odnoszą się równocześnie z pogardliwą niewiarą do Zachodu i w rezultacie lądują w próżni.

Francuz, Anglik czy Amerykanin może być niezmiernie krytycznie nastawiony do tego chaosu zagadnień, który określamy mianem Zachodu — może nawet dojść do przekonania, że kłeska jest nieuchronna ale mimo to nigdy nie traci poczucia przynależności do tego świata — nawet jeżeli ów świat skazany jest na zagładę.

Istotą intelektualnej „emigracyjności” — jeżeli wolno się tak wyrazić — jest nie przynależenie do nikąd.

Łaciński Polak, który od tysiąca lat obwieszcza światu swoją zachodność, staje się „bywszym człowiekiem”, gdy wypowiada swój związek z Zachodem z powodu Jałty, lub polityki koegzystencji. Jesteśmy ludźmi Zachodu zarówno wówczas gdy król angielski wita naszego prezydenta na dworcu londyńskim jak i wówczas, gdy sprzedają nas w Jalcie.

Czytając wypowiedzi pewnych polskich pism można by dojść do fałszywego wniosku, że Polacy są dynamiczni, przeczorni, i zdecydowani na wszystko — natomiast Amerykanie, Anglicy, Francuzi toną w apatii i na dnie duszy marzą o bezbolesnej kapitulacji.

W gruncie rzeczy różnice pomiędzy Polakami a Zachodem są *znacznie*, *znacznie* mniejsze. Jesteśmy niepomnie bardziej zachodni niż nam się to wydaje. W rzeczywistości bowiem wszystko sprowadza się do jednego punktu. Nasz kraj jest okupowany — ich kraje są wolne. Gdyby jednak granica wolnego świata przebiegała w Europie po linii granicznej polsko-sowieckiej z 1939 roku — my również byłibyśmy w większości za koegzystencją, za odprężeniem, za konferencjami i układami i wolelibyśmy widzieć czerwony sztandar nad Formozą niż sowieckie samoloty z bombami atomowymi nad Warszawą. (Czy traktat ryski nie był w pewnej mierze prekursorem Jałty a Kalisz zapowiedzią P.K.P.R.?)

Wówczas Ukraińcy mogliby wysunąć pod naszym adresem identyczne zarzuty jakie my dziś wysuwamy pod adresem Amerykanów, Anglików czy

Francuzów. I mieliby rację. Mieliby rację, gdyż polityka koegzystencji jest błędna i niemoralna bez względu na to czy Polska w danym układzie jest po tej czy po tamtej stronie linii demarkacyjnej.

Nie ulega wątpliwości, że mocarstwa zachodnie operują pół-środkami i nie wypracowały do tej pory żadnej koncepcji politycznej. Ale my również nie mamy żadnej koncepcji.

Odpowiedź na współczesny kryzys nie spłynie z pióra pisarza, ani nie urodzi się w kancelariach dyplomatycznych. W społeczeństwach demokratycznych trzeba wielu lat by miliony obywateli nauczyło się inaczej pojmować założenia polityczne w świecie epoki atomowej. Ów proces przemian w myśleniu politycznym, strategicznym, ekonomicznym i socjalnym obejmuje swym zasięgiem całość tradycyjnego poglądu od roli działka przeciw-lotniczego po religijno-filozoficzne podstawy wojny. Wypowiedzi generałów, filozofów, teologów, pisarzy, polityków, ekonomistów — świadczą o olbrzymim fermentie. (Wypowiedź ostatnia Ojca Świętego na temat „wojny sprawiedliwej” odbiegała daleko od uprzednich wypowiedzi autorytetów Kościoła na ten temat).

Emigracja może wywrzeć pewien wpływ na ów proces ale tylko z postawy przynależenia. Inteligent, który jest wyższy ponad barbarzyństwo Sowietów i „barbarzyństwo” Ameryki, który nie przynależy ani do wschodu ani do zachodu, ani do północy ani do południa i który sądzi, że jest intelektualnym prostactwem mieć jasno określone poglądy na zasadnicze sprawy — taki gentleman nikogo ani nie oświeci ani nie przekona.

Inny typ stanowią politycy, którzy również „nie przynależą” a stosunek Polski i Polaków do Zachodu rozpatrują wyłącznie z perspektywy kontraktu sojuszniczego. Panowie ci są zdania, że jeżeli w danym okresie mocarstwa zachodnie nie chcą nas uznać, oznacza to, że interesy Anglosasów nie pokrywają się z polskimi wobec czego wszelka aktywna pro-zachodnia akcja (z naszej strony) miałaby charakter agenturalny. W takiej sytuacji nie należy „pchać się”, lecz przeciwnie, czekać w suwerennej „splendid isolation”. Jak będziemy potrzebni Zachód przypomni sobie o nas a wówczas postawimy warunki.

To jest polityka, której podstawą jest kompleks „historycznej poczekalni”. My, którzy znamy prawdę w całym jej majestacie czekamy cierpliwie (i dostojnie) aż moi tego świata przejrzą i otrząsnąwszy się z błędnych teorii wejdą na właściwą drogę.

Nieporozumienie polega na tym, że nam tylko się wydaje, że posiadliśmy prawdę w całym jej majestacie. Gdyby prezydent Eisenhower któregoś dnia przysłał „latającą fortecę” i sprowadził na week-end do Białego Domu londyńską Radę Trzech — łatwo jest sobie odtworzyć rozmowę tych dostojników.

— Powiedźcie dostojni trzej radcy ze Wschodu co należy robić? — zapytałby uprzejmie prezydent.

— Generale, podnieś sztandar wolności i wprowadź w czyn politykę „liberation” — odpowiedzieliby jednym głosem Tomasz, Władysław i Edward.

— To ja wiem i bez was, ale może zechciecie mi powiedzieć co należy zrobić by 80 procent Amerykanów poparło politykę „liberation” i równocześnie po raz drugi wybrało mnie prezydentem?

W tym miejscu konferencja dobiegłaby kresu ku pełnemu rozczarowaniu wszystkich jej uczestników.

TRZECI ELEMENT

W ramach naszych możliwości możemy wywierać pewien wpływ na ewolucję poglądów w społeczeństwach zachodnich ale nie jako „trzeci element” złożony z ewakuowanych proroków z raju, który nie był ani wschodem ani zachodem (co bynajmniej nie było ani jego siłą ani zaletą).

Przestańmy się raz wreszcie okłamywać. Wyzywając nasze namiętności w kryzysach „konstytucyjno-zjednoczeniowych” pozwoliliśmy sobie powoli wszystko odebrać. Informowanie Kraju o wydarzeniach na Zachodzie nie jest w naszych rękach. Informowanie Zachodu o rozwoju sytuacji w Polsce nie jest również w naszych rękach. Innymi słowy łączność Zachodu z Krajem i Kraju z Zachodem zbudowano ponad naszymi głowami — co nie przeszkadza naszym nieocenionym prezesom mówić o „mandacie”.

Co nam pozostało? — Wiadomo — placówki dyplomatyczne.

Sytuację tych instytucji zdołaliśmy również doprowadzić do granicy absurdu. Kogo reprezentuje ambasador przy Watykanie? Jego listy uwierzytelniające podpisane były przez Prezydenta R.P. i wobec Stolicy Apostolskiej reprezentuje on *nie* Radę Trzech (która nie może mieć ambasadorów) tylko Prezydenta R.P. Innymi słowy dr K. Papée podlega Radzie Trzech — reprezentuje natomiast Prezydenta, którego Rada Trzech nie uznaje. (My jednak pragniemy by traktowano nas poważnie...).

Sytuacja innych placówek dyplomatycznych jest identyczna. Jest oczywiste, że w takich warunkach działalność tych placówek musi być bardzo ograniczona.

W sumie techniczne możliwości działania na zewnątrz zwięzają się do memorialów i protestów. Nikogo to jednak nie martwi, bo któż ma czas na politykę zagraniczną? Nasi mężowie stanu interesują się wyłącznie polityką wewnętrzną.

Jeżeli kiedyś powstanie na demokratycznych zasadach oparta polityczna reprezentacja emigracji wówczas będzie rzeczą konieczną opracować nową, dostosowaną do warunków emigracyjnych metodologię polityki zagranicznej. Jest bowiem oczywiste, że jeżeli chcemy wywierać wpływ nie możemy ograniczać się do protestów i memorialów. Trzeba rozbudować działalność obliczoną na wpływ pośrednie.

Naszym panom z MSZ. jest bardzo to wszystko mieści się w głowie. Faktem jest jednak, że polski robotnik w fabryce londyńskiej ma często większe możliwości oddziaływania i wpływu na opinię brytyjską niż radca MSZ. na stanowisku konsultanta Egzekutywy.

Noty, memoriały, protesty — choć są ważnym instrumentem działania politycznego — to jednak na ogół ich waga jest wprost proporcjonalna do potencjału wojskowego, który stanowią żyro tych dokumentów.

Kardynalnym instrumentem działania politycznego Emigracji są nie noty i memoriały — lecz... emigranci.

Emigranci polscy są wszędzie — niemal w wszystkich gałęziach przemysłu i niemal na wszystkich szczeblach hierarchii społecznej. Myją przysłowiowe talerze u Lyonsa i wykładają na uniwersytetach — są robotnikami na farmach i państwowymi urzędnikami na odpowiedzialnych stanowiskach

w brytyjskich ministerstwach, są kierowcami autobusów i kierownikami wielkich firm handlowych.

W tym wypadku nie chodzi o montowanie polskiej piątej kolumny w krajach osiedlenia. Jest natomiast rzeczą ogromnej wagi by Polacy będąc lojalnymi i pożytecznymi członkami społeczeństw zachodnich — byli nosicielami pewnych zasadniczych poglądów i po linii tych poglądów wpływali na opinię obcego otoczenia. Ów wpływ jest już dziś znaczny. Polacy odegrali dużą rolę w wzmocnieniu katolicyzmu w Wielkiej Brytanii — przyczynili się do upowszechnienia znajomości pewnych elementarnych prawd o Sowietach — wzmocnili element anty-komunistyczny w związkach zawodowych i stowarzyszeniach.

Jeżeli pod tym kątem rozpatrywać rolę pisma typu „Kultury” — to trzeba powiedzieć, że jest ona nie tylko miesięcznikiem lecz i agencją polityki zagranicznej. 20 czy 30 tysięcy Polaków, czytających przeciętnie numer „Kultury” — to nie są „domowi” Polacy z Warszawy czy z Łowicza. To są w całości zagraniczni Polacy, którzy wywierają nieustanny wpływ na obce otoczenie. Wpływ owych 30 tysięcy Czytelników pomnożony przez miesiące i lata — jest czymś niepomniernie bardziej realnym i doniosłym niż memoriał wysmażony à la MSZ., którego (prawdopodobnie) nikt nie przeczyta.

Streszczając powyższe rozważania należy powiedzieć co następuje:

1. — Na problem bomby wodorowej w rękach sowieckich — nikt nie ma gotowej odpowiedzi. Tradycyjne polityki (łącznie z polską) leżą w gruzach. W polityce — pozytywne jest tylko to co jest możliwe: koncepcja rządu światowego nie jest (w tej chwili) pozytywnym rozwiązaniem bo nie jest możliwa. Nie istnieją również realne możliwości wprowadzenia w czyn polityki wyzwolenia, ponieważ większość wyborców amerykańskich nie popiera tej koncepcji. Lecz polityka która dziś nie ma dostatecznego poparcia w masach i wskutek tego nie awansuje do rangi koncepcji pozytywnej — za 5 czy 10 lat może uzyskać poparcie większości i stać się realnym programem. Kapitałnym warunkiem wypracowania — choćby dopiero w dalszej przyszłości — pozytywnego rozwiązania jest odrzucenie projektów kapitulacyjnych czy semi-kapitulacyjnych i z tej przyczyny wpływ polski na opinię Zachodu należy uznać za niezmiernie istotny.

2. — Polacy poza granicami Kraju muszą w pełni zrozumieć, że politykę emigracyjną można robić tylko cudzymi rękami. I z tej przyczyny jest to z wszystkich typów polityk — najtrudniejsza. Podjąć politykę wyzwolenia, odbudować armię polską, przywrócić nam statut sojusznicy — mogą tylko obcy politycy i obce parlamenty a nie my. Realizacja najistotniejszych naszych postulatów zależy od decyzji nie polskich lecz obcych mężów stanu. Ci z kolei są wyrazicielami woli parlamentów i opinii zachodnich społeczeństw. Decyzje nie zależą od nas ale w pewnej mierze możemy wpływać na opinie, które stanowią fundament tych decyzji. Możemy wpływać na opinie w znacznie większym stopniu niż robimy to dotychczas. Żydzi w diasporze wywierali i wywierają do dziś bardzo poważny wpływ na decyzje polityczne w Stanach Zjednoczonych i w Anglii.

Kto jednak po 15-tu latach pobytu na obczyźnie wyobraża sobie, że politykę polską można w dalszym ciągu prowadzić à la MSZ — nie rozumie sytuacji i emigracyjnej działalności zupełnie się nie nadaje. Polityka emigracyjna — podobnie jak działalność podziemna — wymaga odrębnych

uzdolnień, odrębnych kwalifikacji a przede wszystkim — odmiennych metod działania.

3. — Terenem naszej działalności jest Zachód bez względu na to czy w danym okresie aktualna polityka amerykańska idzie po linii naszych interesów czy nie. Gdyby cele polityki amerykańskiej pokrywały się w pełni z naszymi interesami — nie byłoby powodu przebywać na emigracji. Wówczas (łącznie z p. Hrabym) moglibyśmy wrócić do Warszawy uważając zadania emigracji za chwalebnie wypełnione. Jeżeli (jak p. Hrabek sądzi) cele polityczne Stanów Zjednoczonych odbiegają znacznie od linii naszych postulatów — jest to sygnałem, że winniśmy być jeszcze bardziej pro-amerykańscy niż dotychczas, winniśmy potroić naszą działalność na scenie amerykańskiej, winniśmy mobilizować wszystkie dostępne wpływy i... nie tracić cierpliwości. Kraj nie oczekuje od nas gestów prestiżowych. (Polityczny emigrant to jest inspirator i petent). Kraj oczekuje natomiast, że zdołamy wpłynąć w decydującym momencie na opinię amerykańską. Oczekuje tego z tym większym napięciem im polityka amerykańska wydaje się być dalsza od linii polskich postulatów.

LONDYŃCZYK

“ TWORZYWO ”

Zanim umieścimy recenzję, sygnalizujemy ukazanie się wielkiej powieści emigracyjnej Melchiora Wańkowicza pt. „TWORZYWO”. Otwiera ją rozdział drukowany w numerach 11/61 i 12/62 „Kultury” pt. „TRZY POKOLENIA”. Czytelnicy niewątpliwie pamiętają wrażenia jakie wywarły te dzieje polskiego Robinsona Kruzo, mieszkającego w puszczy, w lochu wykopanym w ziemi. Możemy uchylić rąbka akcji komunikując, że wnuczka jego wyjdzie za autentycznego lorda.

Do dziejów tego farnala małopolskiego dochodzą dzieje siostrzeńca Drzymały, który emigruje po krachu z wozem, bojowca z Łodzi, który ucieka spod szubienicy i legionisty oraz wójta, który musi emigrować już z Polski niepodległej.

Jest to więc nie tylko wielka powieść emigracyjna, ale i powieść społeczna, która pomaga nam rozoznać się w procesach asymilacji, zadamawiania się jak również odrębności, na jakie natyka się człowiek wyrzucony w świat.

Czytelnicy nasi w USA i w Kanadzie mogą zamawiać tę, liczącą 434 strony, książkę, oprawną w płótno, nadsyłając należność wraz z przesyłką w kwocie \$ 4,20 pod adresem autora:

4, Arbor Place
Glen Cove L. I. — N. Y.
U.S.A.

Sprawy i Troski

Jeszcze o Strassburgu

Czytelnicy *Kultury* pamiętają zapewne wypowiedzi Zb. Różyckiego tudzież niżej podpisanego na temat Kolegium Wolnej Europy w Strassburgu, a także o wiele wcześniejsze wypowiedzi na temat studiów młodzieży uchodźczej, jak przemówienie J. Czapskiego na berlińskim Kongresie Wolności Kultury. Nie upłynął rok od czasu mojej ostatniej wypowiedzi, która była oparta o badanie sytuacji na miejscu i rozmowy z inicjatorami akcji, a dowiadujemy się, że Kolegium Wolnej Europy ma ulec likwidacji, zaś rozszerzona będzie działalność stypendialna tzw. Uniwersytetu Wolnej Europy w Nowym Jorku, czyli organizacji, zajmującej się ułatwieniem studiów młodzieży uchodźczej. W Strassburgu pozostać mają tylko kursy wakacyjne.

Obecnie stypendystów ma być 300 i mają oni swobodę wyboru miejsca studiów we Francji lub poza Francją, natomiast jak się zdaje, mają być obowiązani do uczęszczania na kursa wakacyjne w Strassburgu.

Na pierwszy rzut oka zarządzenia te, o których informuje druczek rozsyłany ze Strassburga, idą po linii wywodów moich i p. Zb. Różyckiego. Obaj krytykowaliśmy zarówno wybór Strassburga, jak pewne niedomagania raczej techniczne, jak wreszcie nadmierne obciążenia studentów podwójnym torem studiów.

Powyższe niedomagania i błędy wynikały jednak, jak podkreślałem, przede wszystkim z braku jasnego określenia celów kolegium. Można je było pojmować bardzo różnorodnie. Istniała koncepcja raczej *filantropijna* zapewnienia możliwości studiów młodzieży uchodźczej po to, by mogła ona wejść w społeczeństwa zachodnie i podjąć tu pracę zarobkową — coś w rodzaju „resettlement training”. Z tego punktu widzenia jest rzeczą zupełnie obojętną, czy studenci uchodźczy studiować mieli farmację, dentystrykę, filologię klasyczną czy geologię. Obok tego istniała koncepcja przygotowania kadr ludzi wykształconych, którzy mieliby wrócić do swych krajów po ich uwolnieniu.

Wreszcie pojawiła się koncepcja trzecia, stworzenia ośrodka na wysokim poziomie naukowym, który by był poświęcony ba-

daniu rzeczywistości krajów za żelazną kurtyną i który by zarażem kształcił prawdziwych znawców ich życia w różnych dziedzinach.

W gruncie rzeczy każda wyższa uczelnia na świecie, o ile jest prawdziwą wyższą uczelnią, a nie tylko nazywa się „uniwersytetem”, ma dwoisty charakter: szkoły zawodowej i ośrodka badań. Przejście od jednego do drugiego poziomu odbywa się nieznacznie w toku studiów, linia podziału jest zatarta. W każdym razie nie ma mowy o tym, by można było wykształcić pracowników naukowych tam, gdzie nie ma ośrodka badań z prawdziwego zdarzenia, gdyż trzeba takich naukowców nauczyć metody prowadzenia samodzielnej pracy. Dwoistość wyższych uczelni na ogół nie przekadzała im spełniać z pożytkiem obu zadań, to jest przygotowania do pracy zawodowej i przygotowania do pracy badawczo-naukowej.

W naszym wypadku sprawa jest bardziej skomplikowana. Byłaby prosta gdyby przedmiot badań i punkt widzenia był na jakiejś wyższej uczelni taki, o jaki nam chodzi, gdy myślimy o studiach „wschodnich” (będę używał tego słowa w znaczeniu studiów poświęconych krajom pod władzą komunistów), to znaczy gdyby na prawie czy ekonomii od razu uczono prawa sowieckiego czy ekonomii planowej. Na zachodzie nie ma takich uczelni a gdyby były to też trudno byłoby kogoś z uchodźców namawiać do uczenia się, nie bo nie dawałyby one przygotowania do pracy zarobkowej.

Pozostają więc dwa rozwiązania. Albo zrezygnuje się z wszelkich studiów wschodnich i umożliwi młodzieży przygotowanie do resettlement na Zachodzie, albo stworzy się ośrodek studiów na wyższym poziomie, który by kształcił tych, którzy już zdobyli na uczelniach zachodnich niższe stopnie naukowe, będące świadectwem uzdolnienia do pracy zawodowej, a równocześnie koniecznym wstępem do pracy naukowej. Taką koncepcję starałem się przedstawić przed rokiem na łamach *Kultury*. Starałem się też wykaazać, że kolegium Wolnej Europy w Strassburgu nie mogło spełnić ani jednego z obu wymienionych zadań.

Oczywiście można pierwszą alternatywę ozdobyć jakimiś kursami wakacyjnymi, czy wieczornym nauczaniem „przedmiotów ojczyustych” ale to już nie zmienia istoty rzeczy. Kolegium strassburskie dawało możliwość przygotowania do pracy zawodowej we Francji, a poza tym miało właśnie takie ozdóbki „wschodnie”, pozbawione większego znaczenia. Ani uniwersytet strassburski nie interesował się zbytnio światem komunistycznym, ani kursy wakacyjne czy wieczorne Kolegium nie mogły dać takiego poziomu wyspecjalizowanej wiedzy o tym świecie jaki byłby potrzebny dla przygotowania stypendystów do prawdziwej pracy naukowej.

Z punktu widzenia przygotowania do pracy zawodowej studia strassburskie mogły być odpowiednie tylko dla młodzieży mieszkającej we Francji i pragnącej we Francji pozostać.

Obecna reforma oznacza w gruncie rzeczy, jeżeli nie w inten-

cjach projektodawców, to w skutkach jakie za sobą pociągnie, przejście na racjonalniejszy system przygotowania uchodźców do pracy zawodowej na Zachodzie. Pozostawienie swobody wyboru miejsca studiów i ich kierunku stypendystom otworzy drogę studentowi z Anglii czy Niemiec do zdobycia umiejętności, koniecznych dla pracy w tych krajach i w języku którym się będą posługiwać w pracy zawodowej. O programach kursów wakacyjnych, które będą utrzymane, nie wiemy nic. Jeżeli ich program będzie tak przypadkowy jak dotychczas, tudzież jeżeli nie będzie na nich specjalizacji, to wartość kursów nie będzie wielką! Nie chcemy powiedzieć, by były one *całkowicie* bezużyteczne: pobyt na tych kursach może być lepszym sposobem spędzania czasu niż np. gra w karty. W okresie superspecjalizacji słuchacz medycyny zyska słuchając przystępnych pogadanek o systemie komunistycznym albo o filozofii marksistowskiej — rozszerzy nieco swe horyzonty. Ale nie ludźmy się — w zainteresowaniach jego będzie dominować „zachodnia” specjalizacja zawodowa. Tak samo pewien ograniczony sens będą miały wykłady o zagadnieniach krajowych. Pogadanki te mogą być jednak utrzymywane na poziomie najwyższej szkoły średniej, bo inaczej, przy braku specjalizacji, byłyby niezrozumiałe dla słuchaczy.

Cechą dotychczasowego programu kursów była przede wszystkim jego przypadkowość. Inaczej być nie może, bo z natury rzeczy dobór prelegentów jest przypadkowy, a do prelegentów dostosowuje się tematy... Przypadkowość i popularyzatorski charakter wykładów nie może się przyczynić do wykształcenia prawdziwych znawców zagadnień wschodnich.

W ramach obecnego programu można jeszcze częściowo dostosować rozdział stypendiów do potrzeb poszczególnych krajów ujarzmionych, np. dając Polakom stypendia na studia górnicze lub chemiczne, jeżeli się już przyjmie zasadę przygotowania do pracy zawodowej, a pragnie się jakoś te ich przygotowanie przystosować do potrzeb kraju. Ale na tym koniec. Zasadniczy cel kolegium jakim powinno być przygotowanie ludzi rozumiejących równie dobrze Zachód i Wschód (używam tych określeń jako skrótu myślowego) nie może być oczywiście spełniony. Ludzie tacy powinni mieć ogólne wykształcenie w zakresie szkoły średniej dotyczące *wszelkich* dziedzin i specjalne wykształcenie, dotyczące *ich* dziedziny.

Dla przykładu: każdy student powinien wiedzieć co to jest socrealizm, tak jak musi wiedzieć co to jest romantyzm, by w ogóle móc studiować na wyższej uczelni, wszystko jedno co. Ale student historii powinien równocześnie wiedzieć nie tylko co to jest materializm historyczny, ale także na czym polegały różnice między polskimi i sowieckimi historykami w poglądach na prehistorię i powstanie państwa polskiego, na czym polega różnica w pojęciu marksistowskim i niemarksistowskim feudalizmu i mnóstwo tego rodzaju zagadnień, których w samej tylko dziedzinie historii mógłbym tu wliczyć kilkadziesiąt.

Zasadnicze nieporozumienie w sprawie Strassburga polega

na tym, że został on zaklasyfikowany do imprez filantropijnych, potrzebnych uchodźcom. Tymczasem specjalistów naukowych, rozumiejących wschód potrzebują Amerykanie co najmniej w tym samym stopniu co my. Potrzebują ich nie tylko u siebie w kraju, lecz także w Europie zachodniej. Nie ma mowy o skutecznym przeciwdziałaniu infiltracji komunizmu bez jego znajomości. Nie ma też mowy o bezbolesnym przeprowadzeniu integracji świata bez kadry ludzi, rozumiejących równie dobrze Zachód jak Wschód, a ludzi takich wychować można tylko na zachodzie.

Imprezy filantropijne padają często ofiarą zmiennych nastrojów, zwłaszcza gdy wiąże się je z „zimną wojną”, czy „koegzystencją” czy innym, w danej chwili obowiązującym sloganem. Czy slogany te są wyrazem taktyki politycznej, poza którą kryje się dążenie do celów niezmiennych, czy też wyrażają całą każdorazową mądrość polityczną komitetu Wolnej Europy? Akcja tego rodzaju jak podjęta w Strassburgu nie znosi zmienności celów, wymaga ona planowania długofalowego i konsekwentnej realizacji. Zmiany metod pracy są konieczne w miarę zdobywanych doświadczeń, ale zmiana celów jest właściwie likwidacją dotychczasowych zamierzeń.

Jeżeli z planami reorganizacji Strassburga nie łączy się zamiar stworzenia poważnego ośrodka badań i kształcenia specjalistów, który by mógł równocześnie przygotowywać konsekwentny plan pracy na kursach wakacyjnych, to plany te oznaczają po prostu posunięcie oszczędnościowe, rodzaj ewakuacji Robertsau. No cóż — ewakuuje się wyspy Taczen, to czemu nie ewakuować Robertsau? Kłopot w tym, że natura nie znosi próżni. Tymczasem w życiu emigracji, nie tylko polskiej, ale w ogóle środkowo-europejskiej wyraźnie się tworzy próżnia intelektualna, spowodowana brakiem młodych pracowników naukowych. Zlikwidowanie stypendiów dla młodzieży uchodźczej w Stanach Zjednoczonych, które zbiega się jakoś w czasie z reorganizacją kolegium, nasuwa myśl, że może chodzi rzeczywiście po prostu o oszczędność budżetową kosztem częściowej przynajmniej rezygnacji z celów kolegium.

Wydaje się, że między nami, którzyśmy wysuwali koncepcję ułatwienia studiów wyższych młodzieży uchodźczej, a organizatorami kolegium istnieje zasadnicza różnica w sposobie traktowania tego zagadnienia. Dla nas to był fragment pracy nad przygotowaniem ludzi zdolnych do zrozumienia całego świata i nie wyłączać go ze swego umysłu wszystkich zagadnień „tamtej strony”, dla organizatorów to był fragment akcji defensywno-dywersyjnej. Plany defensywne mają tę słabą stronę, że są zmienne w przeciwieństwie do planów ofensywy integralnej, która jak wynika z definicji, interesuje się zawsze każdym odcinkiem. Łańcuch „obronny” zmienia się w naszych czasach. Na płaszczyźnie geograficznej wyłącza się z niego pewne terytoria a na płaszczyźnie umysłowej pewne zagadnienia.

Dokumenty chwili

Skarb Narodowy w New Jersey

W wielkiej sali Polskiego Klubu Oświatowego w Newarku, N. J., przy 255 Court Street, odbyło się w niedzielę 9. 1. 1955, doroczne Walne Zebranie Komitetu Skarbu Narodowego na stan New Jersey z udziałem delegatów wszystkich organizacji polonijnych, istniejących na terenie stanu. Najliczniej były reprezentowane: Stowarzyszenie Synów Polski, Związek Narodowy Polski, Rada Polonii Amerykańskiej, Zjednoczenie Polek, Sokół, Stowarzyszenia Weteranów i Korpus Pomocniczy Pań, Liga Młodych Polek, Komitety i Kluby Oświatowe, S.P.K., A.K., Związek byłych więźniów politycznych i kluby sportowe.

Po inwokacji ks. mjra Rojka, przewodniczącym zjazdu wybrano jednomyślnie p. Kazimierza Kielara, a sekretarzami p. Fr. Miarę i p. Wład. Pileckiego, po czym przyjęto bez dyskusji protokół z zeszłorocznego walnego zebrania, odczytany przez ks. mjra Rojka.

Sprawozdania Zarządu wygłosili: prezes ks. msgr. Kowalczyk, sekretarz gen. ks. mjr. Rojek, skarbnik mec. Tad. J. Rospond i sekretarz finansowy p. Wład. Marut, a imieniem komisji rewizyjnej p. Bron. Skrzyński.

Sprawozdanie p. Władysława Maruta wykazało, że mimo wzmoczenia wpływów na Skarb Narodowy w pierwszych miesiącach 1954 r., były one za cały rok ubiegły, więcej niż o połowę mniejsze od wpływów w roku 1953. Bowiem, o ile wpływy ogólne za rok 1953 wyrażały się sumą 5.336,15 dol., w roku 1954, dały łącznie z imprezami dochodowymi ledwie 2.296,46 dol.

Dyskusja nad sprawozdaniami była nader rzeczowa, wykazująca troskę o należyty rozwój Skarbu Narodowego oraz zaspokajanie potrzeb nie tylko związanych z istnieniem na obczyźnie legalnych władz naczelnych Państwa Polskiego i jego przedstawicielstw zagranicznych, ale także pomijanych dotąd potrzeb kulturalnych i oświatowych. Stwierdzono, że zmniejszenie się wpływów Skarbu Narodowego w roku 1954, przypisać trzeba nie tyl-

ko rozterkom politycznym partji i stronnictw oraz nie uszanowania woli emigracji polskiej przez dotychczasowego prezydenta Augusta Zaleskiego i jego „rząd”, nie uznawany przez olbrzymią większość Polaków na obczyźnie, ale także zgółta niezrozumiały dla Polaków fakt, że dotychczasowa „rada narodowa”, rząd oraz władze Skarbu Narodowego ignorowały potrzeby szkolnictwa polskiego na obczyźnie, wydawnictwa dzieł naukowych Polskiego Towarzystwa Naukowego na Obczyźnie i Polskiego Uniwersytetu w Londynie oraz wszelakich instytucji kulturalnych i naukowych, a natomiast łożyły i nadal łożą ogromne sumy na pensje różnych osób, pod np. płaszczykiem „dział ministerstwa obywateli na obczyźnie”, które jest w istocie nie działającą fikcją.

Stwierdzić też trzeba, że stan ten nie tylko nie zmienił się na lepsze w ostatnich miesiącach to jest z chwilą powstania tzw. „tymczasowej rady”, ale nawet się pogorszył. Bowiem w budżecie swym za okres od 1 września 1954 do 31 grudnia 1954, „tymczasowa rada” nie daje już ani grosza na potrzeby kulturalne i oświatowe, a natomiast jeszcze bardziej zwiększyła wydatki na opłacanie członków stronnictw, preliminując na okres tylko 4 miesiące, niezależnie od sum na „tymczasową radę”, oraz skompromitowaną „komisję krajową”, aż... 26.040 zł. na „dział ministerstwa obywateli na obczyźnie” i 19.800 zł. na tzw. „akcje zjednoczenia narodowego”, czyli na uposażenia dla członków stronnictw politycznych, czego płatnicy na Skarb Narodowy znieść nie mogą i absolutnie aprobować nie będą.

Jest wprost oburzające, że „tymczasowa rada” i jej „egzekutywa”, w trosce o zaoszczędzenie na swe potrzeby własne, pieniędzy pochodzących od płatników na Skarb Narodowy, przekonanych, że opłacane jest choćby jako tako polskie szkolnictwo powszechne (czego nie było i nie ma), skreśliła nawet tak nikłe dotacje jakie wypłacano od niewielu miesięcy na instytucje naukowe. Mianowicie, nie przewidując już ani grosza na potrzeby oświatowe, „tymczasowa rada” skreśliła po £ 5 — na Polskie Towarzystwo Naukowe i po £ 10 na Polski Uniwersytet na Obczyźnie, jakie miesięcznie otrzymywały do lata 1954.

Nie otrzymuje też ani grosza Polskie Gimnazjum i Liceum w Les Ageux we Francji.

Zaznaczyć też trzeba, że wszyscy bez wyjątku biorący udział w dyskusji, wypowiedzieli się jak najbardziej kategorycznie przeciw wysyłaniu najmniejszych nawet kwot do Londynu, bez względu na to, czy chodzi o „tymczasową radę” lub „egzekutwę”, czy też drugi zespół rywalizujący, a uzurpujący sobie reprezentowanie Polaków, którzy w 99% nie uznają ani jakichkolwiek stronnictw, ani samowoli upartych dzierżycieli „władzy”. Tym samym zjazd wypowiedział się za postanowieniami, powziętymi na zjeździe przedstawicieli komitetów stanowych w Buffalo.

Dotychczasowym władzom komitetu stanowego uchwalono jednogłośnie absolutorium oraz podziękowanie za prace i zajęcie

postawy nie angażującej Komitetu Skarbu Narodowego w stanie New Jersey, po żadnej stronie skłóconych w Londynie obozów.

Nowoobrane władze Komitetu Skarbu Narodowego na stan New Jersey, stanowią dotychczasowy zespół z nieznacznymi zmianami, przy czym Prezydium Komitetu pozostało w stanie dotychczasowym. Wybory władz dokonane zostały jednomyślnie, bo tylko przy i głoście sprzeciwu.

Pośród uchwalonych wniosków, na specjalną uwagę zasługuje zgłoszony przez red. Zb. Łukaczyńskiego, domagający się od władz kierowniczych w Londynie uwzględnienia potrzeb polskiej oświaty i kultury na obczyźnie.

Zjazd wykazał jedność Polonii w stanie New Jersey w trosce o istotne dobro polskiej Sprawy, odcięcie się od wszelkich gier partyjno-politycznych, wzmożenie prac w terenie, mających na celu zwiększenie wpływów do kasy Skarbu Narodowego w stanie N. Jersey oraz nie wysyłanie najmniejszych nawet kwot do Londynu tak długo, póki nie nastąpi prawdziwe zjednoczenie Polaków na obczyźnie i póki nie będą uwzględniane istotne potrzeby narodowe.

GRYF PUBLICATIONS LIMITED

PRZEDSTAWICIELSTWO „KULTURY”
I WYDAWNICTW KSIĄŻKOWYCH „KULTURY”
NA WIELKĄ BRYTANIĘ

zaopatruje w książki polskie mając na składzie ponad
3.000 tytułów. Wysyłka natychmiast po otrzymaniu
z a m ó w i e n i a.

Katalogi bezpłatnie na żądanie.

WYSYŁAMY BEZPOŚREDNIO DO W. BRYTANII,
ST. ZJEDNOCZONYCH, AUSTRALII, BRAZYLII
I I N N Y C H K R A J Ó W.

Na terenie Francji przedstawicielstwo:
„Libella”, 12, Rue St. Louis-en-l’Ile, Paris 4^e

BOGATY DZIAŁ NOWOŚCI

Wolna Trybuna

Pięć elementów

Politykę polską w okresie od zakończenia drugiej wojny światowej obciążają dwa slogany, nie pozwalające nam dostrzec pewnych realnych możliwości działania.

Pierwszy z tych sloganów — to sformułowanie naszego naczelnego zadania, jako „reprezentacji na terenie międzynarodowym nieobecnego Kraju”. Slogan drugi — to definicja polityki, jako „sztuki przewidywania przyszłości”. Oparcie naszej polityki na tych sloganach ograniczyło naszą działalność na terenie międzynarodowym do memoriałów, składanych od czasu do czasu przedstawicielom państw zachodnich — memoriałów, o których najwięksi optymiści nie mogli twierdzić, iż przyspieszą one choćby o jeden dzień odzyskanie przez nas niepodległości.

Przewidywanie jest jednym z istotnych elementów każdego działania, lecz nigdy samego działania nie jest w stanie zastąpić. Istotą zaś polityki nie jest przewidywanie, ale tworzenie przyszłości. Określanie polityki jako sztuki przewidywania, prowadzi do postawy bierniej, wyczekującej. W naszym wypadku stało się to przyczyną sformułowania naszego zadania jako reprezentacji, a nie — czynnej akcji niepodległościowej.

To też jest głównym powodem abstynencji politycznej ogółu naszej emigracji, dla którego nie jest specjalnie ważne, kto go będzie reprezentował, jeśli ta reprezentacja nie ma przynieść dla sprawy polskiej żadnych konkretnych wyników.

Nie tylko my, ale nawet kierownicy polityki potęg światowych nie mają dostatecznej ilości elementów dla przewidzenia z pewnością rozwoju sytuacji. Tym bardziej w naszej polityce zasadą podstawową winno być nie bierne wyczekiwanie na realizację przewidywanych przez nas zmian sytuacji światowej, ale przygotowanie i wytworzenie takiego zespołu środków oddziaływania międzynarodowego, którego użycie byłoby możliwe w każdej możliwej sytuacji.

Jakkolwiek pesymistycznie można by nasze możliwości w dziedzinie polityki międzynarodowej oceniać, pozostanie faktem niewątpliwym, że emigracja nasza rozrzucona po wszystkich krajach zachodu, a potężniejsza ilościowo i jakościowo od partii komunistycznej w tychże krajach, jeśliby została zorganizowana politycznie i podporządkowała się jednolitemu kierownictwu, to stałaby się właśnie takim elementem, którego prawidłowe użycie w *każdej możliwej sytuacji międzynarodowej* miałoby dla sprawy polskiej zasadnicze znaczenie.

Do wyrwania jednak naszej emigracji ze stanu politycznego uśpienia potrzeba czegoś więcej, niż samego tylko uporządkowania naszych stosunków wewnętrznych i wytworzenia takiej czy innej struktury naszego kierownictwa politycznego. Trzeba wskazania realnych i konkretnych możliwości działania, trzeba przedstawienia realnego planu akcji niepodległościowej i przystąpienia do jego wykonywania.

To dopiero da możliwość stworzenia jednolitej i sprężystej organizacji politycznej naszej emigracji — pierwszego i podstawowego elementu działania dla naszej polityki międzynarodowej.

Przy każdej próbie gromadzenia w swym ręku środków działania zagadnieniem podstawowym jest zdanie sobie dokładnie sprawy, do jakiego celu mają być one użyte. W związku z tym zachodzi konieczność hierarchicznego uszeregowania celów naszej polityki zagranicznej. Omawiany wyżej slogan „reprezentacji Kraju”, czy pokrewna koncepcja, że naszym głównym zadaniem jest przypominanie światu o krzywdzie i cierpieniach Polski — są typowym przykładem nieumiejętności właściwego uporządkowania tych spraw w naszym własnym umyśle. Niewątpliwie bowiem naczelnym zadaniem naszej polityki jest przyspieszenie momentu odzyskania przez nasz naród wolności. Wszystkie inne zadania, jakkolwiek ważne, winny być temu celowi podporządkowane.

Takie określenie głównego celu naszej polityki wskaże nam naszych naturalnych sprzymierzeńców i partnerów politycznych — emigrację narodów spoza Żelaznej Kurtyny.

W dotychczasowej praktyce politycznej uważało się, bez głębszego uzasadnienia, za naszych naturalnych sprzymierzeńców mocarstwa zachodnie. Nie robiono przy tym koniecznego rozróżnienia pomiędzy pojęciami „naturalny” i „konieczny”. O ile bowiem w dążeniu do odzyskania naszej wolności można w tej chwili, nie bez słuszności, uważać mocarstwa zachodnie, a zwłaszcza Stany Zjednoczone, za koniecznego partnera w końcowej fazie rozgrywki o wolność, nie naszą zresztą tylko, ale całego świata, o tyle również nasze „wishful thinking” nie powinno nas czynić ślepymi na fakt, że aż do obecnego momentu polityka tych mocarstw odbiegała i odbiega bardzo wyraźnie od naszych życzeń i dążeń.

Jeśli nie chcemy być bezczynnymi politycznie do czasu, kiedy polityka mocarstw zachodnich pójdzie wreszcie po wyczekiwanej przez nas od szeregu lat i najkorzystniej zresztą dla samych tych mocarstw linii, to musimy prowadzić politykę od nich całkowicie niezależną.

Dotychczas nie zawsze zajmowaliśmy pod tym względem właściwe stanowisko. W konsekwencji, na przykład, znanego nastawienia państw zachodnich niechętnie z naszej strony dopuszczano do udziału w różnych konferencjach międzyemigracyjnych przedstawicieli tych narodów, których terytoria wchodziły w skład Związku Sowieckiego przed 1-ym września 1939 roku. Na usprawiedliwienie tego wysuwano często tezę, że nasza sytuacja jest inna pod względem prawnym, tak jakby jakiegokolwiek normy prawne czy umowy międzynarodowe mogły usprawiedliwić trzymanie jakiegoś narodu w niewoli i jakby zresztą odzyskanie przez nas wolności było praktycznie osiągalne bez wytworzenia takiej sytuacji, która by dała również szanse wyzwolenia tym narodem, które swoją wolność już dawniej utraciły.

Niesmiałe próby tworzenia częściowych choćby wspólnych frontów emigracji narodów spoza żelaznej kurtyny rozбивały się dotychczas z reguły o zagadnienie reprezentatywności. Zazwyczaj przy tym reprezentacje były dobierane w myśl życzeń jednego lub drugiego zachodniego mocarstwa. W rezultacie uczestnicy tych, mało w gruncie rzeczy reprezentatywnych konferencji więcej byli przejęci myślą obrony wyłącznego prawa reprezentacji swego narodu czy państwa przed możliwymi zakusami własnych, nieprawomyślnych w ich mniemaniu, współziomków, niż nastawieniem się na istotnie

cełową działalność stworzenia jak najszerzego i najpełniejszego frontu wspólnej akcji niepodległościowej. Dołączała się do tego często obawa urażenia, czy też narażenia się gospodarzom, którzy niewygodnych dla siebie reprezentantów mogli łatwo wymienić na innych bardziej dogodnych.

I tu nasze kierownictwo polityczne powinno dążyć do wytworzenia jak najściślejszej siatki wspólnej organizacji politycznej emigracji narodów spoza Żelaznej Kurtyny, siatki, pokrywającej wszystkie kraje wolnego świata, a sięgającej swymi wpływami głęboko w terytorium pozostające pod władzą Moskwy.

Stworzenie takiej organizacji to drugi potencjalny element.

Rozwinięcie jakiejś wspólnej akcji międzynarodowej zorganizowanego frontu międzyemigracyjnego nie jest wcale w odniesieniu do najważniejszego wspólnego celu — odzyskania wolności — skazane na odłożenie na skutek niepomysłnych koniunktur międzynarodowych. Nie można wprawdzie odmówić słuszności tym, którzy mówią, że odzyskanie przez nasze narody wolności jest mało prawdopodobne bez wybuchu poważnego konfliktu międzynarodowego, na akcję zaś w kierunku przyspieszenia tego konfliktu choćbyśmy nawet mieli ku temu środki, nie zgodzą się łatwo mocarstwa zachodnie, których rządy są uzależnione od dbałych o własną skórę wyborców, pomimo tego nawet, że na dłuższą metę mogłoby to okazać się najlepsze i dla tychże wyborców. Należy jednak zwrócić uwagę, że nasze narody mogą odzyskać wolność nie z chwilą wybuchu takiego konfliktu, ale z chwilą jego pomyślnego zakończenia. Akcja zaś zmierzająca nie do przyspieszenia wybuchu konfliktu, lecz do przyczynienia się — w razie jego wybuchu — do zlikwidowania go jak najszybciej i z jak najpomysłniejszym wynikiem, nie stanie się kamieniem obrazu nawet dla milujących „pokój za wszelką cenę” wyborców. A do takiej działalności zjednoczony front emigracji politycznych spoza Żelaznej Kurtyny byłby niewątpliwie zdolny. Poza możliwościami penetracyjnymi w głąb krajów okupowanych, działalność zorganizowanych emigracji mogłaby już dzisiaj przynieść poważne wyniki w dwóch płaszczyznach: oddziaływania psychicznego i pracy koncepcyjnej.

Te płaszczyzny działania to dalsze dwa niewykorzystane elementy.

Studiując sumiennie stosunkową wagę różnych czynników w obecnej sytuacji międzynarodowej można zauważyć, że największy wpływ na taki czy inny rozwój wypadków na arenie politycznej świata mają obecnie nie czynniki materialne, w rodzaju układów ekonomicznych czy nawet siły militarniej, ale czynniki psychiczne, z których strach odgrywa w tej chwili rolę dominującą. Te czynniki psychiczne decydują często o takim lub innym wykorzystaniu czynników materialnych.

Nie zależnie od tego, że sam strach może popychać zarówno jednostki jak i zbiorowości do działania w zupełnie różnych kierunkach, możliwym jest, przy planowym działaniu, wydobyć na wierzch innych czynników psychicznych, które odbiorą strachowi jego dominujące stanowisko. W tej dziedzinie działalność zorganizowanego frontu międzyemigracyjnego, obejmującego cały wolny świat, mogłaby poważnie zaważyć.

Prowadzenie akcji politycznej na terenie międzynarodowym bez tradycyjnych środków działania, bez sieci placówek dyplomatycznych, bez prawa głosu na konferencjach międzynarodowych, wymaga opracowania zupełnie nowych i różnych w samym swym charakterze od dotychczasowych — koncepcji politycznych. W naszych warunkach jak i w podobnych — innych emigracji spoza Żelaznej Kurtyny, koncepcje te muszą obejmować teoretyczne i badawcze przygotowywanie i dostosowywanie do zmieniających się okoliczności tak całości planu akcji niepodległościowej, jak i poszczególnych akcji politycznych. Przeprowadzenie tego typu teoretyczno-badawczej pracy koncepcyjnej, jako podstawowego warunku dla efektywnej polityki, nie leży

na ogół w możliwościach najwybitniejszych nawet działaczy naszej i innych emigracji. Polityk aktywny, dobry polityk aktywny, bardzo rzadko jedynie może być równocześnie wybitnym teoretykiem politycznym. Zadanie to powinno przypadać politycznym pisarzom i publicystom, politycznym instytutom i instytucjom naukowym, operującym zespołami ekonomistów, socjologów, psychologów i innych specjalistów.

Międzyemigracyjna organizacja pracy w tej dziedzinie jest o tyle łatwiejsza od zagadnienia wspólnej organizacji politycznej, że zagadnienie reprezentatywności nie odgrywa tu żadnej roli. W dziedzinie koncepcji wspólnej akcji niepodległościowej Czech i Słowak mogą pracować wspólnie z Czechosłowakami, w dziedzinie badania sytuacji międzynarodowej Ukraińców wszelkich odcieni może współpracować z „białym” Rosjaninem.

Piąty niewykorzystany element naszej polityki leży w dziedzinie metody wykorzystywania wyników prac badawczo-koncepcyjnych. Element ten określiłbym jako zmianę metody przeciwstawiania na metodę podstawiania. Dotychczasowa działalność różnych emigracyjnych reprezentacji szła głównie w kierunku obrony partykularnych interesów, przedstawiania punktów widzenia poszczególnych, mniejszych czy większych, narodów i domagania się, bez szansy powodzenia, uwzględniania tych interesów przez mocarstwa zachodnie. Zabieraliśmy głos niemal wyłącznie po to, aby protestować. Polityka memorialowa, sama przez się nieefektowna, traciła resztę szans przez stosowanie metody, z góry skazanej na bezowocność.

Akcja koncepcyjna poszczególnych, czy też zjednoczonych, emigracji powinna pójść w kierunku nie przeciwstawiania, ale wynajdywania zbieżności interesów — naszych i mocarstw zachodnich — i następnie konkretnego planowania ich właściwego przeprowadzenia. W państwach zachodnich dotychczas nie ma jasnych koncepcji politycznych. Zarówno rządy jak i obywatele tych państw wiedzą przeważnie, przynajmniej w ogólnym zarysie, do czego nie chcą dopuścić, nie wiedzą natomiast co — a zwłaszcza w jaki sposób — chcą przeprowadzić. Warunkiem powodzenia polityki zagranicznej emigracji spoza Żelaznej Kurtyny jest stanięcie na gruncie nie poszczególnych interesów, ale ogólności światowego dobra. Tylko tego typu koncepcja i tego typu działanie da szansę powodzenia wszelkiej akcji niepodległościowej.

Nie jest słuszne twierdzenie, że na politykę międzynarodową nie możemy mieć wpływu, gdyż jesteśmy na to za słabi. Zarówno w dziedzinie oddziaływania psychicznego jak i w koncepcyjnej, a więc w tych dziedzinach, które w tej chwili mają największy wpływ na bieg wypadków, zjednoczony front emigracji politycznej może się stać potęgą w polityce międzynarodowej, niezależnie od tego, czy będzie formalnie reprezentowany na międzynarodowych konferencjach. Niewątpliwie nie mamy szans na to, by nakłonić np. Stany Zjednoczone do obrony naszych, najsłuszniejszych nawet, praw, jeśli kierownicy polityki amerykańskiej będą uważać, że akcja taka stanowiłaby zagrożenie dla żywotnych interesów Ameryki. Jeśli natomiast z naszej strony wyjdzie koncepcja, plan czy propozycja takiego działania które interesy amerykańskie, wspólnie zresztą z naszymi, będzie właśnie najpewniej zabezpieczać, to od podjęcia i realizacji tej koncepcji nie będzie kierowników polityki amerykańskiej powstrzymywać fakt, iż wyszła ona od strony nie reprezentowanej w Organizacji Narodów Zjednoczonych.

Pięć omówionych wyżej elementów daje w sumie pewien, niekompletny zresztą, zarys koncepcji naszej polityki zagranicznej. Osobiście za jego najważniejszą zaletę konstrukcyjną uważam fakt, iż może być on realizowany nawet częściowo. Gdyż może nie będzie nas stać na jego pełną realizację.

Lecz na kontynuowanie dotychczasowej beczynności w dziedzinie polityki zagranicznej nie stać nas napewno.

BIBLIOTEKA POLSKA KATOLICKIEGO OŚRODKA WYDAWNICZEGO „VERITAS”

CO MIESIĄC WARTOŚCIOWA KSIĄŻKA PO GENIE ULGOWEJ

W 1955 roku wyjdą następujące książki:

STYCZEŃ

Z. KOSSAK: *Rok Polski*. Książka premiowa, albumowa.

LUTY

F. GOETEL: *Czasy wojny (1939-1945)*.

MARZEC

W.S. REYMONT: *Z Ziemi Chełmskiej i Pielgrzymka do Jasnej Góry*.

KWIECIEŃ

Z. BOHDANOWICZOWA: *Droga do Daugiel*. Powieść.

MAJ

Kard. Stefan WYSZYŃSKI, Prymas Polski: *Duch pracy ludzkiej*. Rozważania z zakresu społecznej nauki Kościoła.

CZERWIEC

M.S. KOROWICZ: *W Polsce pod okupacją sowiecką (1945-1954)*. Profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, który w r. ub. „wybrał wolność”, opowiada o życiu Polski okupowanej przez Sowietów.

LIPIEC

W. CYGAN: *Granatowa Załoga*. Powieść marynarska.

SIERPIEŃ

J. KOSSOWSKI: *Ta krew nie płami*. Powieść. Druga część trylogii. Część I. „Wici w puszczy”, wyszła w roku 1954.

WRZESIEŃ

S. VINCENZ: *Na Wysokiej Poloninie*. Obrazy, dumy, gawędy z Wierchowiny Huculskiej.

PAŹDZIERNIK

Biskup F. SHEEN: *Sursum Corda* (Tytuł oryginału: *Lift up your heart*).

LISTOPAD

Książka zbiorowa: *Osiągnięcia współczesnej medycyny*. Praca zbiorowa.

GRUDZIEŃ

W setną rocznicę zgonu: *Pisma Adama Mickiewicza*. Książka premiowa, około 500 stron druku. *Mickiewicz w jednym tomie*. Wszystkie utwory poetyckie Mickiewicza, bez „Pana Tadeusza”.

Prenumerata na poszczególne tomy upływa z końcem podanego miesiąca. Każdy tom w płóciennym oprawie ze złoceniami i artystyczną obwolutą. Cena 8/6 szyl. ang. plus 6 d. porto, razem 9/—, lub ich równoważność; w Stanach Zjednoczonych Am. Półn. — 1,50 dol.

Po upływie okresu subskrypcyjnego cena księgarska każdej książki wynosi 15/— lub 2,50 dol. Szczegóły w KALENDARZYKU B.P. na rok 1955, który wysyłamy bezpłatnie pod podanym adresem, po otrzymaniu kuponu międzynarodowego na znaczek pocztowy.

Zamówienia i przedpłaty prosimy kierować do

Katolickiego Ośrodka Wydawniczego

„VERITAS”, 12, Praed Mews, London, W.2. (England)
lub do naszych przedstawicieli.

Najnowsza historia Polski

Polskie studia wojskowe

W latach 1920-1921, bezpośrednio po zakończeniu wojny bolszewickiej, nie było najmniejszej w Polsce wątpliwości, że uruchomienie własnej produkcji broni i amunicji jest nieodzowną koniecznością. Dziś można mieć na ten temat takie, czy inne poglądy. Podówczas jednak pamięć o tych tragicznych chwil, gdy bojkot robotników w portach angielskich, zakaz przewozu przez Niemcy i Czechosłowację i wroga postawa Gdańska ścisnęły za gardło ostatnim wysiłkiem o swą wolność walczący naród, była jeszcze zbyt świeża.

Podstawą materialną tej produkcji była po-niemiecka wojenna wytwórnia karabinów w Gdańsku, której urządzenia, przeniesione do Warszawy, stały się podstawą pierwszej Fabryki Karabinów. Produkcję dział miały uruchomić Starachowice przy technicznej pomocy francuskiej wytwórni Schneidera. Pomoc ta przez szereg lat jednak była pozorem tylko. Wprost przeciwnie, podobnie jak to potem czyniła ta firma (wraz z czeską Skodą) w Rumunii, stawiała ona wszystkie możliwe opory, aby do produkcji dział w Polsce nie dopuścić. Wiadomo: korzystniej jest sprzedawać działa, niż pomagać przy uruchamianiu produkcji.

gorzej przedstawiała się sprawa kadr fachowych. Był co prawda pewien kontyngent osób, które w czasie wojny minionej pracowały w rosyjskich i — w mniejszym stopniu — austriackich wytwórniach przemysłu wojennego. Byli to wszystko jednak ludzie, którzy pracowali przeważnie na niższych jedynie szczeblach, nie obejmowali szerszych horyzontów, nie umieli się dostosować do koniecznych warunków improvisacji polskiej, a do tego — zwłaszcza ci, którzy ukończyli rosyjskie uczelnie techniczne, byli w dużym stopniu sztywni i dogmatyczni. My, podówczas młodzi, którzyśmy mieli znacznie mniej wiadomości technicznych, ale za to lepiej rozumieliśmy polską rzeczywistość i partzeliśmy dalej, odnosiliśmy się do nich z wielką niechęcią i bar-dzo mocno ich krytykowaliśmy. Dziś jednak muszę obiektywnie przyznać, że nie mieliśmy racji. Mimo bowiem ich ograniczeń i wad, byli oni dla polskiego przemysłu wojennego błogosławieństwem. Bez nich uruchomienie jego byłoby nieomal niemożliwe,

Materiały drukowane w tym dziale zamieszczone są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

a początkowy okres nieuniknionych błędów i pomyłek znacznie dłuższy i kosztowniejszy.

Sprawa była o tyle jeszcze trudniejsza, że nie było również i dostatecznej ilości fachowców cywilnych dla pokrycia braków niezbędnych fachowców dla przemysłu wojennego. Wskutek celowej polityki państw zaborczych, przemysł mechaniczny — bo o ten głównie chodziło — na ziemiach polskich nieomal nie istniał, a tym samym brak było inżynierów. Jedyną nieomal ich kadrą byli inżynierowie Polacy, którzy przed wojną lub w czasie jej trwania pracowali w Rosji, gdzie zdolnościami swymi bardzo często wybijali się na czoło. Przeniesieni jednak na grunt polski, z początku zwłaszcza, aklimatyzowali się trudno i ciągle jeszcze myśleli kategoriami „szerokiej ręki” rosyjskiej, a nie polskiej biedy. Do tego, w wyniku ich pracy w przemyśle cywilnym który podówczas nie miał jeszcze dostatecznego zrozumienia dla wysokiej precyzji, będącej sine qua non w przemyśle wojennym, mieli oni duże trudności z nastawieniem się na nowe warunki i raczej myśleli o tym, jak własne niedomagania przerzucić na barki wojska, „które wymaga za dużo”, niż szukać dróg ulepszenia produkcji.

Nie dziw więc, że choć z Gdańska przywieziono komplet maszyn, narzędzi, sprawdzianów, rysunków, warunków technicznych, a nawet część surówek, upłynęło prawie cztery lata, zanim Fabryka Karabinów wypuściła pierwszy karabin, nie doskonały jeszcze co prawda, ale przynajmniej możliwy.

Z czasem to się oczywiście polepszyło. Ale jeszcze w 1930 roku możliwy był wypadek, że konstruktor działka przeciwpancernego po raz pierwszy w życiu widział, jak działko to pracuje w polu, dopiero w czasie prób praktycznych z skonstruowanym przez niego działem.

Również i oficerowie służb technicznych, którzy z natury rzeczy mieli być łącznikami między linią, a wytwórniami, na początku też nie stali na wysokości zadania. Trudno się temu zresztą dziwić. Ci, co przeszli z wojsk zaborczych służbę w czasie wojny w większości wypadków pełnili na dalekich tyłach i to raczej na podrzędnych stanowiskach, nie mieli więc pojęcia o potrzebach wojska. Ci zaś, którzy przeszli z formacji polskich, choć na ogół dobrze rozumieli potrzeby linii, nie mieli jednak dostatecznego przygotowania technicznego.

Sprawa polepszyła się znacznie, gdy do służb technicznych weszli młodzi absolwenci Politechnik Łwowskiej i Warszawskiej. Gdy dziś tak jest w modzie natrzasać się nad „glupotę” wojskowych, warto przypomnieć, że już w 1921 roku rozpoczęły się odkomenderowywania na studia wyższe tych wszystkich, którym wojna studia te przerwała, jeśli tylko deklarowali, że okres studiów przez odpowiedni czas odsłużą w wojsku. Dużą rolę w tym zakresie odegrał gen. Sosnkowski. W ten sposób wojsko otrzymało poważny zastęp fachowców, a kraj znaczną kadry ludzi z wyższym wykształceniem (większość z nich bowiem z czasem przeszła do życia cywilnego).

W tym to właśnie czasie, około 1927 roku, aktualną stała się sprawa planowego i trwałego uzupełniania kadr fachowych służb technicznych, a zwłaszcza najliczniejszej z nich, służby uzbrojenia. Oficerowie ze służby rosyjskiej i austriackiej propagowali system, stosowany przed wojną w obu tych krajach, specjalnej akademii wojskowo-technicznej. Młodzi inżynierowie, pod wpływem niedawnych doświadczeń, byli temu przeciwni, sądzili bowiem, że w ten sposób zaskorupia się i odcina murem od techniki cywilnej, zamiast szukać z nią wspólnego języka. Wyszuli więc projekt zupełnie nowy i śmiały, aby szkolenie inżynierów dla potrzeb wojska i ścisłego przemysłu wojennego skoncentrować na Politechnice Warszawskiej. Zasadnicze ich szkolenie będzie więc wspólne z inżynierami pokrewnych im specjalności cywilnych, a jedynie przedmioty specjalne związane z techniką wojskową będą im wykładane oddzielnie, podobnie jak to miało miejsce z wykładami dla mechanika, który chciał specjalizować się np. w technice lotniczej, lub gdy chciał być inżynierem komunikacyjnym. Te wspólne studia wytworzą wspólny język między techniką wojskową i cywilną, o którego ważności nasi kierownicy navy wojskowej byli już w tym czasie przeświadczeni. Ponadto koszt nauczania nie będą zbyt wysokie, skoro w przeszło trzech czwartych nauczanie odbywać się będzie w normalnych ramach Politechniki. Równocześnie zamierzano na tak utworzonych, na poszczególnych wydziałach Politechniki, sekcjach wojskowych szkolić i inżynierów dla przemysłu wojennego. Uważano, że tą drogą dostarczą się przemysłowi wojennemu kontyngentu młodych specjalistów, zarówno dobrych inżynierów jak i dobrze znających specyficzne wymogi techniki wojskowej, co wniesie świeży powiew w ten dział pracy państwowej. Ponadto węzły koleżeństwa, jakie w czasie studiów nawiążą przyszły oficer i przyszły inżynier przemysłu wojennego znacznie ułatwią im ich harmonijną współpracę w przyszłości.

Najwybitniejszym rzecznikiem tej myśli, szczerym jej entuzjastą i jednym z głównych realizatorów był płk. inż. K. Kieszniewski, ówczesny szef Departamentu Uzbrojenia. Jemu to więc poruczone nielatwe i licznymi przeszkodami najezone zadanie wprowadzenia tej myśli w życie. Dużą rolę odegrał również (podówczas) mjr. inż. Witkowski, o którym już swego czasu w „Kulturze” pisałem.

Walka o realizację tej myśli rozpoczęła się około 1928 roku. Początkowo napotkała ona na duże opory. I to po obu stronach. Właściwie forsowała ją jedynie służba uzbrojenia. Czynniki dysponujące budżetem widziały jedynie koszt, a nawet w służbach zainteresowanych zrozumienie jej było małe. Jedynie Łączność oceniała jej znaczenie, i to od chwili dopiero, gdy na jej czele stanął płk. dypl. Cępa. Stosunek Broni Pancernej i Saperów był zmienny, zależnie od ludzi, którzy stali na czele. Wyraźnie wrogie stanowisko zajmował płk. (później generał) Kossakowski, w pierw. dowódca Broni Pancernej, a następnie Saperów. Na dwa lata przed wojną, dzięki swym wpływom na dość płytkiego i wię-

cej o swych sprawach osobistych, niż o dobru publicznym myślącego ministra spraw wojskowych, gen. Kasprzyckiego, uruchomił on Wyższą Szkołę Inżynierii, uczelnię poronioną w samym swym założeniu. Dawała ona za dużo wiedzy, jeśli chodzi o oficera liniowego, a za mało, aby wyszkolić pełnowartościowego sapera-inżyniera.

Opory były jednak również i ze strony Politechniki Warszawskiej. Poza nielicznymi profesorami, jak Drewnowski i Wolffke (oraz kilku innymi, których nazwisk wołę jeszcze nie wymieniać), większość odnosiła się do projektu wyraźnie niechętnie, jeśli nie wrogo. Dużą rolę grał w tym antagonizm cywilnych do wojska. „W naszej nauce poświęconej świątyni rozlegają się kroki podkutych butów żołnierskich” powiedział kiedyś z właściwym mu kabotyńskim patosem prof. Broniewski. Odpowiedziałem mu wówczas na łamach „Zaczynu”, że jeśli nauka i wojsko nie wezmą się za rękę, kto wie, czy wkrótce w świątyni tej nie będą się rozlegać kroki podkutych butów niemieckich lub sowieckich. Nie przeczuwałem wtedy, jak bliską realizacji miała być moja przepowiednia.

Drugim czynnikiem niechęci były względy polityczne. Profesorem Politechniki Warszawskiej byli w dużej większości nastroszeni opozycjnie, obawiali się więc, czy studia wojskowe nie będą koniem trojańskim, który wprowadzi B.B.W.R. na Politechnikę. Mam nadzieję, że my, wykładowcy studium wojskowego, przekonałiśmy z czasem profesorów Politechniki jak płonne były ich obawy.

Jeśli mimo wszystko opory te udało się ostatecznie pokonać, i to po obu stronach, jest to niewątpliwie zasługą prez. Mościckiego, który — korzystając z autorytetu naukowego, jakim cieszył się wśród profesorów Politechniki — zdołał perswazją przekonać opornych i usunąć przeszkody na tym terenie. Równocześnie, jak o tym pisałem już w „Kulturze” nr. 64/65, jego oficjalna opieka nad przemysłem wojennym dawała mu możliwość poparcia i przeprowadzenia tej myśli i na terenie Ministerstwa Spraw Wojskowych. Zainteresowania jego nie ustały i po uruchomieniu studiów wojskowych, często bowiem polecał referować sobie sprawy studium wojskowego bezpośrednio.

Wreszcie w lutym 1929 roku rozpoczęło się nauczanie wojskowe na Politechnice Warszawskiej. Uruchomiono następujące wykłady.

Na Wydziale Mechanicznym (Sekcja Uzbrojenia):

Konstrukcja Dział: wykłady rozpoczął ppłk. inż. Paweł Niewiadomski, następnie sprowadzony z Czech inż. Roeggla, a po jego śmierci inż. Stetkiewicz ze Starachowic.

Konstrukcja Broni Małokalibrowej: inż. Karczewski, wicedyrektor Fabryki Karabinów.

Konstrukcja Amunicji: ppłk. inż. Żebrowski.

Balistyka wewnętrzna: początkowo gen. Windakiewicz, następnie autor niniejszego artykułu.

Balistyka Zewnętrzna i Laboratorium Balistyczne: autor.

Wyrób Broni i Amunicji: prof. inż. Płuzański.

Encyklopedia Materiałów Wybuchowych: ppłk. inż. Bratz.

Mobilizacja Przemysłu Wojennego: prof. inż. Płuzański.

Taktyka: ppłk. dypl. Łapicki.

Na Wydziale Chemicznym (Sekcja Materiałów Wybuchowych i Sekcja Broni Chemicznej):

Technologia Materiałów Wybuchowych: prof. inż. Urbański.

Technologia Gazów Bojowych: ppłk. inż. Sianożęcki.

Encyklopedia Broni i Amunicji: ppłk. inż. Car.

Technologia Gumy: pani inż. Sągajło.

Balistyka Wewnętrzna: ppłk. inż. Długowski.

Na Wydziale Elektrycznym (Sekcja Elektrotechniki Wojskowej i Sekcja Telekomunikacji Wojskowej):

Przedmioty wojskowe prowadzono w ramach istniejących katedr, których kierownicy, jak np. prof. Drewnowski i Groszkowski, mieli wiele osobistego doświadczenia w tym kierunku.

Na Wydziale Inżynierii uruchomiono wykłady mjr. inż. Piaśckiego: „Kolejki Wąskotorowe” i „Naprawa Mostów Zniszczonych”

Ponadto na Wydziale Mechanicznym prof. Taylor uruchomił przy swej katedrze „Budowa Samochodów” laboratorium broni pancernej pod kierownictwem inż. M. Bekkera.

Wszystkie te przedmioty prowadzone były na zasadzie „wykładów zleconych”. Drażliwość władz Politechniki, aby nie „strefnić” się techniką wojskową szła nawet tak daleko, że poszczególne zakłady techniki wojskowej nosiły oficjalną nazwę „gabinet”, a nie „katedra”, czy „zakład”. Wyjątek stanowił jedynie Wydział Chemiczny, gdzie kilka lat przed wojną uruchomiono Katedrę Materiałów Wybuchowych, dzięki czemu prof. Urbański uzyskał normalne prawa profesora Politechniki i w roku 1939 był nawet dziekanem. Przy jego katedrze adiunktem był doc. Hackel, a w 1938 roku pod jego opieką rozpoczął wykłady doc. Tucholski. Był to bardzo ciekawy człowiek, typowy przykład, jak „faszystowska Polska” gnębiła oświatę. Majster wojskowy, pyrotechnik, w czasie swej służby w Warsztatach Amunicyjnych w Poznaniu zdał maturę i — dzięki dużej pomocy ze strony mjr. Kosteckiego, kierownika tych warsztatów — ukończył Uniwersytet w Poznaniu. Wtedy wystąpił z wojska, uzyskał stypendium które pozwoliło mu spędzić rok w Cambridge, a następnie habilitował się w Poznaniu. Zginął w Katyniu z rąk „opiekunów nauki polskiej”.

Przez długi czas trwały starania, aby uruchomić wykłady konstrukcji czołgów. Sprawa rozbiła się jednak, jak często w Polsce — i we większym jeszcze stopniu na emigracji — o trudności natury personalnej. Kandydatem Broni Pancernej był mjr. Gundlach, doskonały konstruktor czołgów w Biurze Badań Broni Pancernej. Nie miał on jednak tytułu inżyniera, choć bowiem ukończył studia na Politechnice, brakło mu kroku ostatniego, pracy dyplomowej. Bez tytułu inżyniera Politechnika nie chciała się zgodzić na jego kandydaturę. Sugerowano (jak mnie infor-

mował prof. X — nazwiska wolę jeszcze nie wymieniać) — aby Gundlach przedłożył jedną ze swych konstrukcyj czołgów jako pracę dyplomową. „Damy mu wtedy tytuł inżyniera bez żadnej trudności”. Gundlach jednak zaciął się: „Jeśli uznają, że umiem dostatecznie, aby wyklądać, to po co im papierek”. Obrażony dowódca Broni Pancernej nie chciał zaproponować innego kandydata i tak pozostało do końca, z dużą szkodą obu stron.

Struktura organizacyjna tych studiów wojskowych, jak każdy wynik kompromisu, była mocno złożona. Ze strony wojska była ona prostsza. Utworzona w 1930 roku i podporządkowana I. Wiceministrowi Spraw Wojskowych, jako odpowiedzialnemu za wyszkolenie wojska, Komisja do Nauk Wojskowo-Technicznych, miała w swym ręku całokształt spraw, związanych z szkoleniem oficerów-inżynierów i inżynierów cywilnych o specjalnościach wojskowo-technicznych. Przewodniczącym jej był każdorazowy szef Biura Ogólno-Organizacyjnego (przemianowanego później na Departament Dowodzenia Ogólnego). Sekretarzem jej był mjr. (później ppłk.) J. Machowicz z Departamentu Uzbrojenia.

Jak to zwykle bywa, nie forma jednak, lecz człowiek, decyduje o powodzeniu, czy niepowodzeniu sprawy. A jeśli sprawa studiów wojskowych na Politechnice przeszła szczęśliwie nie tylko ciężki okres początkowy, ale i wiele późniejszych burz i raf na swej drodze, to zawdzięczać to należy w bardzo dużej mierze właśnie ppłk. Machowiczowi. Gorąco przywiązany do idei tych studiów, traktując je niemal jako swoje dziecko, nie zrażał się ani tym, że przełożeni jego niebardzo interesowali się jego pracą w tym kierunku i wszystko pozostawiali jego wyłącznej inicjatywie i przedsiębiorczości, ani też tym, że więcej go za jego pełną poświęcenia pracę spotykało cierni, niż róż.

Choć pozornie sztywny i nieprzystępny, umiał on sobie zyskać liczne kontakty osobiste i duże zaufanie zarówno Ministerstwa Oświaty, jak i profesorów Politechniki i to zaufanie tak daleko posunięte, że zapraszano go kilkakrotnie na posiedzenia Rady Wydziału Mechanicznego, instytucji bardziej ekskluzywnej, niż niejeden klub angielski. Dzięki dużym talentom perswazyj i zdrowego sensu umiał on zręcznie godzić wiele sprzeczności, łagodzić niejedną zatarg i — co przy naszym skąpym budżecie w owym czasie nie było bynajmniej rzeczą łatwą — uzyskiwać fundusze potrzebne na cele studiów wojskowych.

Każdy z wykładowców przedmiotów wojskowych wiedział doskonale, że z jakąkolwiek tylko sprawą przyjdzie do ppłk. Machowicza, zawsze znajdzie u niego życzliwą pomoc. Kumulował on w swym ręku również i sprawy odkomenderowań na studiach (o których powiem dalej) oraz stypendiów dla studentów cywilnych. Nieprzystępny naciskom, których oczywiście nigdy nie brakowało, wykazywał on tu zawsze największą możliwie bezstronność i życzliwość przy wszystkich pozorach oziębłości i obojętności. Pamiętam jak wiele razy petent odchodził od niego z wrażeniem, że wszystko przepadło, a ppłk. Machowicz my-

ślał nad tym, jak mimo wszelkich trudności petentowi dopomóc i — jeśli nie w ten, to w inny sposób — umożliwić mu dalszą naukę.

Jego nieustępliwości wreszcie i stosunkom osobistym zawdzięczać należy, że — mimo zrozumiałych przeszkód ze strony szefów poszczególnych departamentów broni — kandydaci na studia wojskowo-techniczne byli zawsze najlepszymi reprezentantami swych broni tak pod względem zdolności, jak i charakteru. Procent oficerów, których trzeba było odwołać ze studiów, był znikomy.

Budżet Studium Wojskowego był — jak na nasze ówczesne warunki — wcale wysoki, bo przeciętnie 80.000 złotych rocznie. Szedł on zarówno na opłaty na wykładowców i asystentów, które zresztą wypłacała kwestura Politechniki (bo powoływanie na wykłady było uprawnieniem Politechniki), jak i na wydatki rzeczowe.

Oficerów na studia odkomenderowywano, na własną ich prośbę, po dwuletniej ich służbie w linii. Podlegali oni selekcji podwójnej: w pierw władz wojskowych, a następnie normalnych egzaminów wstępnych na Politechnikę, wspólnych wszystkim studentom.

Poza wojskowymi, na studia wojskowe szli również i studenci cywilni po ukończonym podyplomie. Otrzymywali oni stypendia w wysokości, jak na nasze przedwojenne stosunki, bardzo dużej, bo 300 złotych miesięcznie. Pokrywano je nie z funduszy publicznych, lecz z sum, przeznaczonych na ten cel przez poszczególne wytwórnie przemysłu wojennego. Udzielenie stypendium było uzależnione od opinii dziekana danego wydziału oraz od orzeczenia Samodzielnego Referatu Informacyjnego, czy dany student nie zdradza tendencji komunistycznych lub pro-niemieckich. Była to ostrożność konieczna i zrozumiała. Miał on przecież pracować w przemyśle wojennym, gdzie nie chcieliśmy mieć Fuksów.

Uzyskiwanie funduszy na stypendia i ich rozdział należały do kompetencji II. wiceministra Spraw Wojskowych, a w praktyce do ppłk. Machowicza, który wykazywał dużą pomysłowość w tym kierunku, zdolawszy np. przekonać Stowarzyszenie posiadaczy listów zastawnych T-wa Kredytowego Ziemińskiego, aby i oni coś dali ze swych funduszy.

Przez krótki czas, na życzenie Ministerstwa Oświaty, Min. Spraw Wojskowych zgodziło się przekazać kompetencje przyznawania stypendiów temuż Ministerstwu. Nie trwało to jednak długo. Razu pewnego Ministerstwo Oświaty odrzuciło kandydata, wysuniętego przez Min. Spraw Wojskowych, twierdząc, że nie podobają mu się poglądy polityczne owego młodego człowieka. Sprawa oparła się o gen. Składkowskiego, który wtedy był II. wiceministrem Spraw Wojskowych. Referujący sprawę ppłk. Machowicz zameldował, że opinia dziekana o danym kandydacie jest przychylna, a Samodzielny Referat Informacyjny nie zgłasza żadnych sprzeciwów. Nie widzi więc dla czego takie czy

inne jego poglądy polityczne miałyby mieć jakikolwiek wpływ na udzielanie stypendiów. Gen. Składkowski wysłuchał referatu uważnie i zapytał: „Czy może mi Pan zagwarantować, że to, co Pan mówi jest ściśle?” „Tak jest, Panie Generale” — odrzekł ppłk. Machowicz. „W takim razie — zdecydował z miejsca, swoim zwyczajem, gen. Składkowski — stypendium chłopcu wypłacić i zawiadomić Min. Oświaty że odtąd my sami będziemy stypendia rozdzielali”. Taki był ten „totalizm” w przedwojennej Polsce.

Początkowo cywili stypendyści na studiach wojskowych mieli stypendia swe odslugiwać w wojsku, jako oficerowie rezerwy. Nie trwało to jednak długo, gdyż rychło władze wojskowe doszły do przeświadczenia, że lepiej będzie, jeśli odslugiwać swe stypendia będą w przemyśle wojennym. Jediną rzeczą, jaką sobie Ministerstwo Spraw Wojskowych zarezerwowało, to skierowywanie absolwentów-stypendystów do tych wytwórni, gdzie będą oni najbardziej potrzebni, przy czym wyraźnie i mocno zastrzeżono, że ich warunki uposażeń nie mogą być gorsze, niż inżynierów przyjmowanych z wolnego rynku. W praktyce wyglądało to w ten sposób, że poszczególne wytwórnie prywatne umawiały się ze studentami kończącymi studia i nie było wypadku nieporozumień z krzywdą dla młodego inżyniera.

Na Politechnice administracja studiami wojskowymi była nieco bardziej skomplikowana. Z jednej strony sekcje wojskowe podlegały, jak i wszystkie inne działy nauczania, radom wydziałowemu, które zatwierdzały programy, powoływały asystentów i załatwiała wszystkie drobne sprawy codzienne. Jedinie powoływanie wykładowców było kompetencją Senatu w porozumieniu z władzami wojskowymi i za aprobatą Ministerstwa Oświaty. Anomalią było tylko, że — poza nielicznymi wykładowcami, którzy wykładali równocześnie przedmioty niewojskowe i byli profesorami Politechniki — wykładowcy wojskowi nie byli reprezentowani w radach wydziałowych i tym samym nie mieli głosu w sprawach ich dotyczących. Aby choć częściowo temu zaradzić stworzono tzw. „Studium Wojskowe” z kierownikiem na czele i radą, złożoną z wykładowców przedmiotów wojskowych i delegatów poszczególnych wydziałów. Rada ta jednak miała jedynie głos opiniodawczy, gdyż uchwały jej wymagały zatwierdzenia rad wydziałowych. Kierownik Studium Wojskowego wybierany przez tę radę co roku (w praktyce, choć nie w zasadzie, był to profesor Politechniki), reprezentował Studium w Senacie Politechniki. Mimo tej skomplikowanej struktury, wymagającej ze strony wykładowców przedmiotów wojskowych dużej dozy dyplomacji, aparat ten działał nad podziw sprawnie.

Aby wzmocnić węzły koleżeństwa słuchaczy przedmiotów wojskowych i ich zainteresowanie techniką wojskową, założono Koło Studentów Sekcyj Inżynierii Wojskowej. Władze Politechniki, sądząc, że nowe to koło burzy strukturę organizacyjną naukowych kół studenckich, opartych o wydziały, z początku opierały się, w 1934 roku jednak zgodziły się na jego zatwier-

dzenie. Pomoc finansową dawały władze wojskowe. Praca koła rozwijała się pomyślnie. Założycielem i pierwszym prezesem koła był kpt. (dziś ppłk.) inż. Harski, podstawy organizacyjne wypracował mjr. inż. Gac.

Na niektórych wydziałach, jak np. na chemicznym, studium wojskowe zaasymilowało się szybko. Na innych, jak zwłaszcza mechanicznym, pozostały one nieomal do końca ciałem obcym. Choć przez przeszło 10 lat nie było ani jednego zatargu, choć nasze stosunki osobiste z profesorami Politechniki były doskonałe, tym nie mniej stosunek wielu z nich do samej idei studium wojskowego był wyraźnie niechętny, jeśli nie wręcz wrogi. Tak było np. w wypadku uchwały rady wydziału mechanicznego, żądającej usunięcia studiów wojskowych z Politechniki, uchwały o której sami projektodawcy doskonale wiedzieli, że jest tylko czczą demonstracją, bo nie ma żadnych szans przejścia przez Senat. I właśnie dlatego — dla świętego spokoju — głosowali za nią nawet ci, którzy byli ongiś gorącymi propagatorami tych studiów.

Ta niechęć objawiała się nawet w takich śmiesznoścach, że przy corocznym wyliczaniu, w sprawozdaniach Politechniki, prac naukowych jej personelu nauczającego pomijano systematycznie prace wykładowców przedmiotów wojskowych.

Źródłem jej była nie tylko zrozumiata — choć nie powiem aby naturalna — niechęć cywili do wojskowych, ale ponadto roznamiętniona w owym czasie sprawa autonomii szkół wyższych. Autonomia ta, datująca się jeszcze od czasów średniowiecznych i bardzo cenna w szkołach galicyjskich z punktu widzenia obrony interesów narodowych, przybrała w ostatnim dziesięcioleciu niepodległości cech „żrenicy wolności”, o którą walczone z takim zapałem i często z takim fanatyzmem, jak ongiś o liberum veto. Trudno, jak o tym świadczy nasze życie polityczne na emigracji, liberum veto tkwi atawistycznie w każdym z nas. Niestety „wolność akademicka” przybierała nieraz na naszych wyższych uczelniach cechy mało budującej samowoli. Pamiętam wypadek prof. X., człowieka bardzo światłego i rozumnego, który w zapale dyskusji powiedział kiedyś: „Jeśli ja tego roku zechcę przyjmować do mego laboratorium tylko blondynów, a w roku przyszłym tylko brunetów, nikt nie ma prawa do tego się wtrącać”. A nie były to tylko słowa. Zgodnie z uchwałą rady wydziałowej studenci Studium Wojskowego mieli obowiązkowo brać udział w corocznie organizowanych przeze mnie wycieczkach do centrów artylerii i piechoty, aby zobaczyć, jak w praktyce działa sprzęt, którego teorii i konstrukcji mieli się uczyć. Nawet terminy wyjazdu były zatwierdzane przez władze wydziałowe. Otóż razu pewnego zdarzyło się, że na skutek tego wyjazdu jeden ze studentów opuścić musiał laboratorium metalograficzne prof. Broniewskiego. A miał on zwyczaj, że studenci, którzy odbyli wszystkie ćwiczenia, otrzymywali stopień z ukończenia laboratorium na podstawie swych sprawozdań, ci zaś, którzy choć jedno ćwiczenie opuścili, musieli zdawać dodatkowy

egzamin. Był to zaś egzamin bardzo trudny i studenci bali się go jak ognia. Gdy więc prof. Broniewski zażądał od wspomnianego studenta, aby zdawał egzamin, ten zwrócił się do mnie o interwencję, uważając słusznie, że nie ma powodu aby karać go za to, że wykonał uchwałę rady wydziałowej. Prosiłem dzianą wydziału o pomoc, bezskutecznie jednak. Prof. Broniewski uważał się za wyższego ponad wszelkie uchwały ciał zbiorowych.

To poczucie swej absolutnej wyższości ponad wszystko było właściwe wielu profesorom Politechniki. Gdy w czasie dyskusji na studium wojskowym nad wnioskiem wydziału mechanicznego o usunięcie nauczania wojskowego z Politechniki zaznaczyłem, że widocznie studia wojskowe nie stoją bynajmniej tak nisko, skoro przemysł wojenny usilnie zabiega o ich absolwentów, odrzekł mi prof. Chrzanowski z oburzeniem, że: „Nie przemysł ma dyktować nam, jacy mają być inżynierowie, ale my przemysłowi”. Gdy dziś porównuję, jaki wielki wpływ na kształcenie specjalistów mają potrzeby i wymagania życia gospodarczego w Anglii (gdzie nikt przecież nie może powiedzieć, aby nauka nie była wolna i nie rozwijała się doskonale), trudno mi bez uśmiechu wspominać tę przesadną dufność wielu naszych profesorów.

Ta walka o „autonomię szkół wyższych” była nie tylko obroną własnych przywilejów, ale miała swe korzenie i w naszych warunkach politycznych. Wielu profesorów obawiało się (nie powiem aby całkiem niesłusznie), aby zbytnia ingerencja Ministerstwa Oświaty w sprawy szkół wyższych nie stała się furtką dla pociągnięcia o charakterze politycznym. Inni zaś po prostu używali tej broni jako doskonałego narzędzia przeciw znieprawdzonego obozowi politycznemu. Tymczasem „autonomia” ma raczej tylko wtedy, gdy obrońcy jej szanują wolę większości, wyrażoną przez odpowiednie organa autonomiczne. Dałem powyżej przykład, jak mało z wolą tą liczyli się niektórzy profesorowie. Niech wolno mi będzie przytoczyć i przykład inny. Prof. Chrzanowski jako rektor Politechniki swe przemówienie inauguracyjne wyłącznie nieomal poświęcił obronie autonomii, słowo „autonomia” nieustannie miał na ustach i kiedyś, na studium wojskowym, ostro zgromił mnie za to, że ośmieliłem się zaprzeczać słuszności „jednomyślnej uchwały rady wydziałowej” (jak on to wtedy z emfazą podkreślał). Zapytany jednak na rozprawie Broniewski-Czochrański, jak może tak nisko wyrażać się o prof. Czochrańskim, skoro wydział mechaniczny jednomyślną uchwałą nadał mu tytuł doktora „honoris causa”, odrzekł — z bardzo niskim szacunkiem dla tak pozornie uwielbianego przez siebie autorytetu ciał autonomicznych: „Dziwne rzeczy nieraz dzieją się na świecie”.

Nie dziw więc, że przy tak bardzo od dogodności i okoliczności zależnego szacunku dla „wolności akademickiej” ze strony profesorów, młodzież akademicka, którą do walki tej również wciągnięto, nie widziała żadnej sprzeczności między głośno proklamowaną wolnością akademicką, a obrzucaniem zgniłymi jajami niemitych jej profesorów, czy też podrzucaniem bomb (nie-

winnie nazywanych „petardami”) pod gabiny dziekanów, nie mówiąc już o niegodnych metodach bicia, w dziesięciu na jednego, kolegów (lub — co gorzej — koleżanek) innej narodowości, czy poglądów politycznych.

Jest to — zdaniem moim — największą zbrodnią ostatniego dziesięciolecia naszej niepodległości, że obie walczące ze sobą strony nie cofnęły się przed wciągnięciem młodzieży w swe rozgrywki, jedni demoralizując ją posadami i karierowiczostwem, drudzy podsycaniem anarchii i huligaństwa. I zaiste podziwiać należy zdrowe podłoże moralne naszej młodzieży, że — mimo tego wszystkiego — wykazała w czasie wojny tak mocny pion.

Warto dodać, że ta rozrosła niekiedy w samowolę wolność akademicka odbijała się ujemnie na nauczaniu. Pomimo iż poszczególni profesorowie nauczali doskonale, mimo iż poziom absolwentów naszych uczelni był naprawdę bardzo wysoki (gdy do fabryki Bofors w Szwecji zajechała pewnego razu ekipa młodych absolwentów naszej sekcji uzbrojenia, zapytano naszych przedstawicieli, czy to są młodzi inżynierowie, czy też młodzi profesorowie), brak koordynacji powodował, że studia przedłużały się niepomierne. I tak np., choć formalnie program nauczania trwał cztery do czterech i pół lat, przeciętny czas studiów np. na wydziale mechanicznym wynosił, jak wykazała statystyka, siedem i pół lat, a więc nieomal dwukrotnie dłużej. Nie trzeba chyba dodawać, że tak długie studia, na które nie pozwala sobie nawet o tyle od nas bogatsza Anglia, musiały odbijać się ujemnie tak na zdrowiu młodzieży i na naszym życiu ekonomicznym.

Przy istniejących na naszych uczelniach stosunkach stan ten był niemożliwy do naprawy. Egzekutywa rad wydziałowych w stosunku do poszczególnych profesorów była w praktyce żadna, a ponadto panowała tam dość silnie przestrzegana zasada „nie wtrącaj się do mnie, to nie będę wtrącał się do ciebie”. W rezultacie komisja reformy studiów, wyznaczona przez poszczególne wydziały na Politechnice Warszawskiej, pracowała przez całe lata, lecz wyniki jej były żadne.

Oficerowie-inżynierowie, absolwenci Politechniki Warszawskiej, którzy około 1936 roku stanowili bardzo liczny i wpływowy odłam oficerów służby uzbrojenia, doskonale zdawali sobie sprawę z tego stanu rzeczy. Z inicjatywy ich, popartej przez wykładowców przedmiotów wojskowo-technicznych i na wniosek Komisji do Nauk Wojskowo-Technicznych powołał minister Spraw Wojskowych komisję, która miała opracować wnioski, jak można by urealnić programy Politechniki i skrócić czas studiów bez szkody dla ich poziomu. Ponieważ komisja ta składała się wyłącznie z absolwentów Politechniki Warszawskiej i jej wojskowych wykładowców, którzy wszyscy ponadto mieli ścisłą styczność z przemysłem i znali jego potrzeby, wnioski komisji były konkretne i realne. W piśmie, przesyłającym te wnioski do Ministerstwa Oświaty (którego redakcję mi powierzono) musiało Ministerstwo Spraw Wojskowych z natury rzeczy powołać się

na motywy natury wojskowej, a więc przerażający stan zdrowotny absolwentów Politechniki, odbywających służbę wojskową oraz na trudności w rozbudowie przemysłu wojennego (był to okres C.O.P.'u) na skutek braku inżynierów. Motywem istotnym była jednak troska o młodzież, na której stanie zdrowotnym i nerwowym te przewlekłe studia odbijały się bardzo ujemnie.

Wnioski Ministerstwa Spraw Wojskowych spotkały się z przychylnym przyjęciem w Ministerstwie Oświaty, gdzie zwłaszcza dr. Zagórowski, zastępca szefa departamentu szkół wyższych, gorąco je popierał. Toteż po konferencji, gdzie Politechnikę reprezentował prof. Pszenicki, a wojsko płk. Machowicz, Ministerstwo Oświaty wnioski te przesłało do senatu Politechniki z aprobatą i prośbą o ich rozpatrzenie.

Należy jednak pamiętać, że przy polskim systemie „dyktatury” wpływ ministra oświaty na szkolnictwo wyższe nie był większy, niż to ma miejsce np. w demokratycznej Anglii (z całą różnicą, jaka wynika z polskiego indywidualizmu i angielskiej umiejętności współpracy, choćby nawet nie określonej żadnymi normami praw czy przepisów). Toteż aprobatą Ministerstwa Oświaty nie wróżyła jeszcze wcale powodzenia sprawa na Politechnice. Liczyliśmy jednak na to, że memoriał nasz będzie dużą pomocą dla tych profesorów, którzy konieczność reformy rozumieli i popierali. Wybuch wojny przerwał te prace.

Jeśli rozwiodłem się tu tak szeroko nad tym zagadnieniem, to dlatego, że u nas przed wojną, w zapale walki, identyfikowano często wolność nauki z brakiem dyscypliny nauczania. Kiedym w jakimś 1938 roku poruszył tę sprawę w „Zaczytnie” („Wolność nauki i dyscyplina nauczania”), zwymyślał mnie ostro za to Cat-Mackiewicz w „Słowie” jako wroga nauki. Przyznaję, że — ze względu na osobę, od której atak ten wychodził — był on wtedy dla mnie (i nadal jest) najlepszym dowodem, że miałem rację.

A przecież przykład Anglii najwyraźniej dowodzi, że doskonale można pogodzić absolutną swobodę studiów naukowych i nauczania zgodnie ze swymi przekonaniem, bez najmniejszego skrepowania, z dobrze obmyślonymi i ściśle przestrzegany programami, przy których układaniu mają głos nie tylko ci, którzy uczą, ale i ci, dla których się uczy. W ogóle przykład Anglii, mimo anglofobii niektórych naszych hurra-patriotów, w niejednym może nas nauczyć, gdzie jest granica między wolnością i samowolą. Byłoby zaiste błędem nie do darowania, gdybyśmy z nauki tej nie skorzystali.

Niechże więc wolno mi będzie wyrazić nadzieję, że kiedyś, w przyszłości, gdy odbudowywać będziemy szkolnictwo wyższe w wolnej Polsce, potrafimy znaleźć formę, która pozwoli połączyć piękne nasze tradycje wysokiego poziomu nauczania i pełnej, swobodnej, osobowości profesorów z tak przecież niezbędną w każdym nauczaniu dyscypliną programów i ich wykonania.

Jak to jednak na szczęście w Polsce często było (a jest to jedna z naszych zalet narodowych, których nie powinniśmy się

wyzbywać) ta „pryncypialna” niechęć wielu profesorów do studiów wojskowych nie odbijała się zbyt ujemnie na codziennej pracy. Sekcje wojskowe coraz bardziej stawały się częścią życia na Politechnice i jestem głęboko przekonany, że wielu ich teoretycznych przeciwników mocno by zaprotestowało, gdyby władze wojskowe wzięły ich niechęć na serio i zrezygnowały ze studiów wojskowych na Politechnice Warszawskiej. Świadczy o tym zresztą fakt, że kiedy w 1946 roku przystąpiono do wznowienia wykładów na Politechnice, w programie, na ustalenie którego dawni profesorowie mieli wtedy jeszcze duży wpływ, odnajdujemy nieomal wszystkie dawne sekcje i wykłady wojskowe.

W ciągu dziesięciu i pół lat trwania, studia wojskowe wypuściły ponad 150 absolwentów, a w służbie uzbrojenia było ich już ponad 60, co stanowiło 25 procent kadry zawodowej oficerów tej służby. Około stu absolwentów pracowało już w przemysle wojennym, gdzie obecność ich oraz bardzo wysoki poziom (pod tym względem nauczanie na Politechnice Warszawskiej było bez zarzutu) i ich młodzieńczy entuzjazm wniosły ożywczy prąd, zmuszający groźbą konkurencji nawet najbardziej skostniałych pracowników do pracy nad sobą.

Śmiała próba była więc niewątpliwie próbą udaną.

Na koniec jedna uwaga. Rozpatrywanie przeszłości, któremu „Kultura” słusznie udziela tyle miejsca, aby z braku dokumentów nie zapadł w zapomnienie ani jeden odcinek życia przedwojennego w Polsce, ma tylko wtedy jednak duże znaczenie praktyczne, gdy równocześnie ożywione jest myślenie o przyszłości.

A sprawa studiów młodzieży na emigracji, to zagadnienie dużej istotnie wagi. Jeżeli nasz pobyt na wychodźstwie traktować chcemy jako jeden z przejawów naszej walki o niepodległość, to wszystkie nasze poczynania owiane być muszą myślą wielkiego dnia owrotu. Co my, Emigracja, w dniu tym Polsce przyniesiemy? I tu stają mi przed oczyma owe pierwsze dni niepodległości, o których pisałem na wstępie, ów brak fachowców w tak wielu dziedzinach życia narodowego i państwowego. W czasie trwania wojny, pochłonięci nieomal całkowicie myślą o walce, o problemie tym nieomal całkowicie zapomnieliśmy. Byłem wtedy jednym z nielicznych wołających na puszczy, pisząc na ten temat w „Kurierze Polskim” w Bagdadzie. Nasze sfery oficjalne zupełnie wtedy jednak o tym nie myślały, zapominając często nawet o tym, że wojsko, to nie tylko linia, ale i wytwórnica poza nią. Ile wtedy zmarnowano okazji, ilu młodzieńców odciągnięto od studiów by przez długie lata marnować ich młodość w beznadziejności szkockiego oczekiwania, trudno dziś policzyć. Nie powtórzył tego błędu Drugi Korpus, rozwijając zaraz po ukończeniu wojny masowe studia na uczelniach włoskich (1). Wyjazd

(1) Po zakończonej wojnie. Natomiast przedtem było różnie. Sprawa polityki oświatowej 2-go Korpusu wymagałaby też bezstronnego naświetlenia.

do Anglii przerwał to. Dalsze studia, już w Anglii, prowadzone były w imię interesu angielskiego, aby jak najszybciej wchłonąć młodzież naszą w życie angielskie, zadanie to wykonały niestety lepiej nawet, niż ich właściwi kierownicy tego spodziewać się mogli. A ponadto objęły one jedynie część młodzieży, tę, co znalazła się w Anglii. A reszta, całe duże jej zastępy poza Anglią?

Pewna reakcja ze strony polskiej już się przejawiała. PUNO jest tą pierwszą jaskółką, która oby była zwiastunem wiosny. Obejmuje na razie tylko działy humanistyczne, i słusznie, gdyż w tym kierunku nacisk komunistyczny w kraju wyrządzi największe szczyby. Czy będzie to jednak brak jedyny? Przy całym pozorze „rozwijania nauki w Polsce” władze sowieckie mocno dbają o to, aby te stanowiska w przemyśle cywilnym — a cóż dopiero wojennym — które stanowią kluczowe działy w technice, obsadzać swoimi ludźmi. Podobnie i na emigracji stanowiska najważniejszej technicznie stojące są w praktyce dla Polaków niedostępne.

Problem więc szkolenia techników — i to tak cywilnych, jak i wojskowych — na możliwie najwyższym poziomie, to zagadnienie dużej wagi, od właściwego rozwiązania którego zależy, czy po odzyskaniu niepodległości staniemy się kolonią gospodarczą i wojskową obcych, czy też elementem siły własnej i większego zespołu, do którego dobrowolnie wstąpimy.

Toteż problem studiów naszej młodzieży nie może być zdany tylko na los przypadku i dobrej woli otoczenia, wśród którego przyszło nam żyć, ale powinien być poważną troską naszych czynników tak politycznych, jak i wojskowych. Jest to sprawa znacznie ważniejsza, niż pytanie, ilu przedstawicieli mieć będzie w Radzie Jedności Narodowej to, czy inne stronnictwo. A jeśli chodzi o wojsko, to wojna 1939 roku powinna nas być nauczyć, że fabryka to znacznie więcej, niż dywizja.

Zapewne, nie można tu liczyć tylko na własne siły. Ale przecież i Uniwersytet w Strassburgu stwarza możliwości szkolenia fachowców i stypendia Free Europe mogłyby być bardzo przydatne, gdyby za nim stała jasna i świadoma swego celu myśl. A przekonany jestem, że gdyby istniał realny i przemysłowy plan, znalazłyby się — zwłaszcza przy poparciu Polonii Amerykańskiej — i inne środki. Dziś, gdy myśl amerykańska śmiało żegluję w kierunku podniesienia gospodarczego całego świata, doskonale zdając sobie sprawę z tego, że od tego zależy własny dobrobyt Ameryki, plan szkolenia fachowców, którzy by w przyszłości życie gospodarcze Polski wnieśli na najwyższy szczebel, na pewno znajdzie oddźwięk w Ameryce. Trzeba tylko, aby z naszej strony była wola i jasna myśl.

Na zakończenie uważam za miły obowiązek złożyć moje gorące podziękowania ppłk. J. Machowiczowi, którego uwagi i informacje stanowiły niezmiernie cenny wkład w powyższe wspomnienia.

Tadeusz FELSZTYN

Kronika kulturalna

Moja wycieczka na Itakę

Kontakt między dwoma fachami, złotym i rozgłośnym poetów a szarym i cichym językoznawców, zwykle był w naszej nacji tylko kruchy i dorywczy. Dlatego miła mi była zaczepka p. Józefa Wittlina w przedstawieniu przekładu „Odyssei”. Dlatego pozwolę sobie skreślić kilka uwag o języku dwóch pieśni tego tłumaczenia, ogłoszonych w kwietniowej „Kulturze”.

Istotnie, działalność językoznawców przeważnie streszcza się w stosunku do literatury pięknej do funkcji natury... policyjnej. Literatom litewskim bardzo nie w smak były ciągłe zapędy tego rodzaju, obdarzyli więc swoich językoznawców epitetem „pchlarzy”, to jest takich, którzy pchły tylko na zdrowym ciele łapią stroniąc od piękna i językowej urody. Na obronę rzec można, że rozpatrywanie pozytywów, które rozezna i uzna każdy dobry czytelnik, pochłaniałoby znacznie większą ilość stron, woła więc specjalisci od języka ograniczyć się do marginesu negatywów, tym bardziej że margines ten koniecznie wymaga interwencji. Ale niechaj nikt nigdy nie sądzi, że w naszym szarym fachu nie jest znana radość, którą daje obcowanie z dobrą literaturą.

Po tym ogólnym wstępie niech mi będzie już wolno przywdziać szaty Torkwemady i podjąć kołowroty, topory i rozpalone obcegi tego prekursora katowskiej sztuki, który w naszym stuleciu winien uchodzić za białe niewiniątko, za pętaka, za kozik, łuk dziecinny, drobną hulajnogę. Badamy heretyckie odruchy pana Wittlinowe. Pismem świętym jest dzieło Lindego i Słownik Warszawski — uzupełnione wszelaką literaturą ojców kościoła językoznawczego.

W świetle danych tych świętych tekstów okazuje się, iż imć Wittlin przedstawia typ nowatora bardzo ilościowo umiarkowanego. Jego własnych fabrykatów jest w obu rozpatrywanych pieśniach zaledwie siedem. Za mało, by zmontować sensacyjną herezję. Wśród tych rzadkich odstępstw zbędne jest *liściwie* (str. 65: „W gęstym *liściwiu* tu ptacy się gnieźdzą o skrzydłach szerokich”, 75: „Odys się nakrył *liściwem*”), gdyż tłumacz używa w dokładnie tym samym znaczeniu aż dwóch innych wyra-

zów o szerokim obiegu: „Widząc to liście ucieszył się”, 75, „wszystek listowiem tym się zasypał”, 75. Samej budowie *liści-wia* nie można zresztą nic zarzucić — chociaż opiera się na tworze tego typu w normalnej polszczyźnie bodaj jedynym, na *igli-wiu*. Poprawna jest również budowa innego rzeczownika zbiorowego pana Wittlinowej roboty, *chmurzywa* („Czarnym chmurzywem obłoczył ziemię”, 70), por. np. *grosiwo*, tłumacz poszedł tu za *obłoczycyem* Tuwima („Wtem chmury wraz z innym obłoczycyem zaczęły się kołysać” — cytuję za W. Doroszewskim). Dobry jest, nb. jako nowotwór słowotwórczo archaizujący, przymiotnik *głaźny*, od *głazu* („ogromny bałwan mną grzmotnie o głaźną ścianę”, 73). Zbytecznie rozszerzony przyrostkiem *-ist-* jest *szczerozłocisty*, bo przecież chodzi tu nie o złocistość, lecz o „złotość” („przywiązała do stóp prześliczne sandały, Boskie i szczerozłociste”, 55). Trzy inne twory wydają się już bez żadnej wątpliwości słowotwórczo wadliwe, nawet jeśli ich dźwięk, poetów troska zasadnicza, jest dobry. Pierwszy z nich to *cierpiennik* („ucieszył się boski *cierpiennik* Odyssej”, 75, por. 72, 75). Tłumacz nie mógł chcieć użyć *cierpiętnika*, bo ten wskazuje na *chorobliwe rozmiłowanie się w cierpieniu*. Ale polszczyzna nie zna wzorca „odmiesłowowe *nomen actionis* na *-e* plus przyrostek *-nik*”. Nie według tego fikcyjnego wzorca zbudowany jest *męczennik*, gdzie pniem jest imiesłów bierny *męczony*, a znaczenie *cierpiennika* wskazuje, że nie został utworzony od *cierpiennego*. Tu warto wtrącić, że słyszałem kiedyś jak pewna mama o swoim synku powiedziała „och, jaki to *męczennik* — on mnie ciągle męczy i męczy”, co w żart poszło, który wskrzesił w tym pana Wittlinowym *cierpienniku*. Drugim grzeszkiem jest niedokonana postać *natchniewać*, od czy do dokonanego *natchnąć* sformowana („Nie jest to wina aoidów, lecz wina Dzeusa, co dołą Ludziom cierpiącym rozda je i wedle swej woli *natchniewa*”, 61), acz archaiczne *nadychać* raziłoby dziś niezgrabstwem i ciężkością. Trzecim grzeszkiem jest *mokrzac* („Srogi ich nie przebiję wiatr, nasycony *mokrzacią*”, 75), bo i tego wzorca polszczyzna nie zna i, o ile stwierdzić mogę, nie znała (*pusać* ma nie *-ać* z poprzedzającą spółgłoską (morfologicznie) miękką jak *rz*, lecz *-ać* z poprzedzającą twardą). Przy tej okazji rzecz wypada poruszyć, której ludzie naszego fachu bodaj nigdy dostatecznie nie podkreślili. Ięzvk *zna* tworw odosobnione. Jest takim tworem np. prasłowiańskie słowo, które w dzisiejszej polszczyźnie ma postać *pasterz*. Wyosobniony jest *brac-iszek* — język nasz nie zna innego odrzeczownikowego tworw z przyrostkiem *-iszek* (nie należ tu np. *kieliszek*, który wielu dobrich ludzi wykończył, ani żadne inne *bazyliński*). Ale nawet w takiej sytuacji, w sytuacji istnienia jednotworowych wzorców słowotwórczych, lepiej jest unikać fabrykowania. To zostawmy żywiolowej, bezświadomej fali społecznej albo specjalistom, którzy *muszą*, jak np. chemicy z *cytrynianami*, fabrykować czasem nowe typy. Pośród owych siedmiu tworów pana Wittlinowej roboty nie ma żadnego, bez

którego by się nie można było obyć, trzy zaś na pewno, czwarty najprawdopodobniej, są wadliwe. Przy tej nikłości liczebnej werydykt nie może być surowy, podlega zresztą zaskarżeniu i dyskusji (tylko ciężkie trzepanie — pierze lecą — daje czystą prawdę).

Domarad jest jakimś medycznym nieporozumieniem („*domarad* go zżerał, a nimfa mu się sprzykrzyła”, 67). Zaczniemy *ab ovo*. W średniowieczu było imię *Domarad*. Ponieważ imiona nadawano w niemowlęctwie ich nosicieli, było to (przeważnie pobożne) życzenie rodziców rzeczywistych czy chrzestnych, aby drogie dziecko było domowi swemu rade. Dziś imię to uchowało się w nazwisku *Domaradzki*, od miejscowości *Domaradz* czy też pluralnej — *Domarady* (zaparł się pewien *Domaradzki* tradycji imienia, bo *rad* ma dom, ale w Kanadzie, więc gorzka zdrada *Domarada* — no, ale cóż miał robić?). W średniowieczu było więc imię *Domarad*: kasztelan poznański „*Domarad* uczynił Januszewym ludźmi szkody na dziesięć grzywien” — notuje sąd w roku 1399, roku śmierci królowej Jadwigi za mąż za litewskiego niedźwiedzia wydanej. Zagubiła się tradycja pięknego imienia i autor „*Lekarza wiejskiego*” Ludwik Perzyna (zmarły w roku 1812) wydobyl je z lamusa nadając mu zgoła niespodziane niezwywotne znaczenie nostalgii: „choroba, najczęściej się żołnierzom gwałtem brany i w cudze kraje zaprowadzonym przytrafiająca, którzy tęsknią do swojej ojczyzny na *domarad* durnieją”. Trochę to wygląda na *lucus a non lucendo*. Imię Wittlinów lekarski polot za dobrą wzięł monetę. Co z Perzyny powstało, w perzynę się obróci, bo bzdura to jakaś, nieporozumienie.

Kilku innym archaizmom można już tylko zarzucić dzisiejszą ich niejasność. Istotnie, poeta Kasper Miaskowski (zm. w roku 1622) użył tworw *pienny*, z *piany* wywiedzionego: „obłok, strumieniem *pienny*”, ale dzisiejszy *pienny* jest tylko od *pnia*, więc pana Wittlinowe „Wśród *szumnie-piennych* wód (58) nie jest klarowne. Jakieś „*piano-szumne*” wody byłyby jaśniejsze. Tetmajer pisał o „morzu *srebrnopianym*”. Jest to pewna licencja — w zespole bezprzyrostkowych przymiotników złożonych, o drugim członie rzeczownikowym w funkcji tego drugiego członu występuje normalnie tylko nazwa części ciała (interesujące ograniczenie!). Mamy więc *czarnobrewą* dziewczynę, *jednookiego* cyklopa, *Bolesława Krzywoustego*, *Władysława Laskonogiego*, *rudowłosych* młodzieńców itd., itd. Wyjątki są tylko niesłychanie rzadkie i niesłychanie niezdarne. Pośród nich zresztą „leżał *bezdechy*, *bezgłosy*” (74) — to od biedy wyjątki pozorne, bo dech i głos, acz częściami ciała nie są, są przynajmniej jego funkcjami. Łącząc przymiotnik *srebrnopiany* z morzem — *srebrnopienny* oddaie Tetmajer brzozie, więc *pienny* u niego słusznie wiąże się tylko z *pnim*. Ale nie radziłbym p. Wittlinowi *szumnopianego*, więc zejdzmy już z tej tatrzańskiej perci, żeby czytelnik zawrotu głowy nie dostał.

Dziś dominuje namiot harcerski, wojskowy, więc *namiotokrycie* głowy kobiecej jest tak nieporęczne, jak *smoking* dla nie-

mowlecia („namiot na lico obsuwa”, 61, „Głowę okrywa namiotem”, 69).

Archaizmów jest w naszych dwóch pieśniach zbyt wielka ilość, co nadaje przekładowi charakter utworu elitarnego. Jest zbyt wielka ilość takich przede wszystkim archaizmów, których nie pomnę, aby przed imię Wittlinem kto używał, żeby pochlebna patyna pokryła dzieło. Podajmy tu kilka przykładów tego zbytku. Spośród rzeczowników nie widzi mi się *poboiszcze* („zginęli Pod Troją na poboiszczu rozległym”, 70), którego jeszcze Dygasiński i Kraszewski zażywali i inny targ czyniąc z sylabami trzymałbym się po prostu zwykłego *pobojowiska*. Nie widzi mi się *wieca* („nieśmiertelni zasiedli na wiecę”, 63), która nb. w Słowniku Warszawskim znaczy ‘mowa’. Słabo znane jest *gorze* (O *gorze!*) Oto śmiertelni ciskają nam w twarz oskarżenie”, 54, por. także 70) — wszak *biada* jest dostatecznie uroczyste (zresztą nie unika go tłumacz, por. 59, 73). Spośród czasowników stanowczo nie potrzebne jest *unaszać się* („Pragnie choć zdala zobaczyć dym, co unasza się ponad Ziemią rodzinną”, 54) — dlaczego nie po prostu *unosić się?* *Zaoczyć* („zaoczyć Pallas Atenę”, 56) też jest zbyt, a z Krasińskiego wzięte *zwawić się* niezgrabstwem („Herold natomiast się *zwawiał* i ciągle je winem napełniał”, 56) — jest w tym czasowniku jakieś nieprzyjemne spęcznienie znaczeniowe.

Przekład zawiera nikłą ilość elementów regionalnych. Spośród nich stanowczo zastrzegłbym się tylko przeciw *Posejdonowi* (53, 71 itd., itd.) — lepiej pisać *Posejdon*, do której to postaci większość Polski jest przyzwyczajona, i pozostawić swobodę wymowy z *s* południowcom, którzy wolą *Posejdona* (*). Wilk syty i owca cała. Ponieważ tłumacz musi się oglądać na ilość sylab, trudno mu wymawiać zastosowanie południowego „*ze sali*” (61), ale lepiej było tego jakoś uniknąć. Mimo że zjawisko znane jest w dialektach szerzej, raczej przede wszystkim z południa rozprzestrzenia się zmieniony, ludowy porządek imiesłowowego czasu przyszłego: „Wtedy już żaden z nich ni złota *pragnął nie będzie*”, 57 — ten typ ostatnio podjął sandomierzanin Gombrowicz w „Transatlantyku”. Poprawnościowcy się przeciw niemu zastrzegają jednomyślnie wszyscy i domagają się ustalonego „*nie będzie pragnął*”, ale zbyt sztywno tego postulatu stosować nie należy. Południowym odchyleniem jest *żeńska* twar-dotematowa *przyodsziew* („Zrzucił *przyodsziew*, jakową boska mu dała Kalipso, 72), którą to anomalie podjął tłumacz chyba z Orkana — a przecież jest również *przyodsziew* męski. Geografia historyczna tworów na *-enik-* wymagałaby szczegółowego zbadania, ale u Wittlina są chyba one jego własnymi regionalizmami („a potem *mateńkę* Wydał za męża”, 60, „Ręką go *głaszczcie mileniką*”, 68, „z gardzieli *milenikiej*”, 65, „*Stareńki* ci powie o tym Laertes”, 57) — twory te oczywiście są dobrym prawem imię

(*) Przepisy pisowni z roku 1936 pozwalają jednak obu postaci — są i tu zbyt krakowskie.

Wittlina. Nie można odbarwiać języka do 100%, nawet jeżeli barwa (regionalna) jest w zasadzie zbyteczna.

Nieco — rzecz gustu — zdają się wadzić pana Wittlinowe użycia wyrazów i wyrażań potocznych. Ot, np. taka *biesiada składkowa* („Co się tu dzieje? Jakaż tu ucztą, czy gdy weselne Sprawiasz tu komu, boć nie jest to chyba *biesiada składkowa*”, 58), żart potoczny, nieledwie *piłnik*, w którym przymiotnik jest prozą drobnego życia, a *biesiada* uroczystym esem-floresem. *Trutka* jest tylko na myszy, na zwierzaki. Ten kuchenno-piwniczny wyraz podniósł tłumacz do zbyt wysokiej godności: „*Trutki* szukając, co mężę niechybną śmiercią uracza”, 59, „I zadrzał Ilos przed gniewem bogów i *trutki* mu nie dał”, tamże. Podobnie „slangowe” *zwiał* nie przystoi: „A czemu nagle tak *zwiał* i nawet poznać się nie dał”, 62. Potoczne *umknąć komuś* zwicnęło składnię: „strasznej *umknęli* zagładzie” (53), gdzie lepszy byłby dopełniacz *zagłady*. Zgola już niewinna potocznością jest wtrącone *to*: „Wszak królowanie *to* nie jest najgorsza rzecz, jaka może Zdarzyć się człowiekowi”, 62 — rzecz ciekawa warta jakiegoś szerszego zbadania.

Teraz jeszcze kilka usterek stylowych. Dwukrotnie mówi Dzeus do Pallas Ateny: „Dziecko me, jakież to słowo Wydarło się *sposza* twoich *zębów*” (54, 64), co nam daje obraz bogini taki, jakby była przeraźliwie uzębioną czarownicą. Nie wydaje się, aby wyrażenie „Na to odrzecz Telemach *po myśli wielce rozważnej*” (60, powtórzone dosłownie 62, w innej nieco postaci 58, 58, 61) było szczęśliwie ułożone — myśl nie ma tego tchnienia czynnościowego, który tutaj jest niezbędny. Celownik *mi* daje dwuznaczność w zdaniu: „Ej, wy gachowie bezczelni, matkę *mi* chcecie poślubić”, 61 — Edyp się kłania! *Rychliwy* oznacza skłonność do pośpiechu i tylko trój sylabowość go zaleca w takim użyciu: „Więc gdyby boski Odyssei taki się gachom ukazał, *Rychliwy* byłby ich kres i gorzkie zwarzone wesele”, 59. Podobnie lekceważy tłumacz odcień skłonności używając przymiotnika *zalatny* w zastępstwie *zalatnika* (którego zresztą nie usuwa całkowicie, por. 56, 59, 61): „poczną *zalatni* z pełnej gardzieli ujadać” (61, por. 56, 56, 60). Szczególny afekt ku przymiotnikom dzierżawczym na *-ow-* jest dziś właściwością plebiąca się wokół Nowego Jorku (tak się to zmieniła nasza geografia językowa!). W „Odyssei” zasadniczy zwał tych tworów („o córo *Dzeusowa*”, 53) nie razi ze względu na archaistyczne założenia przekładowe. Ale jakoś skóra na mnie cierpnie przy dwóch takich przymiotnikach, może dlatego, że rzeczowniki będące u ich podstawy są niesłychanie częste w potocznym użyciu, wskutek czego *gości-ow-y* („do nich to przyda Telemach *dzidę gościową* i Gościa uprasza”, 56) oraz *ojc-ow-y* („Czyliś jest stary *ojcowy* gość”, 57, „to *ojcowy* Stary przyjaciół”, 63) lekko zgrzytają. Wątpliwego uroku jest miejscownik *w domie* („i widzi, jak gachy on *w domie* rozgramia”, 56, „*w domie* swoim ją trzymał”, 63) — *w domu* (którego tłumacz nie unika, por. 53, 59) jest formą prastarą, *w domie* młodszą normalizacją deklinacji.

nacyjną (poczucie archaizmu nie zawsze wiąże się z właściwą chronologią). Użycie bezprzedrostkowego „sięgnąć języka o ojcu” (64) szwankuje. Ale wręcz straszną jest dla mnie *contradictio in adiecto* „Jeno samotny pędzi swe dni na polu i dźwiga Swój los wespoły z sędziwą dziewczką” (57)!!! To połączenie jest wręcz bolesne. Tym słowem spotkanie powinno być na zawsze wzbrowione. Najlepsza dziewczka, kiedy się na szmelc zestarzeje, mówimy o niej *matrona*.

Na tym kończę i szaty Torkwemady zdzieram w zupełnie dobrym zdrowiu imię Wittlina zostawiając, nawet jeśli mu tu i ówdzie metaforycznie dopiekle (Torkwemada metafory unika!). I w tym roku postanowiłem spędzić lato w pełnym różnych czarów Penrhosie (*). Nie wiem, czy będzie tak dobrze, jak poprzednich lat, ale mam nadzieję, że będę mógł przeczytać tam mistrzowski pana Wittlinowy przekład „Odyssei” w całości. Wyjadę sobie duchem na jonańskie i egejskie rozścienie morskie. Pewnie zresztą spotkamy się tam wszyscy.

Stanisław WESTFAL

“Coś ty uczynił ludziom, Mickiewiczu?”

Stefan Żółkiewski, kierownik Państwowego Instytutu Badań Literatury w Warszawie zobowiązał młodych historyków literatury do przygotowania marksistowskiej monografii o Adamie Mickiewiczu, która by stała się podstawą wszelkich prac popularyzatorskich na przyszłość.

Kierunek tym badaniom wykreślił Żółkiewski książką zatytułowaną „Spór o Mickiewicza (1), zalecając na wstępie „wymienienie śmieci burżuazyjnej krytyki” i wydobycia nowego oblicza wieszczą narodowego...

Przedziwne są koleje tzw. „mickiewiczologii”. Kilkadziesiąt lat temu Stanisław Tarnowski usiłował wyeliminować z życia wieszczą jego rewolucyjne dążenia. W tym celu jeździł jakoby do Paryża, aby skłonić Władysława Mickiewicza do zniszczenia „kompromitujących” wieszczą materiałów. Trafił oczywiście na opór, jako że Władysław Mickiewicz miał w tych sprawach po-

(* Pisane wiosną roku 1954 — czary okazały się zbyt mocne i do Penrhosu się ostatecznie nie pojechało.

(1) Wrocław. Wyd. Z. Nar. im. Ossol., 1952.

głądy wręcz odmienne a stosując cenzurę nagromadzonych w swym ręku materiałów czynił to pod innym kątem widzenia. Biografowie katolicycy zbywali pobieżnie okres Towianizmu, błędy głoszonej wówczas przez poetę nauki, niekarność w stosunku do władz kościelnych, zuchwałość wobec papieża; inni uznawali tylko dwie kobiety w jego życiu: Marylę i żonę, biedną, umęczoną i nerwowo chorą Celinę, jeszcze inni przypisywali mu pochodzenie omal arystokratyczne, przydając przodków dziedziców i rycerzy.

Dwadzieścia pięć lat temu wystąpił Boy-Zeleński ze swoją głośną „kampanią antybronzowniczą” i postawił Mickiewicza na ziemi, usiłując przypomnieć, że poza wieszczem pielgrzymem był również człowiek, podobny do każdego człowieka. Termin się przyjął a Boy znalazł następców. Ja sama obruszyłam się swego czasu na Stanisława Wasylewskiego, Kallenbacha, Kleinera i innych, że w oparciu o cudaczny „Pamiętnik” Franciszka Mickiewicza (brata poety), zawierzyli fantazjom starca, opisując rzekome zbytki domu rodzinnego: szampan pękający kopami, srebrne tace, lustrzane szyby itp. splendory których mały nowogrodzianin, syn ubogiego szlachetki, nigdy nie zaznał w cieniu zamku „na barkach nowogrodzkiej góry” (2). Kiedy indziej próbowałam wykazać, że w okresie werterowskim „promienista Maria” nie była jedynym ideałem poety i że doktorowa Kowalska nie przeszła do poezji bo była w jego życiu (3).

Różne zabiegi bronzownicze biografów Mickiewicza miały zawsze na celu stworzenie pewnej jednolitości obrazu, kosztem chociażby zubożenia lub okaleczenia poety, włożenia go w te lub inne ramy i podania go w jakiejś niezmiennej formie młodym pokoleniom. To samo dzieje się dzisiaj w Polsce, gdzie należy dowieść niezbicie, że poeta był rewolucjonistą od zarania swych lat, twórcą „plebejskiego nurtu polskiego romantyzmu”, że teza o „podstawie religijnej” poety, wysuwana przez krytykę burżuazyjną, „jest nieuzasadniona metodologicznie i sprzeczna z faktami”, że prowadzi nieuchronnie do zafałszowania twórczości poety...

Czytamy też u Żółkiewskiego, że mimo nieprzewidywanych do końca „obciążań tradycjami”, mimo „stosunku metafizycznego a nie historycznego do zła i dobra”, mimo innych braków i „szlacheckich ograniczoności”, należy wszelako uznać Mickiewicza za największego poetę narodowego, a „Pana Tadeusza” za koronę jego twórczości, jako dzieło w którym „ze spokojem przekreśla stary świat szlachecki”, „widzi rzeczywistość w perspektywie mas narodu”, „walczy o wyzwolenie społeczne chłopca” i jest „pionierem nowego nawrotu do epiki na wyższym etapie romantycznej walki o socjalizm”...

Znamy styl tych wywodów, ich niezmienną „tonację”, znamy język gęsto upstrzony międzynarodowym żargonem filozoficz-

(2) „Dokumenty i Legendy”, Ruch Literacki, Warszawa, Maj 1934.

(3) „Kowieńska Wenera”, Droga, Warszawa Nr 12, 1932.

no-społecznym (w rodzaju: awansować, dominować, deklarować, aktywizować, realia, racje, reakcje, aspiracje, deklaracje, koncepcje itp.). Znamy te formuły powtarzane następnie i odtwarzane mechanicznie przez niższe kręgi pisarzy i dziennikarzy marksistowskich, nie przylegające do żywego pojęcia, przyswajane pamięciowo, jałowe jak żwir i jak żwir mielone we wszystkich redakcjach, wałkowane na wszystkich pisarskich warsztatach.

Zarzut stawiany burżuazyjnej krytyce może być z powodzeniem zastawiany przeciwko własnym twierdzeniom Żółkiewskiego jako niezgodnym z faktami i z wypowiedziami samego poety. Te nierzetelne i świadomie błędne twierdzenia zobowiązują podwójnie wolnych pisarzy, tych co zabiorą głos w ciągu roku mickiewiczowskiego. Zadaniem ich będzie wykazać dla czego Mickiewicz pośród wielkich polskich poetów zajmuje tak wyjątkowe stanowisko. Dlaczego każde pokolenie przystępuje do niego inaczej i każde znajduje w nim wartości na miarę swoich dążeń i tęsknot; dla czego trafia na zawsze nowe „ziarno usiewne”?

Młodzieniec wyrosły na kresach Rzeczypospolitej, w mieście żydowsko-polskiej, na ziemi białoruskiej, z rodziny wychylającej się zaledwie z mroków drobno-szlacheckiego prostactwa, który poza kilku miesiącami spędzonymi w Poznańskim w 1831 roku nie znał Polski etnograficznej, nie widział nigdy ani Warszawy ani Krakowa został wielkim narodowym poetą. Dlaczego?

Syn adwokata, nowogródzkiego gwałtownika i piniacza, oraz córki ekonoma czombrowskiego, Barbary Majewskiej, stał się polskim Schillerem i Byronem, duchowym przywódcą młodzieży wileńskiej, towarzyszem spiskowców rosyjskich, przyjacielem Rylejewa i Puszkina, Henryka Rzewuskiego i Fenimora Coopera, Lamennais i Montalemberta, Czartoryskiego i Lelewela, Klaudyny Potockiej i Georges Sand, Micheleta i Quineta. Mickiewicz, jedna z czołowych postaci emigracji polistopadowej, publicysta, polityk, mistyk i rewolucjonista, którego słowa szły z ust do ust, zapamiętane nawet w intonacji, przekazywane potoczności jak skarb rodzinny, z pokolenia w pokolenie, którego tomiki przemycane do Polski były tropione przez policję na równi z materiałami wybuchowymi, ukrywane w dziuplach drzewnych i pod kamieniami w obawie rewizji — ten Mickiewicz był jednocześnie kamieniem obraży dla wielu, a dla katolików, przez długie lata, zgorzeniem.

W salonach literackich i w salonach wielkiego świata, które grały w owe czasy tak wielką rolę społeczno-polityczną widywno Mickiewicza od Petersburga i Moskwy po Rzym i Paryż, a uświetniał „pan Adam” te salony bynajmniej nie strojem, o który nigdy nie dbał, ani oglądą towarzyską, której nie posiadał.

Od czasu kiedy Francuzi, zrównani prawem, zostali też ujednoliconi strojem, jedynym — powiada Balzac — odróżnieniem stał się krawat, który nabył znaczenie społeczne; wedle

pedantycznego, niedbałego, oryginalnego lub fantastycznego węzła białej batystowej chusty, którą mężczyźni wiązali pod wysokimi kołnierzami fraków i surdutów — można było wnioskować o człowieku, oceniając jego edukację, zdolności, temperament, charakter.

Otóż Mickiewicz, z biegiem lat, całkiem zaniedbał ten charakterystyczny szczegół męskiego stroju. Chodził w surducie zapiętym pod szyję, w którym nieraz brakowało guzików, a szyję obwiązywał ciasno czarną chustką. Takim widzimy go na dagerotypach, z prostym kijem w rękę, takim wstępował na katedrę w Collège de France z rozwianą czupryną, którą palcami prze-garniał ruchem nerwowym. Przed nim, ubogim i zaniedbanym „étrangerem”, pochylali siwe głowy ludzie możni i sławni w swoim kraju.

Zachowały się dwa ciekawe i pokrywające się świadectwa kolegów i przyjaciół poety z Collège de France, Micheleta i Quineta, pisane około roku 1840.

„Spotkałem Mickiewicza — notował znakomity historyk — ...twarz subtelną ale całkiem dzika, zagubiona wśród fali brody i włosów, wymowa strzelista, przerywana”. A Quinet pisał w tym samym czasie matce: „Poznałem znakomitego poetę polskiego Mickiewicza, trudno o wygląd bardziej ujmujący i jednocześnie bardziej dziki, zdaje się być trochę mistykiem, ale tego mistycyzmu, który przystoi pięknym i wielkim naturom...” (U obu pisarzy użyty jest termin „sauvage”!).

Zygmunt Krasiński tak krytyczny w stosunku do „pana Adama”, tak wrogi jego dążeniom rewolucyjnym, ideom wywrotowym donosił po śmierci poety:

„Pan Adam nas opuścił, na tę wiadomość serce mi pękło. Dla ludzi mego pokolenia był on miodem i mlekiem, krwią i żółcią duchową. My z niego wszyscy...”

„Coś ty uczynił ludziom Mickiewicz?...” zapytywał Norwid.

Moc żywiołu szła od niego, geniusz znaczył jego „gromowładne czoło”, pieśń żywą tworzył nie tylko słowem, ale zciem, całym sobą, „duch poświęcenia”, gotowość całkowitej ofiary, posuniętej aż do ofiary własnej osobowości odmieniał go na oczach słuchaczy jak w trakcie owej pamiętnej improwizacji Wigilijnej z 1840 roku i obdarzał „darem języków”, apostołskim darem przemawiania do każdego serca. Mieścił w sobie najskrajniejsze sprzeczności które składały się na bogactwo jego wielkości. Z Bogiem walczył ale i Boga szukał, wypatrując woli jego i dróg z całym uniesieniem pierwotnych wyznawców.

*Panie, czemu jestem przed Twoim obliczem,
Prochem i niczem,
Ale gdy Tobie moją nicłość wypowiedział:
Ja proch będę z Panem gadał...*

Od pierwszej młodości wciągnięty w koła ówczesnych spiskowców politycznych w dwudziestym szóstym roku życia opuszcza, jako zesłaniec polityczny, swój kraj rodzinny na zawsze. Od 1832-go życie jego nabiera charakteru ekspiacji, „żyję tylko nadzieją, że bezczynnie ręki na piersiach w trumnie nie złożę” — pisał z Drezna; odtąd zмага się o Niepodległość, Całość i Wolność Ojczyzny, słowem, pismem, całym sobą. W 1848 występuje czynnie do walki o wolność narodów. Po próbach okresu mistycznego, po narzuconym mu przez Towiańskiego wyrzeczeniu „czynów ziemskich”, zerwawszy tę zależność, bierze we własne ręce odpowiedzialność za działanie. Spieszmy do Rzymu, bo tam tylko — jak sądził — powinien się objawić duch chrześcijański, tam winno być zapoczątkowane królestwo Chrystusowe. Moc w nim wzbierała, ta sama którą czuł w Dreźnie.

„49 lat — pisał z Rzymu Krasiński — a jak młodzieniec krzyczy, skacze, zapala się, wierzy, stąpa!... Jakby mu płynem magicznym kto żyły ponapajał i odstarzył. Włosy mu się jeżą, gdyby siwe promienie — oczy iskrzą jak żądła diamentowe. Czerwienieje jak purpura królewska”.

Na zebraniu na którym miano wyznaczyć dowódcę Legionu Polskiego padło nazwisko Zamoyskiego.

„Żadnych arystokratów — wykrzykiwał Mickiewicz — ani ludzi partii! Zamoyski niechaj idzie do Legionu jako prosty żołnierz, nie wódcz. Czyż topór galicyjski niczego was nie nauczył?...”

„Oburzenie widoczne było na jego twarzy, czerwonej od zapalu — stwierdza jego ówczesny przeciwnik, Edward Łubieński — która odbijała się od siwych włosów w tył zaczesanych i od ciemnych a posępnych oczu”.

Ta scena przypomina nam nauczyciela kowieńskiego i jego bójkę z szambelanem Nartowskim, którego poeta trzepnął lich-tarzem, „aż szambelan siedem kościołów zobaczył”; przypomina też „rozbóystwo” Imć Pana Mikołaja Mickiewicza, ojca poety, który kolegę swego Imć Pana Hacıskiego poturbował w złości i pokrwawił „siła kłaków z głowy mu wyrwawszy” — jak stwierdzał „relacyjny kwit czynionej obdukcji” woźnego nowogródzkiego.

Krew nie wodę miał Adam Mickiewicz w żyłach, krew butnej i zawiadackiej, chciwej i mściwej szlachty polsko-białoruskiej, której się napatrzył w dzieciństwie i w ciągu studenckich wakacji, a dla której pchnąć przeciwnika mieczem, nasadzić nań zbójców, o błahą zwadę zarząbać na jarmarku lub sejmiku — to były rzeczy, nieomal codzienne. Tam chodziło o spory powszednie, o zawiści, w Kownie o kobietę, ale tu w Rzymie o wyzwolenie ojczyzny i ludów słowiańskich, o wiarę i nadzieję całego życia.

Gwałtownikiem pozostał „pan Adam” do końca, ale serdecznym zarazem i czułym w przyjaźni, niepomnym krzywd i dawnych sporów, szczerym i wylewnym w poufnej rozmowie. Tak to przyjmował Norwida w gmachu Biblioteki Arsenalu, „gmacchu ciemnym z korytarzami i kamiennymi schodami” — ostat-

niej zimy swego życia. Norwid ze mszy wtedy wracał, bo była to niedziela a rozmawiali poeci do zachodu słońca „bo, pamiętam — pisze Norwid — że czerwono zrobiło się w oknie kiedy miałem odejść. Pokoiko to był mały z piecykiem dobrze zapałonym, gdzie od razu do razu pan Adam poprawiał węgle kijem”.

Ten sam ton szlachetnej prostoty i wiernej przyjaźni dźwięczy w słowach skierowanych do Henryety Ankwicz-Kuczkowskiej z 1833, dwadzieścia z górą lat po ich rozstaniu i pożegnaniu wszelkich nadziei, po dwudziestu latach milczenia:

„Szczęśliwy jestem Henryeto, zaczynając w imię Twoje mile pierwszy dzień Zmartwychwstania i wiosny...”

Ten sam głos słyszymy w ostatnim liście do Zana, wróconego z zesłania do Wilna, niedługo przed wyprawą Mickiewicza na Wschód.

„...Wiadomość o śmierci Janka (Czczotta) — pisał Mickiewicz — możesz pojąć że mnie na wskroś przeszyla, często bardzo śniło mi się o nim... a ostatni raz pokazał się jakgdyby zapraszając mnie do siebie...”

Mickiewicz rewolucjonista z 1848 roku, jego postawa „na miarę Michała Anioła”, jak ją określił Krasiński, bynajmniej nie zadawała dzisiejszych krytyków marksistowskich; nie zadawała ich również jego ówczesny Skład Zasad w których nakreślił szeroki program reform społeczno-politycznych. Żółkiewski wytyka mu niedojrzałość ideową, niekonsekwencje stanowiska rewolucyjnego (najbardziej chyba razi go I-szy punkt Składu Zasad: „Duch chrześcijański w wierze świętej katolickiej rzymskiej, jawionny czynami wolnymi”) — wypomina mu „brak argumentów historycznych i socjologicznych, aby uzasadnić dziejową przewagę ludu nad aktualnymi potęgami Europy i jej ustrojów”.

Doktryny historyczno-socjalnej Marxa i Engelsa Mickiewicz nie znał i znać wtedy nie mógł. „Manifest” wydany w początkach 1848 nie zyskał w ciągu szeregu lat żadnego rozgłosu, ale nawet gdyby Mickiewicz poznał nową doktrynę nie przestałby najpewniej rozwijać zagadnień społecznych na płaszczyźnie moralnej i źródła siły „człowieka nowej epoki” szukać w chrześcijańskim duchu poświęcenia.

W zasadzie Mickiewicz nie przyjmował podziału ludzi na klasy, mimo że go oburzała pycha szlachecka i mierzliwa panko-watość niejednego emigranta. W każdej warstwie każdego społeczeństwa i narodu szukał „człowieka wiecznego”, tego, który był dzieckiem wszystkich przymiotów, wszystkich cnót jakie nadziodowie nasi nabyli w pocie czoła i w ofiarach krwawych”. I taki człowiek, potomek odpowiedzialny za wszystkich swoich przodków w rodzinie duchowej i doczesnej zlewał się w pojęciu Poety z wyobrażeniem ludu.

„Można być w łachmanach chłopca słowiańskiego, albo w bluzie robotnika francuskiego i nie należeć do ludu — głosił Mic-

kiewicz — w 3-ej Lekcji 1844 roku — a można błyszczyć od złota i mieścić się w ludzie. Lud to człowiek cierpiący, człowiek tęskniący, człowiek wolny w duchu, człowiek, który nie przychodzi z zapasem gotowych systemików. Dlatego lud w razach stanowiących tak prędko i niemylnie chwytą prawdę”.

Definicja ta, mimo że utopijna i niezbyt ścisła, jest niemniej charakterystyczna dla Mickiewicza, ambarasująca dla tych, którzy gwałtem chcą zrobić z poety zwiastuna i poprzednika marksizmu, dla tego też przemilczana.

Wacław Kubacki, w książce zleconej mu przez Instytut Badań Lit. P.A.N. (4), wyteżył cały swój talent polemiczny, podparty rozległym ocytaniem, mnożąc argumenty contra argumenty, wywodząc przyczynki o przyczynkach, szeregując cytaty z cytatów — od Chmielowskiego do Borowego, od Windakiewicza i Chrzanowskiego do Kleinera, Kridla, Pigionia, Krzyżanowskiego i wielu innych aby obalić „legendę” o rzymskim nawróceniu Mickiewicza, a także aby dowieść, że Księgi Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego, zakończone „trawestacją modlitwy” należy zaliczać do znanego gatunku publicystycznego, zwanego „parodią świętą”...

Żółkiewski przyjął inną metodę, zbywając dosyć pobieżnie „Księgi” — zwane przez żołnierzy listopadowych *Ewangelią Mickiewicza* — cytując ostatnie paragrafy XXIII. Rozdziału, zakończone słowami: „Słyszeliście o głodach takich, że matki jadły dzieci swoje... będziecie obryznąć uszy bliźnim swym i samym sobie i piec i jeść. Bo zasłużyliście, abyście byli bez uszu, jako są szelmowie”.

Słowa mściwe i okrutne, tak rzadkie pod piórem poety, a zwłaszcza na kartach „Ksiąg”. Ale Żółkiewski wnioskuje, że „...to jest istotny akcent końcowy utworu”! Wszystkie poglądy o mesjanizmie i o chrześcijańskiej ideologii „Ksiąg” wynikły — zdaniem profesora marksisty — „z reakcyjnej intencji politycznej” krytyków burżuazyjnych...

„Myślałem — pisał Mickiewicz do Lelewela, bezpośrednio przed napisaniem „Ksiąg Pielgrzymstwa”, że naszemu dążeniu należałoby nadawać charakter religijno-moralny, różny od finansowego liberalizmu Francuzów, i że na katolicyzmie trzeba grunt położyć”. Prof. Żółkiewski niezawodnie zna ten list z Drezna (marzec 1832 r.) i pamięta go, jak również ten inny do Niemcewicza z maja 1833 r.: „Piszę teraz właśnie poema wiejskie w którym staram się zachować pamiątkę dawnych naszych zwyczajów i skreślić jakkolwiek obraz naszego życia wiejskiego, łołów, zabaw, bitew, najazdów etc.”.

Więc bynajmniej nie *przekreślać* stary świat szlachecki chciał poeta, a *zachować* z synowskim pietyzmem pamiątkę dawnego obyczaju.

Ale gdzie się w ogóle podział Mickiewicz pod tymi złożami dociekań i kontrowersji? Słyszymy jedynie postrzępione echo jego

(4) „Żeglarz i Pielgrzym”, Warszawa, 1954.

głosu, a tu i ówdzie polot jego natchnienia przebija mroki tej pisaniny. Jeżeli szkole przedwojennej zarzucano zniechęcanie do arcydzieł naszej literatury jałowością pedantycznego przyczynkarstwa, to cóż dopiero mówić o podejściu do naszego piśmiennictwa obecnych jej wykładawców?

Ale młodzież dzisiejsza, podobnie jak młodzież wszystkich czasów, jej część milcząca, ale czujna i wolna w duchu odnajdzie niechybnie pod całym bizantyzmem marksistowskich wywodów te źródła żywej wody.

„Czy czujecie, że każde moje słowo jest wydobyte z mojego wnętrza? — rzucił Mickiewicz pytanie z katedry w Collège de France (1-sza L. 43 r.). — Chociażby mi przyszło obrazić nawyknięcia moich słuchaczy, będę krzyczał. Krzyki te nie będą moimi własnymi... wydzierają się one z głębi ducha wielkiego ludu. Od samego dna jego wszystkich podań, przebiwszy się przez duch mój, upadną tu pomiędzy wami, jak strzały dymiące się jeszcze krwią i znojem”.

Maria CZAPSKA

Galeria malarstwa obcego w Warszawie

Na kilka lat przed wojną, a zwłaszcza od zakończenia wojny, wielkie europejskie galerie obrazów zaczęły podróżować. Muzeum wiedeńskie czy muzeum berlińskie objeżdża wszystkie zachodnie stolice. Jednocześnie ustalił się zwyczaj organizowania wystaw specjalnych, na które składają się wszystkie wielkie muzea. Są to wystawy tematyczne, jak „Martwa Natura” w Paryżu w roku 1952, dotyczące szkół malarskich (np. „Caravaggio i jego następcy” w Mediolanie w roku 1951), lub grupujące wszystkie dzieła danego mistrza (np. „Lorenzo Lotto” w Wenecji w roku 1953). Te wystawy są niezwykle cenne, gdyż pozwalają poznać dokładnie obrazy rozproszone normalnie po całym świecie. Jest to dla historyków sztuki i amatorów malarstwa bodaj jeszcze ważniejsze od rozwoju barwnej reprodukcji, który podkreśla Malraux w swoim „Muzeum Wyobraźni”. Przy tym wystawy te są zawsze ukoronowane wspaniałym katalogiem, w którym i tekst i reprodukcje stoją na najwyższym poziomie. Łączy się to z dziwnym fenomenem ludzkiego snobizmu. Paryżanin który nigdy nie chodzi do Luwru pędzi na wystawę „Martwej Natury” czy wiedeńskiego muzeum, płaci bardzo wysoką cenę wstępu, kupuje drogi katalog. Te wystawy są bowiem jednorazowym ewenementem, obowiązującym tematem rozmowy. Dlatego zapewne katalogi wielkich stałych galerii europejskich są przeważnie zadziwiająco skromne, przestarzałe — ani na chwilę nie wytrzymują porównania z katalo-

gami wystaw „jednorazowych”. Toteż należy z dużym uznaniem powitać katalog *Galerii Malarstwa Obcego* Muzeum Narodowego w Warszawie (J. Białostocki, A. Chudzikowski, J. Michałkova, B. Tyszkiewicz, Wydawnictwo „Sztuka”, Warszawa, 1954). Jest to zaledwie pierwszy tomik zapowiadanej serii, obejmujący malarstwo niderlandzkie, niemieckie, flamandzkie i holenderskie XV, XVI i XVII wieku. Przewodnik zawiera wstęp dotyczący historii kolekcji, cztery opracowania reprezentowanych w galerii szkół i okresów, staranny spis obrazów i indeks artystów z krótką charakterystyką ich działalności, mapy geograficzne, plany sal (jeśli można sądzić z planów, obrazy rozwieszane są według wszelkich reguł najnowszej techniki muzealnej), wreszcie bogaty dział bardzo porządkie, choć nie luksusowo wykonanych reprodukcji (matowa sepia). Mało które europejskie muzeum posiada tak sumiennie, nowocześnie i inteligentnie zaprojektowany przewodnik.

Kolekcja zawiera 170 obrazów. W tym parę „arcydział”, kilkanaście obrazów pierwszorzędnych. Reszta — to drugo- i trzeciorzędne okazy tej „nadprodukcji” jaką dało holenderskie malarstwo XVII wieku i które poprawną nudą zapelnia parę kilometrów korytarzy niemal każdego europejskiego muzeum. Autorzy przewodnika nie wyjaśniają przyczyn tej nieszczęśliwej proporcji. Obrazy znajdujące się dziś w galerii malarstwa obcego Muzeum Narodowego w Warszawie zgromadzone zostały w okresie upadku „oficjalnego” smaku malarstwa. W wyborze obrazów odnajdujemy typowe zamiłowanie kolekcjonerów z końca XVIII i co gorzej z XIX wieku. Ciekaw jestem dat nabycia niektórych obrazów i cen jakie wówczas za nie zapłacono. Oto chociażby „Pasterz Krów” Paulusa Pottera. Jest to malarz nierówny, czasem uroczy (mały „Biały Koń” w Luwrze) ale częściej nudny i banalny: prekursor afiszów „Pijcie holenderskie mleko”. A od końca wieku XVIII do końca wieku XIX obrazy jego stały u szczytu światowej „bursy” malarskiej. Jego „Byk” w amsterdamskiej galerii jest — mówił mi z humorem dyrektor muzeum — obrazem który osiągnął w swoim czasie (około roku 1870) najwyższą cenę z kolekcji obejmującej Rembrandta, Vermera, Rubensa... A więc kiedy zakupiono „Pasterza Krów” do polskiej kolekcji, zapłacono zań zapewne cenę za którą można było wówczas nabyć kilka obrazów bez porównania ciekawszych. To samo — choć przykład jest mniej rażący — dotyczy Jordaensa. Galeria warszawska posiada aż pięć jego obrazów. Benedykt Tyszkiewicz cieszy się w swoim wstępie tymi pięcioma „świetnymi obrazami” i mimo że przyznaje iż Jordaens „nie sięga szczytów geniuszu Rubensa”, tym niemniej pisze że „może on walczyć z Van Dyckiem o drugie miejsce w hierarchii malarzy flamandzkich XVII wieku”. Ale niestety Jordaens, zdolny technik, dobry naśladowca Rubensa, jest malarzem płaskim, seryjnym. Może najlepiej służyć właśnie do podkreślenia wielkości Rubensa — tej subtelnej tajemnicy malarskiej która sprawia że „Kobieta w Słomianym Kapeluszu” z londyńskiej National Gallery jest arcydziełem, a nimfa Jordaensa, w tej samej pozie, o pozornie równie perłowo-macicznym ciele nadaje się do stołowego starego Forsyte’a na Bayswater Road. I właśnie podziw różnego pokroju Forsyte’ów — jak widać także i polskich — niewspółmiernie wywindował ceny obrazów Jordaensa w XIX wieku.

Dlaczego ten ważny element nieszczęśliwego wyboru obcych obrazów został pominięty przez autorów przewodnika? Po części może ze starego przyzwyczajenia „nie umniejszania polskich osiągnięć”. Po części zapewne dlatego że właściwie obowiązujący dziś w świecie komunistycznym gust malarski nie wiele się różni właśnie od gustu XIX-wiecznego. Trudno oskarżać dziś w Polsce o „zły smak” kolekcjonerów polujących na realistyczne obrazy holenderskie XVII wieku. Nie chcę przez to powiedzieć że opracowania młodych polskich historyków sztuki są nieszczerze, czy też że rażąco

wpadają w „obowiązujący ton”. Oczywiście, w historii sztuki, tak jak i w innych dziedzinach, obowiązuje „marksistowskie” podejście. Przejawia się ono tutaj szerokim uwzględnieniem gospodarczego tła epoki, wpływu przemian ekonomicznych na rozwój sztuki. Są to zawsze rozważania i słuszne i ciekawe, pod warunkiem że pamięta się o innych aspektach sztuki jako wyrazu ludzkiego ducha. Wydaje mi się że autorzy przewodnika wywiązują się doskonale ze swego zadania. Ich podejście „materialistyczne” jest dobrą lekcją historii dla przeciętnego widza. A nie wpływa ono na ich ocenę obrazów. I tak, opisując trzy obrazy Rembrandta w Muzeum Narodowym, przewodnik bardzo słusznie podkreśla ogromną wyższość „Portretu Młodzieńca” nad dwoma innymi, o wiele bardziej „realistycznymi” portretami. Poprzez ogólny historyczno-gospodarczy ton rozważań, przebijają też osobiste zamiłowania autorów. I tak Białostocki wydaje się specjalnie interesować manierem, fantastycznym krajobrazem. Andrzej Chudzikowski zgodnie z najnowszymi osiągnięciami historii sztuki ocenia holenderski „caravaggionizm”. Janina Michałkova słusznie interesuje się „Bentem” i wysoko ocenia ciekawego Pieter van Laer (szkoda że pomija jego pokrewieństwo z Magnasco).

W każdym razie przewodnik daje jak najlepsze pojęcie o młodych polskich historykach sztuki. Brak im może tylko pewnej osobistej swobody czy fantazji stylu; widać tu nadal wpływ niemieckiej „Kunstgeschichte” z nieodwrotną pedanterią.

Tym czytelnikom którzy — jak ja — nie wiedzieli, albo zapomnieli jakiej klasy obce obrazy posiada Warszawa, proponuję fikcyjny spacer po Galerii (wybierając z reprodukcji te płótna przed którymi z takich czy innych względów sam bym się zatrzymał).

Malarz brugijski XV w.: „Madonna z Dzieciątkiem”. Piękny, liryczny obraz — niemal klasy Gerard Davida. Krajobraz wydaje się późniejszy — XVI-wieczny?

Jean Bellegambe: „Tryptyk”. Dobry przykład szkoły Rogera Van der Weyden.

Joos van Cleve: „Pokłon Trzech Króli”. Prawdopodobnie bardzo wczesny obraz tego malarza (Muzeum Narodowe posiada trzy inne jego obrazy). Nawet styl jest całkiem odmienny od wspaniałego obrazu van Cleve na ten sam temat w Muzeum Neapolitańskim. W warszawskich „Trzech Królach” jest jakby echo Boscha.

Albrecht Dürer (?): „Portret Męski”. Prawdopodobnie tylko szkoła Dürera, ale szlachetny portret.

Lucas Cranach: „Adam i Ewa”. Chyba najstarszy (jeśli autentyczny) z wielu obrazów Cranacha o tej samej tematyce. Ciężkie, ordynarne ciało Ewy nie ma nic z gotyckiego uroku jego aktów.

Lucas Cranach: „Portret Księżniczki”. Tym razem na pewno Cranach, i to najlepszy. Pod sztywnym strojem odgadujemy nagość „Lukrecji”. Tajemniczy, urzekający portret o zimnym okrucieństwie pod sztywnymi fałdami dworskiej elegancji.

Joachim Bueckelaer: „Na Targu”. Znam dwie maniery tego malarza. Jedna — zwykle w wielkich obrazach (jak w Neapolitańskiej Galerii) razi ordynarnością koloru, niczym zablakana „dekoracja” z monachijskiej piwiarni z lat dwudziestych. Tematem są zresztą niemal zawsze targi. O wiele bardziej precyzyjny mały „Targ” z Luwru jest dość „pocztówkowy” w kolorycie ale zwykła u Bueckelaera kombinacja różowych i jasnozielonych daje tu ciekawe efekty. Warszawski Bueckelaer wydaje się na szczęście bliższy paryskiego.

Dirk van Baburen: „Hiob”. Świetny przykład dzieła tego zdolnego następcy Caravaggia. Choć retoryka obrazu bliższa jest Orazio Gentileschi.

Rembrandt: „Portret Młodzieńca”. Niewątpliwie arcydzieło tego działu Muzeum Narodowego. Niemał szkic, zapewne wczesny, ale wielkiej klasy.

Pieter Saenredam: „Wnętrze Kościoła”. Mam duży podziw dla tego malarza, którego obrazy rzadko się widuje poza Holandią. Mimo monotonii tematu jest w nim wyjątkowa u Holendrów tej epoki „poezja realizmu”.

Pieter van Laer: „Odpoczynek włóczęgów wśród ruin”. Na podstawie reprodukcji — to już niemal zapowiedź Hubert Robert.

Dziwi brak reprodukcji następujących obrazów wymienionych w katalogu, które wydają się o wiele ciekawsze od innych reprodukowanych (łącznie przewodnik zawiera 64 reprodukcje):

Hans Baldung: „Herakles i Anteus”.

Jan Brueghel (Starszy). Aż dwa obrazy tego malarza, jednego z największych: „Krajobraz z rozbójnikami” i „Krajobraz z wiatrakami”. Czyżby ich autentyczność była wątpliwa?

Rubens: „Męczeństwo” (szkic olejny). Kiedy się pamięta jak wspinał się właśnie szkice Rubensa, choćby w Muzeum Brukselskim, pominięcie tego obrazu staje się niezrozumiałe.

KAJ

O moralności socjalistycznej

W czasie lektury ostatnio wydanych książek krajowych naktknąłem się na dwa przykłady, a raczej rezultaty zastosowania w praktyce „moralności socjalistycznej”. Ofiarą jej padają tym razem: młody poeta i zmarły przed paru laty wybitny krytyk.

„Huragan i powódź nawiedziły wybrzeża Anglii, Belgii i Holandii. Rządy, tłumacząc się koniecznością oszczędności, odmówiły pomocy powodzianom. (Z prasy)”.

Powyzszą wiadomość z prasy (domyślamy się że chodzi tu o prasę reżymową) wziął za motto młody poeta, Tadeusz Kubiak. W dobrej wierze, przypuszczam, dał wyraz szczeremu oburzeniu, pisząc w wierszu „Powódź”:

„...Parlamenty zbrodnicze omywają dłonie
W tej samej wodzie, w której żywy człowiek tonie...”

i dalej: „...Nie ma litości w kraju, w którym rządzi pieniądź...
...Tak łatwo zrezygnować z człowieka — dolarom...”

Jak było w rzeczywistości wiedzą o tym jedynie ci, którzy słuchali wówczas zagranicznego radia. Ale kilkanaście milionów prostych, zahukanych i zaharowanych obywateli czerpało wiadomości z głośników zainstalowanych w miejscach pracy, lub z wyżej wymienionej prasy.

Znam dokładnie przebieg akcji pomocy w Belgii — i nigdy nie zapomnę tych kilku tygodni, kiedy cały naród bronił ludzi

i ziemi przed furją morza. Ów rząd, który według prasy warszawskiej „odmówił pomocy powodzianom”, już trzeciego dnia od chwili zalewu tworzy narodowy fundusz pomocy ofiarom powodzi, na który składa 10 milionów franków belgijskich uchwalonych jednogłośnie przez „zbrodniczy parlament”. W pałacu królewskim Belle-Vue, Czerwony Krzyż przyjmuje i przekazuje tony darów w naturze (odzież, koce, buty etc.).

Ten sam rząd wysyła na front powodziowy 7.000 żołnierzy, którzy dzień i noc sypią groble ochronne, niosąc w stronę morza tysiące i tysiące worków z piaskiem. Kuchnie armii belgijskiej żywią ofiary powodzi.

Gdyby Kubiak słuchał komunikatów którejkolwiek z radiostacji zachodnio-europejskich być może napisałby inny, zupełnie inny wiersz...

A gdyby był na miejscu zauważyłby również coś, co by go zastanowiło. Otóż belgijska Partia komunistyczna (3,56% głosów w wyborach w 1954) była jedyną organizacją, która wylała się z solidarnego frontu narodowego i przeprowadzała zbiórkę na własną rękę — aby, nawet w tak tragicznej sytuacji, nie przepuścić okazji do jednego więcej wypadu propagandowego w teren. Krajowy tygodnik ilustrowany „Świat” zamieścił fotografię przedstawiającą dwóch mężczyzn pchających dwukołową teleżkę, na której leżą trzy worki z odzieżą... zaopatrując ją podpisem z którego wynika, że belgijska Partia komunistyczna „stoi na czele akcji pomocy powodzianom”.

Reżym docenia znaczenie środków informacji, i umie z nich korzystać. Nie tylko Kubiaka oburzyła spreparowana wiadomość. Ale poeta, najczulszy barometr moralny społeczeństwa, zareagował natychmiast, rozwijając w wierszu podszeptany mu motyw nienawiści.

Drugi przykład, który przedstawię czytelnikom jest nie mniej poważny. Chodzi bowiem o sfalszowanie tekstu. Fałsz tym bardziej oburzający gdyż dokonany na rękopisie zmarłego przed trzema laty krytyka, Karola Zawodzińskiego. Mam na myśli *Studia z wersyfikacji polskiej*, wydane (1) z papierów pośmiertnych autora.

Redaktorzy książki piszą w *Nocie bibliograficznej*: „...wyłonił się nowy, poważny problem naukowo-edytorski: czy tekst zostawić bez zmian, czy też poddać go dyskretniej korekcie stylistycznej”. Nieco dalej dodają: „O ile dla sprecyzowania myśli wypadło dodać jakiś brakujący wyraz, ujmowano go w nawias kwadratowy []”.

Zobaczmy na przykładach jak wyglądała owa „dyskretna korekta stylistyczna” i jaką rolę spełniają w tekście „nawiasy kwadratowe”.

(1) Wrocław, Zakład im. Ossolińskich, 1954.

Na stronie 213-ej Zawodziński pisze: „Zdobyta za Skamandra przewaga 9-cio zgłoszkowca jambicznego w liryce utrwała się przez wielkie dzieła, ze wymienię *Kwiaty Polskie* Tuwima, jego przekład *Oniegina...* etc.; po dawnemu zjawiają się nowe wiersze [różnych poetów, jak np.] Iwaszkiewicza”.

Jakich to „różnych poetów” nakryła redakcja kwadratowym nawiasem? Dowiemy się tego, czytając uważnie następne rozdziały tej „dyskretnie” poprawianej książki. Na razie zatrzymajmy się na chwilę na stronie 282-ej, gdzie czytamy (mowa o siedmiozgłoszkowcu jambicznym):

„Również u [autora *Wróbbi na dachu*], zaczynając od pierwszej książki *Ten wiatr, ten wiatr, ten psotnik* (1919; 23 w.), ...również w *Wielkiej Niedźwiedzicy* (1923) *O smutnym wietrze*:

*Jest już godzina późna,
Jest już godzina cicha;*

lub w tradycyjnych, choć odmiennych i urozmaiconych strofkach: *Sasanka* (z *Wróbbi na dachu*, 1921):

*Sasanki lila, sasanki lila,
Kwietniowy dzień bez troski,
Do twarzy lasi się, przymila,
Caluje wiatr trzpiotowski.*

Na ogół te wiersze są u niego rzadkie”.

U kogo? Nowy czytelnik krajowy, formowany przez obecną szkołę, nie dowie się iż chodzi tu o Wierzyńskiego. Naprawdę, dziwią te potowiczne metody. O ileż łatwiej można było wypruć całe zdanie, wszystko co dotyczy emigracyjnego poety. Jak dyskrecja to dyskrecja!

Drugim przykładem, już nie tylko fałszerstwa, ale bezsilnej złości jest „przeredagowanie” innego miejsca pośmiertnego rękopisu Karola Zawodzińskiego. Autor dowodzi (str. 324/325):

„W chwili obecnej, nawet w momencie podminowania poezji wierszowanej przez próby obejścia się bez wiersza..., tetrapodia jambiczna trzyma się zwycięsko, jako zasadniczy bodaj wiersz liryki, przyjmującej rygor metrum; a nawet bodaj jak nigdy, występuje w charakterze wiersza masowego: epickiego lub w ogóle służącego wielkiej formie. Dość wskazać na olbrzymi poemat Tuwima, na dwa co najmniej jednocześnie wykonywane nowe przekłady *Oniegina* (z nich jeden Tuwima, drugi pisany przez dawnego uczestnika awangardy, Ważyka), inne poza tym przekłady poezji rosyjskiej, a wreszcie na obszerny poemacik refleksyjno-liryczny *Traktat moralny*, około 450 w. „*Twórczość*”, IV, 1948): omawiane metrum stoi bodaj w apogeum swego rodzaju i popularności”.

Wystarczy uważnie przeczytać powyższy ustęp, aby zdać sobie sprawę, iż Zawodziński wyraża się z najwyższym uznaniem o pracy trzech poetów: Tuwima, Ważyka i... a gdzie jest trze-

ci? Trzeciego nazwiska szukalibyśmy na próżno. Wiemy co zostało napisane, gdzie i kiedy, ale sam autor nie otrzymał nawet grobu z „kwadratowych nawiasów”. Czesław Miłosz został potraktowany przez redaktorów książki jako *ein unbekannter Dichter*. Tak samo postąpili z Henrykiem Heine hitlerowcy.

Ale to jeszcze nie wszystko. Po „dyskretnej korekcie” redaktorów autor zdaje się przeczyć samemu sobie, gdy pisze „*obszerny poemacik*” (450 wierszy!!), a do tego jeszcze uważa ten „poemacik” za jeden z przykładów ilustrujących „apogeum” 9-cio zgłoszkowca jambicznego, stawiając „poemacik” w rzędzie utworów należących do „wielkiej formy”, obok *Kwiatów Polskich...*

Jeden ze sztychów Grottgera (w cyklu *Wojna*), przedstawiający ludzi, którzy okradają poległych na polu bitwy, nosi tytuł: *Ludzie czy szakale?*

W kwietniu 1953, brukselski *Journal des Poètes* wydał numer poświęcony współczesnej poezji hiszpańskiej. Wybór przekładów poprzedzony został wstępem, napisanym przez madryckiego profesora literatury, José Luis Cano. Przeczytajmy, jak pisze jeden z przedstawicieli oficjalnej, reżymowej nauki w politycznym państwie gen. Franco.

„Pomimo iż jest to jedynie krótki komentarz, zaledwie notatka o współczesnej poezji hiszpańskiej — byłoby rzeczą niesprawiedliwą pominąć twórczość innych poetów tego pokolenia (którego wiek waha się pomiędzy 50-ciu a 60-ciu laty), a którzy od 1939 tworzą na wygnaniu, głównie w Ameryce. ...Nie przestajemy oplakiwać jednego z najwybitniejszych pośród nich, Pedro Salinasa... który był nie tylko wielkim poetą, ale oprócz tego wspaniałym historykiem jak również krytykiem naszej poezji i nadzwyczajnym profesorem...”

Jorge Guillén, nieodłączny druh Salinasa, jest autorem jedyne w swoim rodzaju i nadzwyczajnego tomu wierszy, *Cantico*. ...Pisarz ten jest obecnie profesorem literatury hiszpańskiej w Wellesley College w Stanach Zjednoczonych. Jego poezja jest hymnem radości śpiewanym na cześć Istnienia...

Nie możemy również zapomnieć o wielkim mistrzu tych poetów, Juanie Ramonie Jiménezie, który wraz z nimi przebywał od 1939 na wygnaniu, i który przekroczył już siedemdziesiątkę... I chociaż młodzież obecnie nie idzie w jego ślady nikt nie zapomni o długu, który poezja hiszpańska zaciągnęła u niego. Pragniemy gorąco, by powrócił do Hiszpanii, abyśmy mogli złożyć mu hołd, na jaki zasłużył sobie twórczością i całym swym życiem oddanym bez reszty poezji...”

Obywatele Polski Ludowej, redaktorzy, Janina Sawicka i Jan Trzynadłowski, mogą się zwrócić o lekcję elementarnej moralności do... Madrytu. Piszę to z ironią, ale bez uśmiechu — należę bowiem do tych, dla których republikańska Hiszpania żyje nadal.

Książki

„Odwiłż” Erenburga

Odwiłż Iłji Erenburga ukazała się w 1954, w majowym zeszytcie miesięcznika *Znamia*, i w parę tygodni obiegiła całą Rosję oraz zonę wpływów sowieckich. Słowo „odwiłż” znalazło się na wszystkich ustach jako termin oznaczający rozluźnienie rygorów reżymu komunistycznego. Różne znaki zdawały się wówczas zapowiadać tego rodzaju przemiany: zwolnienie z więzienia lekarzy oskarżonych o spisek, mimo przyznania się do zarzucanych im zbrodni, zapowiedziana przez Malenkowa poprawa bytu robotników, odprężenie w stosunkach z Zachodem itd. Samą nawet likwidację Berii próbowano interpretować jako wstęp do rozluźnienia systemu policyjnego. Obraz, chociażby antycypowany, tych zmian w formie powieściowej musiał być z natury rzeczy niezwykle pociągającą lekturą na całym obszarze wpływów sowieckich, a także poza jego granicami.

Po rozgłosie przyszła reakcja czynników miarodajnych. Na-przód więc ograniczenie nakładu: zarówno majowy numer *Znamieni* jak i późniejszy przedruk znikły natychmiast z rynku i powieść Erenburga pozostaje nadal niedostępna dla ogółu czytelników. Potem przyszły krytyki *Literaturnoj Gaziety*. Reakcje te są tym wymowniejsze, że w gruncie rzeczy zarówno tytuł jak treść powieści są bardzo ostrożne. *Odwiłż* nie jest jeszcze wiosną; *odwiłże* zdarzają się też w środku długotrwałej zimy.

Dalszy bieg wypadków wykazał, że ostrożne przeczucie bohaterów *Odwiłży* były złudne, i że zima sowiecka trwa nadal. Ostatnie obrady moskiewskiego zjazdu pisarzy świadczą, że i w płaszczyźnie literackiej *odwiłży* jeszcze nie ma.

Czy Erenburg wyprzedził zbyt daleko bieg wypadków? Czy pomylił się w ogóle w swych przewidywaniach? Czy wreszcie był tylko zręcznym literatem, wykorzystującym chwilową aktualność tematu?

Powieść jego nie daje na te pytania odpowiedzi. Po wyjaśnieniu się sytuacji wytworzonej przez śmierć Stalina, *Odwiłż*

utraciła wartość zapowiedzi zmian i antycypacji bliskiej przyszłości, pozostaje natomiast obrazem zagadnień, nadziei i złudzeń rosyjskich z początku 1954.



Odwiłż jest dziełem doświadczonego pisarza, w którego rękach różne wątki splatają się w zwartą, nieco szarą, lecz, *modo rossico*, przetykaną bladioróżową nitką tkaninę. Od czasów *Dwunastu fajek* i *Julia Jurenita* pióro jego stało się lekkie, nie podkreśla niczego, dotyka zaledwie opisywanych spraw i zatrzymuje się chętnie w pół drogi.

Akcja powieści toczy się w mieście nad Wołgą, którego życie ześrodkowuje się dokoła wielkiego zakładu metalurgicznego, zatrudniającego część bohaterów Erenburga. Są to:

Żurawlew, Iwan Wasiljewicz, 37 lat, dyrektor wzmiankowanej fabryki;

Jelena Władimirowna (Lena), jego żona;

Antonina Pawłowna, matka tejże, zarządzająca kołchozu „Krasnyj Put’”.

Sokołowski, Jewgienij Władimirowicz, koło 60 lat, główny konstruktor;

Korotiejew, Dmitrij Siergiejewicz, koło 30 lat, inżynier;

Sawczenko, 25 lat, inżynier;

Brajnin, Naum Borisowicz, inżynier;

Puchow, Andriej Iwanowicz, emerytowany nauczyciel, stary bolszewik;

Nadieżda Jegorowna, jego żona;

Wołodja, ich syn, artysta malarz;

Sofia Andriejewna, ich córka, dyplomowany inżynier;

Saburow, artysta malarz, kolega Wołodi;

Szerer, Wiera Grigorjewna, lekarka pochodzenia żydowskiego;

Tania, aktorka miejscowego teatru.

Wyliczone wyżej postacie spotykają się stale w klubie, na zebraniach, gdzie wygłaszają po kolei referaty na tematy aktualne; odwiedzają się nawzajem, piją herbatę, dyskutują i robią sobie zwierzenia. *Odwiłż* jest więc powieścią o rosyjskiej inteligencji, której życie, poza pracą zawodową, wyczerpuje się w rozmowach i komentarzach. Jedynym wypadkiem przekraczającym ramy rozmów i refleksji jest omyłka służbowa Żurawlewa, który, błędnie interpretując intencje nowego rządu, obraca na cele produkcyjne fundusze przeznaczone na budowę domów robotniczych i zostaje z tego powodu odwołany.

W konstrukcji tej poznajemy rosyjskie wzory powieściowe XIX wieku. *Das Ewigrussische* odnajdujemy zresztą na każdej stronie *Odwiłży*. Wszędzie znajome z dawniejszych czasów postacie, słowa i gesty. To samo zamiatowanie do godzin nocnych: „Pracując (Korotiejew) siedział zwykle nieruchomo i mógł tak przesiedzieć pół nocy... O szóstej rano stwierdził z zadowole-

niem, że z pewnymi zmianami projekt Brajnina można śmiało polecić... Spać już nie warto; niedługo czas iść do fabryki". Te same sylwetki ludzi szybko rezygnujących z ambicji młodości: „Iwan Wasiljewicz zmienił się bardzo w ciągu ostatnich sześciu lat; utył, spuchł, policzki miał obwisłe i wyraźnie zaznaczoną łysinę (mówiono o nim „starszy pan”, gdy w istocie miał tylko 37 lat); zmieniły mu się też oczy: niegdyś marzycielskie, patrzyły teraz spokojnie, pewne siebie; głos przybrał ton rozkazujący, a gdy się śmiał, nikt nie miał do śmiechu ochoty". Te same wreszcie co dawniej typy młodych, broniących się rozpaczliwie przed łysiną i otłuszczeniem, przed prozą i banalnością życia, lecz nie znajdujących w sobie samych nic prócz kapryśnej, zmiennych nastrojów, słowiańskiej depresji i euforii, *chandry* i *wostorżennych nastrojenij*.

Wszystkim postaciom tej zimowej powieści ciąży warunki moralne egzystencji, karierowiczostwo, obojętność i obłuda innych, nade wszystko zaś beznadziejna szarzyzna życia. Najdotkliwiej odczuwają ją artyści:

„Wołodja jechał posępny w taksówce... Oczywiście Saburow jest utalentowany, ale tylko schizofrenik może malować i zamalować płótna w szafie... Wszyscy teraz krzyczą o sztuce, ale nikt jej nie lubi — takie czasy. Saburow podobał się Tanieczce: ona też marzy o sztuce przez wielkie S... Przyznaję, że jestem mydlarz (*chalturnik*), ale wszyscy dziś na ogół są mydlarze, chociaż niektórzy nie chcą tego zrozumieć. Tanieczka myśli, że zbyt lubię pieniądza. To nieprawda, ale faktem jest, że chcę żyć... A *propos* pieniędzy, jutro muszę rano wstać. Obiecałem skończyć portret Żurawlewa. Twarz jak brudna wata wciśnięta w ramy. Zrobiłem go oczywiście na wspaniało: wybitny pionier sowieckiego przemysłu, broda do góry, w oczach żelazna wola. Jeżeli muzeum to istotnie kupi — dwadzieścia tysięcy”.

Gdy stary inżynier mówi mu o hiszpańskim malarstwie, Wołodja uśmiecha się: „Ostatnio malowałem białe kury, teraz pracuję nad pełną radości życia obywatelką, trzymającą w ręku pudełko czekoladek, oczywiście najdroższych. Najważniejszą rzeczą jest dokładne oddanie wszystkich gatunków cukierków. A wy chcecie, żebym myślał o Goyi...”

Podobne są myśli jego znajomej, aktorki Tani: „Gdy jako młoda dziewczyna myślała o teatrze, życie aktorki wyobrażała sobie w barwach tragicznych i wspaniałych. Życie powinno być ją otrzeźwić: zobaczyła intrygi, swary, wieczory o składanych programach, małe pokoiki w brudnych hotelach, lekkie romanse i ciężkie życie. Tanieczka posmutniała, twarz jej pokryła się siecią drobnych zmarszczek (to od szminki, pocieszała się), ale w głębi jej serca żyło wciąż niejasne marzenie, że gdzieś jest inne, prawdziwe życie. Tanieczka zbłądziła z drogi...”

Stary bolszewik Puchow myśli z przerażeniem o swym synu Wołodii: „Co za podwójna buchalteria! Na zebraniach aktywu

żąda głośno malarstwa ideologicznego, maluje robotników, a potem najspokojniej mówi, że wszyscy tak kłamią. Nie mogę o tym myśleć”.

Lena Żurawlewa opowiada o uczenicy szkoły powszechnej Warii Popowej, którą wykluczono z komsomołu: „Na interwencję komitetu miejskiego Warię wprowadzić przyjęto z powrotem, ale możecie sobie wyobrazić czym jest takie przeżycie w siedemnastym roku życia! Wszystkiemu winien był oczywiście Fomin, który nawet nagany nie dostał. Czy można takie rzeczy tolerować? Myślała, że Korotiejew ją podtrzyma, ale ten milczał. Gdyby tak zachował się jej mąż, pomyślałaby: boi się, ale Korotiejewa szanowała. Pomyślała więc: widocznie wielu rzeczy jeszcze nie rozumiem.

Inżynierom udziela się również brak komfortu moralnego. Dyrektor fabryki, chcąc się pozbyć głównego inżyniera, robi aluzje do jego córki przebywającej na emigracji. „Po rozmowie z Żurawlewem Korotiejew przez dłuższy czas nie mógł odzyskać równowagi. Ohyda! Sokołowski oczywiście znają w głównym zarządzie. Nie takie zresztą czasy, aby Żurawlew mógł w ten sposób uziemić... Czemu jednak nie powiedziałem mu w oczy, że to oszczerstwo? Widocznie przywykłem milczeć, przestałem reagować na słoństwo. To źle...”

Wszystkim wreszcie zdają się ciąży imprezy „towarzyskie” partii. „Na zebranie czytelników (Lena) szła niechętnie. Nuda, znów będą czytać z karteczek, cytować gazety, streszczać książki. Żurawlew jednak nastawał: sekretarz komitetu mówił, że przyjdzie, wszyscy w ogóle będą. Cóż to za głupie demonstracje!”

Ponury, zimowy nastrój ciężący nad miastem czytelnicy biorą być może za barwę czasu, za produkt epoki Stalina, ale czy słusznie? Nastrój ten znamy z Custine’a, z Sałtykowa-Szczedrina, z Dostojewskiego, z Mereżkowskiego, z Sołoguba i wielu innych przedrewolucyjnych dokumentów literackich. Początki tego zjawiska datują być może z czasów Iwana Groźnego. Ta ponura fala rozlała się zresztą po powieściach całego świata i stanowi aktualne zagadnienie literackie naszych czasów.

Sposób, w jaki bohaterowie Erenburga mówią o komunizmie, podkreśla jeszcze ponadczasowy charakter tej melancholii. Komunizm jest mianowicie dla nich rzeczą odległej przyszłości. Jelena Władimirowna myśli o swej matce: „Gdyby takich kobiet było więcej, moglibyśmy szybko dojść do komunizmu”. Młody inżynier Sawczenko widzi w swym majączeni olbrzymi traktor. „Traktor ten wrzyna się w step, potem widać pszenicę, bardzo wiele pszenicy, kraj staje się bogaty, silny i wówczas komunizm...” Do spełnienia tego, wciąż odległego jak Sąd Ostateczny, marzenia brak bądź traktorów, bądź ludzi. *L'improductivité slave* czy inny fatalizm zdają się ciążyć nad Rosją sowiecką jak nad Rosją dawną.

W aluzjach do współczesności Erenburg jest zresztą bardzo ostrożny. Jego inż. Brajnin np., którego nazwisko powtarza się niemal na każdej stronie, którego projekty zaprzatają wszystkich inżynierów, który na każdą okoliczność ma gotową formułę zaczerpniętą z *Prawdy* i jest zapewne najtypowszym bohaterem socrealistycznej powieści, w *Odwilży* sam nie występuje i znamy go tylko z aluzji innych osób.

Dyskretne traktowanie szczegółów aktualnych i wysunięcie na pierwszy plan ponadczasowych aspektów Rosji mogło — w okresie poszukiwania koegzystencji z Zachodem — dać powieści Erenburga silną pozycję wobec cenzury partyjnej.

Zachód nie przeląkł się relacji Custine'a, jak w sto lat później nie przeląkł się relacji z sowieckich obozów koncentracyjnych i procesów moskiewskich. Chwalił sobie koegzystencję z Rosją Mikołaja I-go, i sama nawet wojna krymska stanowiła tylko interludium, podczas którego mężowie stanu potrafili uniknąć nieprzeznaczonych kroków, mogących przeszkodzić przywróceniu koegzystencji. Zachód obawia się natomiast komunizmu, który ogarnął już większą część Azji i posiada silne forpocztę w Europie.

W tej sytuacji świadek tak niepodejrzany jak Erenburg stwierdza, że w Rosji komunizmu dotąd nie ma, że brak wciąż dla tego celu traktorów i ludzi, i że nawet młodzi inżynierowie sowieccy widzą komunizm dopiero w odległej przyszłości. Wiadomość taka musi być balsamem na zatroskane serca koegzystencjalistów zachodnich. Wszystkie zresztą argumenty dowodzące tożsamości Rosji stalinowskiej i mikołajowskiej przemawiają na Zachodzie za możliwością koegzystencji. Myśl ta nie jest nowa, bo już przed ćwierćwiekiem interpretowano w tym sensie formułę W.W. Szulejina „wszystko jak dawniej, ale w trochę gorszym gatunku”. Efekt zewnętrzny *Odwilży* nie uszedł zapewne uwagi Kremla, nie mającego dziś wielu autorów „na wynos”.

Nieco inny zapewne był efekt wewnętrzny *Odwilży*. Tyle ofiar, tyle wysiłków, a do komunizmu wciąż daleko. Tyle zmian, a chandra ta sama. Refleksje takie nie są dobrze widziane. Zacytujemy tu wspomnienie Wołodii: „W Moskwie Kriukow, przy omawianiu wystawy, zaczął łajać malarzy za pesymizm. Nam trzeba energii! ryczał i spił się tak, że musiano go odwieźć do szpitala... Skąd znów tyle śniegu? Nudno tak, że nie chce się żyć...”

Mroźne refleksje, jakie powieść mogłaby obudzić u czytelników sowieckich są częściowo tylko wyrównane przez niejasne aluzje do nadchodzącej odwilży czy wiosny.

Różnorodność możliwych ocen tłumaczy być może zmienną fortunę *Odwilży*. Aprobowana do druku, szarpana przez krytykę oficjalną, przedrukowana lecz niedostępna dla czytelników, *Odwilż* jest rozpowszechniana na Zachodzie.

Odwilż przedstawia grupę sowieckiej inteligencji całkowicie dopasowaną do racjonalistycznej doktryny partii i potrzeb aparatu gospodarczego. Wewnątrz grupy nawet lotrostwo oceniane jest z punktu widzenia miejsca zajmowanego w procesie produkcji. Inżynier Korotiejew, oburzony na dyrektora fabryki za jego donosielskie metody, robi na ten temat następujące refleksje: „W początku budowy było oczywiście wiele śmiecia. Obecnie dom stał się mieszkalny i czas go zamieść. Taki Żurawlew zwraca dziś uwagę... Sawczenko nie ma zresztą racji, uważając go za łotra. Żurawlew lubi pracować, na wojnie spisywał się dobrze. Jak mogą tak różne uczucia mieścić się obok siebie w jednym człowieku? Lena go porzuciła, ale niegdyś musiał się jej za coś podobać. To nie łotr, ale jakiś niedokończony półfabrykat człowieka...”

A jednak, mimo stałego przebywania razem i wzajemnej kontroli, życie bohaterów *Odwilży* nie daje się zmieścić bez reszty w szablonach racjonalistycznych. Wiele zamętu wnoszą tu kobiety. Powieść zaczyna się od dyskusji na zebraniu czytelników, rozważającej rolę miłości w powieści sowieckiej. Inż. Korotiejew jest zdania, że na nieszczęśliwe miłości i dramaty prywatne nie ma miejsca w sowieckiej literaturze. Z dalszych rozmów dowiadujemy się, że tegoż zdania jest na pewno i Brajnin. Sonia Puchowa mówi: „Czytałem powieść i jestem tegoż zdania co Korotiejew. Człowiek sowiecki powinien nie tylko panować nad siłami przyrody, ale także rządzić swymi uczuciami. A tymczasem Zubcow zabawia się w swej powieści jakąś ślepą miłością...”

Postulowana przez wszystkich racjonalna administracja uczuć nie udaje się. W samej naturze kobiety zdaje się ukrywać jakiś czynnik irracjonalny, nie mieszczący się w ramach sowieckiego systemu. „Lena miała włosy złociste, w słońcu rude i zielone, mgliste oczy, czasami wyzywające, czasami smutne, a najczęściej niezrozumiałe; zdawało się, że jeszcze chwila, a rozplynie się w ukośnych promieniach słońca przecinających zakurzone powietrze mieszkania”. Kobiecość zastawia najprzewrotniejsze sidła zrjonalizowanym mężczyznom. Saburow np. nie widzi nikogo poza swą żoną Glafirą, kulawą i chorowitą korektorką.

W systemie nie mieści również sztuka. Zamknięci w koncepcji utylitarnej malarze bądź uchylają się od przewidzianych dla nich zadań, bądź wpadają w wyzywający cynizm. „Korotiejew jest mądry — powiada Wołodja — pocóż miałby mówić to co myśli?” Albo w innym miejscu, gdy Sokołowski, dowiadując się o odwołaniu Żurawlewa, mówi: „Ach tak... No cóż, należało się tego spodziewać...”, „Wołodja nie zapytał, czemu Jewgienij Władimirowicz tak myśli: wiedział już od dawna, że Sokołowski, mimo całej szorstkości, jest równie naiwny jak ojciec: obaj wierzą w sprawiedliwość”.

W racjonalistycznym systemie nie mieszczą się wreszcie właściwe bohaterom rosyjskich powieści nieustanne przemiany nastrojów, wahających się między depresją i euforią. „Dlaczego

jestem wesoly?" pyta młody inżynier, starając się zmieścić to zjawisko w jakimś łańcuchu przyczyn i skutków. Powieść kończy się następującą rozmową w parku miejskim, w którym śnieg zaczął właśnie topnieć:

— „Wołodzia (mówi Tania), nie należy upadać na duchu. Ja też bywam często w takim nastroju, że ręce opadają... Ale zaczynam wówczas myśleć, że to wszystko może się naraz odmieścić. Nie śmieję się ze mnie. Jestem przekonana, że tak bywa. Czy ty wierzysz w cuda?"

— A co ty nazywasz cudem?"

— Cud jest to, kiedy na przykład jest bardzo źle, a nagle robi się dobrze, i wszystko się zmienia, to jest wszystko zostaje po staremu — miasto, ludzie, rzeczy — a jednak wszystko jest inne. Rozumiesz?"

— Czy wiele trzeba dla zmiany nastroju? Wystarczy byle głupstwo. Wczoraj na przykład byłem u Sokołowskiego. Bardziej ponurego człowieka dotąd, zdaje się, nie spotykałem. Przychodzę, a Sokołowski wesoly, śmiejący się, rozmowny. Pytam, co się stało, a on mówi, że nic, że wiosna... A ma już blisko 60 lat".

W maju 1954, kiedy wszyscy oczekiwali znaków złagodzenia straszliwego reżymu stalinowskiego, słowa Tani o cudzie mogły mieć dla czytelników sens alegoryczny. Dziś, czytając na zimno, dostrzegamy w nich raczej echa dobrze znanych z XIX wieku protestów przeciw rosyjskim formom racjonalizmu, przeciw koszarnej postaci szchedrinowskiego Ugrium - Burczejewa (Arakcejewa) z ołowianym wzrokiem i słowem *zacziem?* na na ustach.

W płaszczyźnie literackiej powieść Erenburga zdaje się być zjawiskiem bardziej znaczącym niż w sferze spekulacji politycznych. Po latach błądzenia po manowcach utylitaryzmu, powieść sowiecka wraca być może do klasycznej problematyki rosyjskiej literatury przedrewolucyjnej.



Ustępy powieści, w których można się było dopatrywać zapowiedzi lub antycypacji zmian mających nastąpić po śmierci Stalina, wydają się przeważnie postne i banalne.

Tak więc np. afera Żurawlewa, stanowiąca jak gdyby centralny epizod intrygi powieści, nie upoważnia do żadnych wniosków na przyszłość. Sądząc, że Moskwa interesuje się tylko postępami produkcji, Żurawlew zużył na ten cel fundusze przeznaczone na budowę domów robotniczych. Kiedy niespodziana burza zrywa dachy z ruder i baraków, w których gnieździł się robotnicy, sprawa nabrała rozgłosu i dyrektor fabryki został „zdjęty” ze swego stanowiska. Zważywszy, że żadna administracja, nie wyłączając sowieckiej, nie toleruje samowoli w użytkowaniu kredytów, cała afera wydaje się banalna i, jako zapowiedź zmian, stoi poniżej ówczesnych mów Malenkowa i Chruszczewa.

Równie mało mówi niepowodzenie intryg wyzyskujących przeciw Sokołowskiemu fakt, że córka jego przebywa na emigracji. Inż. Sokołowski przeżył szczęśliwie czasy wielkiej czystki, widocznie więc zagraniczna córka mu nie szkodzi.

Pozostaje sprawa malarzy. Saburow jest pejzażystą i obrazy jego nie były dotąd nigdzie wystawiane. W końcu powieści czytamy, że dwa pejzaże Saburowa będą figurowały na najbliższej wystawie. Wiemy jednak ze słów Wołodi, jakie obrazy były wówczas modne w Moskwie: *Uczta w kolchozie*, *Meeting na kopalni* i portrety wybitnych przemysłowców sowieckich. Fakt, że jury postanowiło urozmaicić ten program przez dodanie doń dwóch pejzaży, nie zapowiada na pewno żadnego przewrotu.

Więcej konsystencji mają drobniejsze rysy charakteryzujące koniec miesięcy zimowych 1953. „Gdy w gazetach ukazała się wiadomość o rehabilitacji grupy lekarzy, Lena pobiegła do szpitala, wywołała Wierę Grigorjewną, chciała jej coś powiedzieć i, nie znajdując słów, pocałowała ją. Tegoż wieczora Iwan Wasiljewicz powiedział ziewając Lenie: „Okazuje się, że byli zupełnie niewinni. Twoja Szererowa niepotrzebnie się więc denerwowała”. Lena nic nie odpowiedziała.

W innym miejscu, gdy Wołodzia mówi, że na zebraniach czytelników mądrzejsi nie mówili zapewne tego, co myślą, Sawczenko odpowiada mu: „Mylicie się, tam wszyscy mówili szczerze. Widocznie od dawna już nie chodzicie na te dyskusje. Wiele się tam zmieniło”.

Wszystkie te aluzje są ostrożne, lekkie, lżejsze od jaskółek, które według przysłowia nie robią wiosny. Zresztą sama nawet Tania, mówiąc w miejskim parku o cudzie, zachowuje uderzającą w tym kontekście rezerwę: „Cud jest to, kiedy na przykład, jest bardzo źle i nagle robi się dobrze, i wszystko się zmienia, to jest wszystko zostaje po staremu — miasto, ludzie, rzeczy — a jednak wszystko jest inne”.

Z uczuciem zawodu stwierdzić wypada, że są to nadzieje jeszcze skromniejsze od tych, jakie w miastach nadwołżańskich wywołał niegdys przyjazd nowego gubernatora.

Paweł HOSTOWIEC

Ruchy chłopskie na Rusi Czerwonej

W jednym z ostatnich numerów sowieckiego czasopisma „Voprosy istorii” ukazało się studium poświęcone ruchom chłopskim na Rusi Czerwonej w latach 1638-1648. Studium, którego autorem jest M.V. Gorn (czy też Horn) stawia sobie za zadanie „zdemaskowanie” burżuazyjnej legendy

o złotym pokoju względnie o dziesięcioleciu grobowej ciszy przed burzą, jak nazwał ten okres cytowany przez Gorna polski historyk R. Ottman.

Mimo nieuniknionych wstępnych frazesów sowiecki autor zabrał się do pracy całkiem solidnie, przestudiował księgi grodzkie z XVII wieku (w dawnym archiwum bernardyńskim, obecnie przechrzczonej na *Filiał Centralnego gosudarstwjennego istoriczeskogo archiwu USSR we Lwowie*) i pokazuje, cytując akty, że okres ten był wcale burzliwy. Tak więc charakteryzowało go masowe uciekanie chłopów z jednych majątków do drugich, a także do miast. W ciągu na przykład ośmiu miesięcy roku 1643 mamy w samym tylko sądzie grodzkim halickim 60 skarg o ucieczkę 400 rodzin chłopskich. Zapewne było tego więcej. Z jednej tylko wsi Monastyrzany uciekło naraz 81 rodzin. Obok uciekania chłopci prowadzili też walkę klasową z panami w sposób pasywny: przez rodzaj strajku, odmawiając wykonywania pańszczyzny (co wywołało nawet specjalną odezwę króla do chłopów wsi Wisienki ziemi halickiej).

Bardziej aktywnym sposobem było zaorywanie ziem pańskich i wyrębywanie lasów. W samym tylko sądzie sanockim w roku 1641 mamy 15 skarg na to. Czasami zresztą chłopci zwyciężali. Sąd grodzki przemyski przyznał chłopom dwu wsi królewskich zaorane już przez nich ziemie, jak twierdzi Gorn dlatego, że obawiał się buntu. W każdym razie kazano im z tej ziemi także odrabiać pańszczyznę. Łatwo sobie wyobrazić jednak, że wystarczało, aby szlachcic-właściciel czy wójt-dzierżawca zaprotestował czynnie wobec chłopów, ażeby „bierny strajk” lub zaorywanie ziemi przerosły się w najlepszym razie w bójkę. I tak, gdy chłop Antoś Psiuk we wsi Kolbajłowicze zaorał część ziemi należącej do pana Pohoreckiego, doszło do bójki, w wyniku której Pohorecki został ranny. Od zajmowania ziemi do zajmowania bydła był już krok tylko: sąd grodzki halicki notuje skargę Michała Żurakowskiego na chłopów wsi Zadubrowicze, którzy wdarli się do jego obory i uprowadzili 40 głów rogacizny. Mieszczanie z miasteczka Korczakowce (centrum powstania chłopskiego w 1648) napadli zbrojną ręką na obejście Zuzanny Skopowskiej we wsi Żurków i uprowadzili 12 głów rogacizny, 30 owiec, 6 świń itd. Mieszczan wspierałi chłopci z sąsiednich wiosek z soltysiem na czele.

Innym sposobem walki był sabotaż. W roku 1642 chłopci wsi Szklarze spalili majątek dzierżawcy Sławińskiego. Podpalono też pasieki, obory i stodoły z ziarnem. Wreszcie całkiem już aktywnie napadano na panów i na ich sługi, a nawet na oddziały wojskowe. Tak gdy oddział Jerzego Bala-bana z dwoma oficerami zamierzał ściągnąć kontrybucję ze wsi Beniówka, Sosnówka i innych, chłopci nie tylko poranili oficerów, ale jeszcze zabrali im pistolet, 3 muszkiety, 2 patrontasze i 13 koni jucznych.

Najbardziej aktywną formą były najazdy zorganizowanych oddziałów „opryszków”, którzy napadali bądź na majątki bądź na przejeżdżających szlachciców. W 1639 taki oddział pod przewodnictwem Hanusia zwanego „Kapitanem” napadł na właściciela wsi Blizno, Stefana Tczyńskiego, ranił go i przetrzymał dwie godziny pod aresztem. Chłopci królewscy wsi Mogilnica, Romanówka i Chmielówka dowiedziawszy się, że służy dzierżawcy ich Jakuba Poniatowskiego napadli na niego w drodze do Lublina, ze swej strony napadli na jego zamek w Mogilnicy i podzielili się jego dobytkiem. Zaniepokojeni właściciele sąsiednich wsi wezwali na pomoc

wojsko, które uśmierzyło powstanie i podzieliło z kolei między siebie majątek „uśmierzonych” chłopów.

Z materiałów cytowanych przez Gorna można wywnioskować, że chłopci dążyli do niezależności od panów i do autonomii. Tak we wsi Wituszynie chłopci zastrajkowawszy wygnali ze wsi wójta i wybrali wójtem przewodząc powstania. Przeciw nim posłano oddział dragonów. Dowiedziawszy się o zbliżaniu wojska, chłopci umocnili się w cerkwi i przysięgli bronić się do ostatniej kropli krwi. Ostatecznie wojsko wzięło górę.

Gorn wspomina o współpracy „dołów miejskich” z chłopami. W roku 1646 mieszczanie Śniatynia powstali przeciw staroście Piotrowi Potockiemu, który odebrał im niektóre przywileje. Nie wając się stawić czoła w otwartym boju (czy też może nie chcąc narażać miasta na zniszczenie?), opuścili Śniatynię i rozbiwszy obóz nad granicą mołdawską, wysłali posłów do króla. Władysław IV odpowiedział im pismem obiecując wrócić odebrane wolności. Na to powstańcy powrócili do Śniatynia, opanowali siłą ratusz miejski i zamierzali wziąć szturmem zamek. Według Gorna wywołało to ruch chłopski w okolicy, gdyż chłopci odmówili wykonywania pańszczyzny.

Ruch „opryszków” miał charakter masowy na Podkarpaciu. Centrum jego były specjalnie niektóre wsi, jak Pniów, Peczeniżyn, Rangury, Krywołuki w ziemi halickiej. Do nich też uciekano masowo z dołów (w 1639 około 200 rodzin uciekło do nich z czterech wsi ziemi halickiej). Największym wyryzmem „opryszków” był napad 300 ludzi na majątek dzierżawców wsi Zahotyń ziemi sanockiej. W napadzie brali też udział chłopci czternastu wsi okolicznych. Ruch „opryszków” rozwinął się tak, że trzeba było do walki z nimi stworzyć specjalne oddziały „smolaków”, a nawet w 1647 przyjęto na sejmiku w Wiszni specjalne postanowienie o zwalczaniu „bandytyzmu”.

Oprócz walki klasowej chłopów, do której jak widzimy miał Gorn obszernie dokumenty w polskich aktach sądowych XVII wieku, wspomina on jeszcze walkę z uciskiem narodowym i religijnym. Nad tym ostatnim roz-wodzi się nawet nieco obszerniej. Tak więc pisze, że chłopów, którzy odmawiali przyjęcia Unii, pozbawiano mienia, zamykano do więzień, torturowano, zabraniano im modlić się w cerkwiach lub zamykano cerkwie, „bluźnierczo (sic! u autora sowieckiego) wyrzucano ciała zmarłych z grobów”. Jednakże, choć Gorn gdzie indziej obficie cytuje źródła, to tu nie podaje ani jednej cytaty, ani jednego odnośnika, z czego wolno chyba wnioskować, że takowych nie odnalazł. Niewątpliwie trudno pogodzić z prześladowaniem religijnym fakt, że pewna część magnatów dalej była prawosławna, tym bardziej, że fakt ten autor zmuszony jest podkreślić z innych powodów, a mianowicie ze względu na potrzebę walki z „ukraińskim nacjonalizmem, feudalizmem i burżuazją”. Toteż p. Gorn kończy swój artykuł prawdziwym *tour de force*: wobec tego, że większość szlachty była katolicka, walka klasowa przybierała formę walki prawosławia przeciwko katolicyzmowi i Unii. „W walce tej przejawiała się jaskrawo nie tylko nienawiść klasowa chłopów przeciw feudalom, ale i dążenie chłopów i biedoty miejskiej do zjednoczenia z całą Ukrainą i Rosją. Chłopci ziem zachodnio-ukraińskich zwracali spojrzenia na wschód, ku naddnieprzańcom i ku wielkiemu narodowi rosyjskiemu...”. Tu oczywiście żadnych dowodów się nie cytuje, bo żadnych nie ma. Chłopom rosyjskim powodziło się w owym czasie równie źle jak polskim. Ze patrzonej z nadzieją na kozaków, jak i na „opryszków”, to co innego, a zjednoczenie z wielkim narodem rosyjskim

jest oczywistym i świadomym anachronizmem. Gorn kończy stwierdzeniem, że „walka ta, w przeddzień powstania Chmielnickiego, nie była bezskuteczna, podrywała ona fundamenty władzy polskiej szlachty na ziemiach zachodnio-ukraińskich i ułatwiała walkę całego narodu ukraińskiego o zjednoczenie z wielkim narodem rosyjskim”. I tu musimy się niestety zgodzić, że wojny kozackie, sprowokowane przez ucisk chłopów i kozaków, zachwiały fundamentami Rzeczypospolitej i sprawiły, że najpierw ziemie kozackie, a potem cała Ukraina znalazły się pod Rosją. Trudno powiedzieć, by na tym skorzystali ukraińscy chłopci. Skorzystała niewątpliwie Rosja.

Nie trzeba być dziś komunistą, aby wiedzieć o ucisku chłopów pańszczyńnianych w XVII wieku. Pisano o tym zresztą na długo przed rewolucją październikową. Ale rzeczywistość niechętnie daje się wtłoczyć w formułki matematyczne. Nawet Gorn, który być może jest początkującym marksistą, pisze, że drobna szlachta znajdowała się w szeregach „opryszków” (co prawda ujmuje to dość oryginalnie: „część zbiedniałej szlachty ukraińskiej i miejskiego duchowieństwa prawosławnego dołączyła do tego ruchu celem wzbogacenia się („nażitja”) w czasie napadania na majątki szlacheckie i taboru kupców”). W sanockim wśród „opryszków” byli też jakoby liczni Polacy. Trudno ich posądzać o specjalną sympatię do prawosławia. Na czele oddziału „opryszków” w okolicy Rymanowa stał drobny szlachcic Jan Jaworowski, którego schwytano dopiero w 1652 i skazano na śmierć. Nawiasem mówiąc, wynika z tego, że Jaworowski działał na własną rękę, a nie w jakimś porozumieniu z Chmielnickim (którego powstanie wybuchło dopiero w 1648).

Po ukazaniu się studium Gorna jaśniejsze jest tło społeczne powstania Chmielnickiego, a w każdym razie jego powodzenie wśród chłopów. Powstanie nie było gromem z jasnego nieba, poprzedziły je lata wrzenia wśród chłopów. Należałoby się jednak może zastanowić skąd wzięło się wrzenie właśnie w latach 1638-1648. Bo należy wątpić, czy chłopom było tak znacznie lepiej przedtem — i potem. „Secesja” mieszczan śniatyńskich, tak jak przedstawia ją Gorn, jest dość zagadkowa, przypomina natomiast niektóre wydarzenia z historii starożytnej (plebs rzymski), których źródło było natury równie społecznej jak religijnej. Czy mieszczenie rzeczywiście bali się wojsk Potockiego, jak twierdzi Gorn, skoro — gdy tylko król im przywileje potwierdził — wrócili do miasta i zdobyli ratusz. (Czy król zrobił to z obawy o spokój na pograniczu, jak twierdzi Gorn, czy z poczucia praworządności lub sprawiedliwości, jak wierzyli współcześni, to inna sprawa.) Zapewne więc — a wiadomo, że było tak u „opryszków” — istniał pewien ideał, archeotyp jeśli kto woli, sprawiedliwości, nie koniecznie społecznej tylko. Buntowano się nie przeciw królowi, lecz przeciw niedotrzymaniu słowa przez króla (czy słowa królewskiego przez starostę, przedstawiciela króla), nie przeciw panom jako takim, lecz przeciw złym panom. Oczywiście tezę tę, jak zawsze gdy chodzi nie o fakty, lecz o interpretację, trudno sprawdzić. Akta prowadzili nie chłopci i prowadzono je nie w interesie chłopów, tylko panów.

Z drugiej strony intrygujące jest, że tyle „gwaltów” zdarzało się na Podkarpaciu. Niewątpliwie można w tym widzieć jedynie demoralizujący wpływ ukrywających się w górach „opryszków”. Ale może i coś więcej. Na owych 14 wiosek, które napadły na dobra pani Suzowskiej, pięć jest niewątpliwie wołoskich to jest założonych na prawie wołoskim (według

K. Kadleca „*Valasi a valaské právo...*”, Praga 1916, str. 305-314). Wiadomo, że dane Kadleca są niekompletne, co najmniej dwie-trzy dalsze wioski mają nazwę pochodzenia rumuńskiego. Są to wszystko wsie pasterskie, których ustrój socjalny i światopogląd religijny były całkiem odmienne od światopoglądu rolników-chłopów pańszczyńnianych. Kto wie czy nie dałoby się obok czynnika klasowego dostrzec też czynnik ściślej socjalny (etnograficzny): przeciwieństwo rolników i pasterzy. Pasterze, których przodkowie przyszli gdzieś z Bałkanów, byli ludźmi wolnymi, w potrzebie i wolnymi rozbójnikami, od pokoleń. Zjawisko „opryszków” istnieje na całych Bałkanach od „uskoków” serbskich po „hajduków” rumuńskich. Ich integracja w społeczeństwo niewolne, czy to chodzi o społeczeństwo pańszczyńniane XVII wieku czy o dzisiejsze społeczeństwo kapitalistyczne lub sowieckie, była niełatwa do przeprowadzenia. Nie darmo górale kaukazy walczyli tyle lat z bronią w ręku przeciw Sowietaom. Z tym wszystkim, nawet gdyby przypuszczenie to było słuszne, i gdybyśmy mieli tu do czynienia z ruchem pasterskim (i z wpływem pasterzy na chłopów) trzeba by jeszcze wyjaśnić, skąd się wzięło nasilenie tego ruchu właśnie w danym okresie i czy spowodowane było ono wyłącznie uciskiem pańszczyńnianym. Nie jest być może przypadkiem, że przypadło ono na drugą połowę panowania Władysława IV, który przeszedł do legendy, jako życzliwy kozakom i chłopom. I może pojawienie się „króla sprawiedliwego” sprawiło, że niesprawiedliwość stała się tym cięższa do zniesienia.

A. VINCENZ

Notatki wydawnicze

W podejściu współczesnego człowieka do historii tkwi dziwny paradoks. W dziewiętnastym wieku historia była właściwie podstawą kultury. Mommsen, Michelet, Taine — to przed pół wiekiem prawdziwie wspólna dziedzina „wykształconych” ludzi. Czytano jeszcze Sorela i Bainville’a. Dziś jest inaczej. Właściwie tylko historycy czytają nowe historyczne dzieła. Szerokiej publiczności są historycy niemal równie nieznanymi jak ornitologowie czy ichtiologowie. Ale podczas gdy zawodowy historyk jest ignorowany, jednocześnie (i w tym właśnie tkwi paradoks) mit „historii” i „świadomości historycznej” stał się dziś jednym z banałów którym operuje co drugi intelektualista. Historia zesłała na drugi plan wobec filozofii historii. Wszelkie koncepcje, według których historia ludzkości dąży w danym zdeterminowanym kierunku, stały się popularne. Sam kierunek jest różny oczywiście, ale przecie różne formy determinizmu, „stawania się historycznego” łączą materialistów historycznych, postępowych katolików, spadkobierców spenglerowskiego pesymizmu, konserwatywnych neo-optimistów zapatrzonych w Toynbee’ego. Wszystkie te „filozofie historii” odpowiadają najwidoczniej jakiejś głębokiej potrzebie współczesnej świadomości, która chce wybrać z historii to tylko co potwierdza jej nadzieję, lub jej pęd do auto-destrukcji.

W ten sposób historia — najbardziej konkretna dziedzina życia — staje się coraz bardziej uwikłana w abstrakcyjne schematy. Prawdziwi historycy — na skutek narzucanej im coraz potężniejszej ścisłej specjalizacji — długo milczeli. Jeden Croce poświęcił całe swe życie walce przeciw różnym formom historycznego determinizmu i abstrakcji w historii. Ale zarówno u niego jak u zmarłego przedwcześnie angielskiego historyka Collingwooda próby „odfilozofowania historii” skończyły się na „uhistorycznieniu filozofii”.

Zdawalem niedawno sprawę — zbyt pobieżnie — z książki Philippe Ariès'a — właśnie historyka i specjalisty, który badając właściwie tylko technikę historii, jej związek z życiem, ocenia jej rolę zarazem skromniej i bardziej precyzyjnie od „filozofów”.

H. I. Marrou jest jednym z najpoważniejszych historyków współczesnej Francji. Dzieła jego są znane specjalistom — jak chociażby podstawowa praca o św. Augustynie. Ale tym razem Marrou daje nam książkę poświęconą znaczeniu historii: *De la Connaissance de l'Histoire* (Seuil, Paris, 1954). Książka Marrou jest niezmiernie bogata w ciekawe i trafne obserwacje. Rozwija on w sposób oryginalny pewne tezy postawione przez Raymond Aron w jego „Introduction à la Philosophie de l'Histoire”: historia nie jest dla współczesnego historyka próbą, odbudowy przeszłości, czy krytyki tego co było — ani także próbą wywołania nieruchomej taśmy czasu — ale raczej źródłem życia i ruchu bijącym bez ustanku na chwilę obecną. Historia staje się wtedy stosunkiem pomiędzy dwoma płaszczyznami ludzkiej rzeczywistości: płaszczyzną przeszłości, oczywiście, ale także płaszczyzną czasu teraźniejszego historyka. Nie można porównać historii — jak w dziewiętnastym wieku — do budynku do którego każdy historyk dorzuca swoją cegiełkę. Odrzuca się właściwie dzisiaj coraz bardziej pojęcie „postępu” w historii: współczesny historyk daje własny obraz przeszłości, różniący się oczywiście od obrazów jego poprzedników, ale nie koniecznie zastępujący te obrazy. Każda historia jest świadectwem danego okresu w stosunku do epoki będącej przedmiotem badań. Lefevre nie unicestwił Michela: wartość świadectwa zależy przede wszystkim od wartości danego historyka.

Dla Ariès'a, historia była ważnym w okresie mechanizacji i niwelacji czynnikiem wzbogacenia ludzkiej świadomości. Marrou widzi w niej element „wyzwalający”:

„Rozwój ludzkości przekazał nam spadek, który ciąży na nas z tą samą koniecznością „naturalną” i tyraniczną (co ewolucja biologiczna), ale z chwilą kiedy ten rozwój staje się historią, z chwilą kiedy ogarniamy ten spadek naszą świadomością... sama świadomość wyzwala nas od ciężaru tego spadku, który jest nam wówczas przekazany „z pełnym inwentarzem”. Uświadomienie historyczne stanowi prawdziwą „catharsis”, wyzwolenie naszej socjologicznej podświadomości (gdyż wyzwala w nas podświadomość socjologiczną przeszłości), analogicznie do „catharsis” którą stara się, na płaszczyźnie psychologicznej, wywołać psychoanalityk. Człowiek wyzwala się od przeszłości, która dotąd ciążyła na nim absolutnie, nie przez zapomnienie, ale przez wysiłek odnalezienia tej przeszłości, przyjęcia jej w sposób świadomy, pozwalający na jej reintegrację”.



Od czasu gdy kalwinista Casauban postawił w XVII wieku tezę, że obrzędy „papistów” pochodzą od źródnych pogańskich misteriów, stosunek pomiędzy greckim mitem i chrześcijańską tajemnicą był przedmiotem dyskusji teologów i historyków religii, a ostatnio również i psychologów (Jung). Większość historyków religii skłonna jest przyjąć tezę mandejskich i irańskich źródeł chrześcijaństwa. Starano się wykazać że chrześcijaństwo jest nową formą pogańskiego kultu bohatera, jego śmierci i zmartwychwstania. Chrześcijanie próbowali przyjąć tę tezę na własnym teologicznym terenie. Szkoła Casela twierdzi, że ludzkość posiada od zawsze „przecucie” odkupienia, którego spełnienie rzeczywiste zostało dokonane w ramach tajemnicy chrześcijaństwa. Nowa książka Ojca Rahnera, *Mythes Grecs et Mystère Chrétien* (Payot, 1954) jest równie ciekawa dla chrześcijanina jak dla agnostyka. O. Rahner odrzuca tezę „pochodzenia” chrześcijaństwa od greckich mitów, i jego argumenty są bardzo przekonujące na płaszczyźnie ścisłej historycznej. Natomiast naświetla on bardzo ciekawie kwestię „adaptacji” greckich mitów przez chrześcijaństwo, cytując Klemensa Aleksandryjskiego: „Chcę wam wytłumaczyć tajemnicę Logosu w obrazach które są wam znane”. O. Rahner twierdzi że zależność pomiędzy greckimi mitami i chrześcijaństwem istnieje na trzech płaszczyznach. „Na dole”, poprzez wspólny symbolizm, gdyż język ludzki jest wspólny, gdyż człowiek zwrócony jest w kierunku Boga, gdyż istnieją pojęcia „archetypiczne”, którymi operuje również chrześcijaństwo — religia ludzi. „Pośrodku” — na skutek historycznych wpływów: w I i II wieku „misteria” grecko-rzymskie mają jeszcze luźną formę; w III wieku formuje się teologia i liturgia chrześcijaństwa — jest to jednocześnie epoka „misteryzacji” pogaństwa; w IV wieku chrześcijaństwo przyjmuje swą formę ostateczną i zaczyna się okres dekadencji pogańskich misteriów. Wreszcie „u góry”, gdyż sens historii jest, dla O. Rahnera, dziełem Boga.

(j)

Przegląd miesięczników

Przed upadkiem Mendès-France'a, jego ideowy organ, *Express* spróbował rzucić projekt „nowej lewicy”. Wokół premiera najwybitniejszymi przedstawicielami tej nowej formacji ideowo-politycznej mieli być André Malraux, François Mauriac i De Gaulle. Zagadnienie utworzenia lewicowego bloku niezależnego od komunistów od dawna nurtuje polityczne i kulturalne życie francuskie. Wszystkie te próby dokonują się w imię hasła „nowej lewicy”. Niemal jednocześnie z *Express'em*, inna grupa — bardziej polityczna — odbywała kongres „nowej lewicy” — ale tym razem w związku z „progressistami”. co nie wydaje się tak bardzo nowe. Projekt „Expressu” złośliwie komentuje w *Parisienne* Paul Sérant. Co prawda jego zdecydowanie prawicowe oblicze nie gwarantuje obiektywizmu, ale trzeba przyznać że niektóre jego uwagi są dość trafne. Jeśli Malraux, Mauriac i De Gaulle są „lewicą”, to kto u licha — pyta mniej więcej Sérant — będzie prawicą?

Rzecz nie w tym że jest miejsce na kilka grup lewicowych, jak tłumaczy Mauriac, ale że od kilku lat wszyscy uważają się za lewicę. Już przed wojną francuscy politycy, których program był wyraźnie prawicowy, nazywali się „lewicowymi republikanami”. Nawet reżym Vichy uległ tej francuskiej mitologii, nazywając się „narodową rewolucją”, zamiast na przykład „narodową restauracją”. Zaraz po wojnie wszyscy prawicowi wyborcy głosowali na M.R.P. — partię katolicką wprawdzie, ale podkreślającą swoją „lewicowość”. Wkrótce potem powstała partia której program sam był bardziej prawicowy od programu M.R.P. Jak ją nazwać? Oczywiście „zespoleciem lewicowych grup republikańskich”... Wiadomo że nikt w Palais Bourbon — francuskim parlamencie — nie lubi zasiadać na prawo: jedynie lewicowe ławki wydają się „godnymi szacunku”. System angielski, w którym można śmiało być konserwatystą nie będąc podejrzany o „faszyzm” czy „reakcję” ma jednak swoje zalety. Może stworzenie nowej liberalnej prawicy ułatwiłoby powstanie nowej niezależnej lewicy, gdzie ludzie nie pchaliby się już przez nieporozumienie?

W *Table Ronde* (styczeń i luty 1954) pisarz i wydawca Bernard Grasset komentuje teksty Péguy, który był jego mistrzem. Wydawane przez Péguy „Cahiers de la Quinzaine” odegrały we francuskim życiu ogromną rolę. Żadne pismo nie miało tak trwałego wpływu literackiego i ideologicznego. W ślad za Péguy, Grasset formułuje „Ewangelię Wydawcy”. Po raz pierwszy może rola i odpowiedzialność wydawcy i redaktora ujęta jest tu niemal transcendentalnie. Dlatego może że wydawcy rzadko sami pisują, i dlatego, że autorzy uważają ich właściwie za złośliwych i tępych wrogów; wydawca uchodzi ogólnie za chciwego rekina, żerującego na biednym pisarzu. Grasset wyjaśnia w swym świetnym tekście niejedno nieporozumienie na ten temat. Na przykład: każdy krytyk, pisarz czy przyjaciel może pochwalić niewydany rękopis: nic go to nie kosztuje. Jedynie wydawca nie może chwalić bez poczucia odpowiedzialności: gdyż pochwałą z jego strony jest tylko wydanie rękopisu. Los wydawcy: mieć dość odwagi na to by robić sobie wrogów.

Paryska wystawa Józefa Czapskiego omawiana była bardzo przychylnie przez francuską prasę codzienną i tygodniową. W lutowym numerze *La Table Ronde* artykuł Renée Willy o malarstwie Czapskiego. Czapski „przypomina Bonnarda i Soutine’a, ale jego indywidualność artysty potrafiła zapanować nad tymi wpływami i dzieło jego pozostaje typowo słowiańskie”. W *Preuves* (styczeń) również omówiono wystawę.

Preuves daje w lutowym numerze francuskie tłumaczenie artykułu Andrzeja Panufnika ogłoszonego w „Kulturze”.

(j)

Nadesłane nowości wydawnicze

LITERATURA

WAUGH (Evelyn). *Dziennikarz z przypadku*. Przekład Teresy Skórzewskiej. Str. 256. Obwolęte projektował Stefan Baran. (Nakł. Kat. Ośr. Wyd. „Veritas”, Londyn, cena 15/).

FUTEHALLY (Zeenuth). *Zohra*. Roman. Traduit de l'anglais par Rose Celli. Pp. 336. (Ed. Plon, Paris, 1954, fr. 525).

BAUDOUY (Michel-André). *Le ciel est bleu*. Roman. Pp. 310 (Ed. Calmann-Lévy, Paris, 1954, fr. 640).

KAZANTZAKI (Nikos). *Alexis Zorba*. Roman. Traduit du grec par Yvonne Gauthier (collaborateurs G. Prassinou et P. Fridas). Pp. 339. (Ed. Plon, Paris, 1954, fr. 660).

DOKUMENTY CHWILI

Les prêtres ouvriers (Documents). Pp. 290. (Ed. de Minuit, Paris 1954).

GUDERIAN (Heinz). *Souvenir d'un soldat*. Traduit de l'allemand par François Courtet avec collab. de A. Leclerc-Kohler. Pp. 446. (Ed. Plon, Paris, 1954).

ROSSI (A.). *La guerre des papillons*. Quatre ans de politique communiste (1940-1944). Pp. 334 et XLVIII pages des planches. (Ed. Les Iles d'Or, Paris, 1954).

BORWICZ (Michel). *Ecrits des condamnés à mort*. Sous l'occupation allemande (1939-1945). Pp. 276. (Ed. Presses Universitaires de France, Paris, 1954, fr. 800).

LAZAREFF (Hélène et Pierre). *L'U.R.S.S. à l'heure Malenkov*. Pp. 374. (Ed. La Table Ronde, Paris, 1954, fr. 990).

HISTORIA

Polskie Siły Zbrojne w Drugiej Wojnie Światowej. Tom I.: Kampania wrześniowa 1939. Cz. II. Str. 816. (Wyd. Instytut Historyczny im. Gen. Sikorskiego, Londyn, 1954).

POEZJA

Un demi-siècle de poésie. Tome II. Biennales internationales de Poésie. Pp. 318. (Ed. La Maison du Poète, Dilbeek, 1954).

RADZYMIŃSKA (Józefa). *Popiół i płomień*. (Poemat sceniczny i wiersze powstańcze). Str. 40. Nakładem autora, Buenos Aires 1954.

DOBROWOLSKI (Julian). *Chłopski poemat*. Str. 49. (Wyd. Polski Klub Literacki, Chicago, 1954).

RÓŻNE

BIELATOWICZ (J.). *Laur Kapitola i wianek ruty*. Str. 205. Obwolęte projektował Tadeusz Wąs. (Nakł. Kat. Ośr. Wyd. „Veritas”, London, cena 15/).

MICHULKA (Walenty, ks.). *Ks. Bronisław Markiewicz*. Pp. 341. (Nakładem autora, Londyn, 1954).

SANDWELL (B.K.). *La nation canadienne*. Pp. 164. (Ed. du Rocher, Monaco, 1954).

LISIEWICZ (Mieczysław). *Gdzie goręcej biją serca*. Str. 286. (Nakł. Kat. Ośr. Wyd. „Veritas”, Londyn, cena 15/).

MARZEC (Antoni Z.). *Demokracja czy samowładztwo*. Str. 20. (Wyd. Londyn, 1954, cena 1/).

Federalizm a niepodległość. Str. 8. (Nakł. Związku Polskich Federalistów w Stanach Zjednoczonych, New York 1954).

Przeгляд niemiecki

Polska w bibliografii powojennych Niemiec (1945-1953)

3

7. PRZEKLADY POLSKO-NIEMIECKIE

W wymianie dóbr kulturalnych między Polską a Niemcami na odcinku przekładów literackich byliśmy raczej stroną biorącą. Pominąwszy nasze możliwości kulturalne, przyczyny tego stanu rzeczy zdają się leżeć nietylę w hermetycznym charakterze naszej literatury, szczególnie w jej największych, dla reprezentacji jakby stworzonych dziełach, jak się to aż do przesyady podkreśla, ile w napięciach politycznych istniejących między obu krajami. Ilekroć stosunki polsko-niemieckie uległy pewnemu odprężeniu, jak np. po upadku powstania listopadowego czy po układzie polsko-niemieckim z roku 1934, obserwujemy ożywienie na polu przekładów, w szczególności dzieł literackich.

Większość tłumaczeń z literatury polskiej na język niemiecki przypada na ostatnie trzydziestolecie XIX wieku oraz pierwsze piętnastolecie XX wieku. Bilans okresu między-wojennego dwudziestolecia wyraża się co najwyżej dwoma tuzinami nazwisk pisarzy polskich. Spośród nich wszystkich jeden tylko *Sienkiewicz* zdobył niemiecki rynek księgarski, i utrzymuje się na nim do dziś dnia, choć już raczej dwoma tylko dziełami, to jest „*Quo Vadis?*” i „*W pustyni i puszcy*”. Potwierdza to m. in. *Otto Walter* w interesujących wywodach na temat: „*Was die Jugend heute liest*” ogłoszonych w nr 67 „*Neue Zeitung*” z dnia 20 marca 1953.

Po roku 1945 stan ten uległ zmianie na lepsze jedynie w odniesieniu do Niemieckiej Demokratycznej Republiki, gdzie na skutek ingerencji czynników państwowych tłumaczy się dużo utworów literackich i programowych z piśmiennictwa krajów satelickich, głównie rosyjskiego, a także polskiego i czeskiego.

Do roku 1953 opublikowano w Niemieckiej Demokratycznej Republice w zakresie polskich tłumaczeń, kilkadziesiąt książek i broszur (w tym antologię poezji lirycznej i prozy) oraz parę setek artykułów z zakresu publicystyki i literatury fachowej. Wśród autorów tłumaczonych nie brak wprawdzie *Prusa*, *Orzeszkowej*, *Kraszewskiego*, a z nowszych *Broniewskiego*, ale przeważają kilku tytułami na osobę takie nazwiska jak: *Andrzejewski*, *Bartoszewicz*, *Bierut*, *Bobińska*, *Broniewska*, *Broszkiewicz*, *Fiedler*, *Górska*, *Kowalski*, *Kruczkowski*, *Malcużyński*, *Marchlewski*, *Minc*, *Putrament*, *Wygodzki* i *Łabiński*.

W Niemieckiej Republice Związkowej ukazały się tłumaczenia *Bieniasza*, *Herlinga-Grudzińskiego* (dopiero w roku 1954), *Mikołajczyka*, *Miłosza*, *Studnickiego*, *Tetmajera* i *Winowskiej*, jeśli nie liczyć wznowień nakładów *Sienkiewicza* i *Ossendowskiego*, oraz dzieł *Bronisława Malinowskiego* i *Ojca Bocheńskiego*, jako zasadniczo wydanych poza Niemcami.

W parze z tym stanem rzeczy idzie bibliografia tego działu literatury. Poza dziełkiem *Kurtzmanna* („*Die polnische Literatur in Deutschland*”), wydanym w roku 1881 w Poznaniu, bibliografia niemiecka, nie posiada monograficznego opracowania poświęconego przekładom z polskiej literatury, jak to ma miejsce w stosunku do literatury amerykańskiej, francuskiej, rosyjskiej czy norweskiej.

Istnieją natomiast próby ogólnego ujęcia tłumaczeń z języków obcych na niemiecki i vice versa, w których uwzględniono również przekłady z języka polskiego. Pierwszym takim powojennym przyczynkiem, to lista ogłoszona w monachijskim czasopiśmie „*Prisma*”: zestawiona krajami, mocno niekompletna, obejmująca czasokres 1933-1945 (51). Brak w niej tłumaczeń z rosyjskiego. Zawiera interesujące z polskiego punktu widzenia dane co do wysokości nakładów poszczególnych wydawnictw. Z poloniców przynosi serię tłumaczeń wydanych przez *Essener Verlags-Anstalt*, a więc dzieła *Becka*, *Giżyckiego*, *Piłsudskiego*, *Weysenhoffa*.

Oficjalna lista tłumaczeń z literatur obcych na język niemiecki opracowywana jest przez Niemiecki Narodowy Komitet dla współpracy z U.N.E.S.C.O., i publikowana w wychodzącym w Paryżu „*Index translationum*” (52), międzynarodowej bibliografii tłumaczeń, zawierającej przekłady literatury pięknej i naukowej w 60 językach świata. Dane niemieckie odnośnie przekładów z języka polskiego są niekompletne.

Bardzo dokładną w specyfikacji (31 rozdziałów), lecz ograniczoną do literatury naukowej i publicystyki jest „*Bibliographie deutscher Uebersetzungen aus den Sprachen der Völker der*

51 *Ausländische Literatur in Deutschland von 1933-1945*. -Prisma, 1948, N° 17. Str. 37-41. München, Kurt Desch Verlag, 1948.

52 *Index translationum*. Répertoire International des Traductions. International Bibliography of Translations. Nouvelle série 1/1948-1953. Paris, UNESCO, 1949, 4°.

Sowjetunion und der Länder des Volksdemokratie", wydawana miesięcznie przez Publiczną Bibliotekę Naukową w Berlinie (53). Wydawnictwo to notuje także tłumaczenia na razie nieopublikowane, a zdeponowane w berlińskiej Centrali Literatury Naukowej. Każdy z tych miesięczników ukazujących się zeszytów przynosi kilkadziesiąt pozycji tłumaczeń z języka polskiego, najczęściej artykułów, rzadziej książek.

Bibliografię tłumaczeń z literatury niemieckiej (na 26 języków) doprowadzoną do roku 1948, zapoczątkowała Niemiecka Biblioteka Narodowa w Lipsku. Pierwszy tom, opublikowany w roku 1949 zawiera 1.198 tytułów przekładów (54).

Uwagi powyższe byłyby niepełne, gdybyśmy pominęli nieoficjalne przekłady piśmiennictwa polskiego, dokonywane przez państwowe i prywatne instytucje niemieckie na użytek władz i nauki niemieckiej.

W okresie od 1935 roku do 1944 roku tłumaczeń takich dokonywała tzw. „*Publikationsstelle*” z główną siedzibą w Berlin-Dahlem, dociągając polską serię do liczby 531 tytułów, z których 233 ogłosił Jan Baumgart w poznańskim „Przeglądzie Zachodnim” ze stycznia 1948 (str. 44-63) (55, 56).

Publikacje te stały się rzadkością bibliofilską, nie tylko zagranicą, ale także w samych Niemczech. O znalezieniu kilku z nich w bibliotece uniwersytetu w Strassburgu donosił niedawno *Wojciech Zaleski* w swej korespondencji do kanadyjskiego „*Głosu Polskiego*” (57).

Po wojnie działalność tę kontynuują w Niemieckiej Republice Związkowej „*Deutsches Büro für Friedensfragen, Stuttgart*” (obecnie rozwiązane), oraz „*Johann Gottfried Herder-Institut, Marburg Lahn*”. Pierwsze z nich opracowało i wydało m. in. serię tłumaczeń z prasy polskiej i czeskiej na temat tzw. Ziemi Odzyskanych oraz przekład pracy *Kiełczewskiej-Zaleskiej*: „*Podstawy geograficzne Polski*”, placówka marburska wydała

53 *Bibliographie deutscher Übersetzungen aus den Sprachen der Völker der Sowjetunion und der Länder der Volksdemokratie. Abt. I. Wissenschaftliche Literatur.* Mit Unterstützung der Gesellschaft für Deutsch-Sowjetische Freundschaft. Hrsg. von der Öffentlichen Wissenschaftlichen Bibliothek, Berlin. Unter Mitarbeit der Zentralstelle für Wissenschaftliche Literatur. (Bearbeiter: Dr. Helmut Kind) 1952-1953. Berlin, Verlag Kultur und Fortschritt.

54 *Übersetzungen deutschen Bücher in fremde Sprachen.* Bibliographisches Verzeichnis. Bearbeitet und hrsg. von der Deutschen Bücherei. Jg. I (1949). Leipzig, Verlag des Börsenvereins der Deutschen Buchhändler, 1949.

55 BAUMGART, Jan: *Co tłumaczyła „Publikationsstelle”?* Wykaz polskich książek i większych rozpraw tłumaczonych w Berlinie w latach 1935-1944. Przegląd Zachodni, Nr 1, Styczeń 1948, Str. 44-63.

56 BAUMGART Jan: *Tajna organizacja nauki niemieckiej.* Materiały Przegląd Zachodni, Nr 11/12, Listopad-grudzień 1947, Str. 969-980.

57 ZALESKI Wojciech: *Polscy studenci w stolicy Mikroeuropy — Polskie obrazy w europejskim kalejdoskopie.* Głos Polski, Toronto/Canada, nr 24, z czerwca 1954, Str. 4.

dotąd 19 tłumaczeń wydawnictw Instytutu Zachodniego w Poznaniu; ich tytuły podaje frankfurcka bibliografia.

Charakterystyczna jest szata i opis tych druków: Są to wydawnictwa powielane, najczęściej jednostronnie zapełnione, w naczółku karty tytułowej zaopatrzone podkreśloną i wykrzyknikiem zmocnioną klauzulą „*Nur für den Dienstgebrauch*”. Poza tym są tam uwagi w rodzaju „przy cytowaniu powołać należy się na tekst oryginału”, albo „wydawnictwa te są do nabycia po cenie kosztów własnych...” czy też, „tylko do użytku adresata”.

(c. d. n.)

Jan KOWALIK

Po cenach najniższych

Nasz dział apteczny oferuje Klientom najważniejsze lekarstwa.

STREPTOMYCINA 10 gr.	26/—
użyteczność do listopada 1957	
PENICYLINA olej. 3 milj.	10/—
użyteczność do grudnia 1956	
WITAMINA b-12 25 amp.	14/—
RIMIFON, 500 tabletek	26/—

CŁO? Co wysłać by rodzina zapłaciła najmniejszą stawkę poradzają

NASZE KATALOGI TOWAROWE

zawierające przy każdym towarze odnośną stawkę celną. MASZYNY DO SZYCIA SINGERA za które cło w Polsce wynosi tylko 600 złotych. — ZEGARKI CYMA. — Najlepsze angielskie KAMGARNY. — PLASTYKI. — OBUWIE. — SKÓRY. — CHUSTKI tzw. „NYLONÓWKI”. SPECJALNY DZIAŁ PACZEK „ZA LINIĘ CURZONA”

TAZAB LTD.

22, ROLAND GARDENS, LONDON. S.W.7.

Największy Polski Dom Towarowy w Anglii.

Listy do Redakcji

Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze 12/86 „Kultury” przeczytałem „Opowiadanie Starego Emigranta — Przestroga dla innych”. Autor — Jan Klonowicz. Oczywiście, stosunek każdego obywatela do Skarbu Narodowego wynika z jego poczucia obowiązku. Można być po tej, lub po innej stronie. Można — jak to określił swoje stanowisko „Zespół” — nie być ani tu ani tam. Pewien jednak jestem, że wielu czytelników „Kultury” pragnęłoby, aby toczące się wydarzenia nie obniżały poziomu polemiki i argumentacji, niestety tak często nadużywanej na łamach naszej prasy.

Wedle słów przytoczonych przez „Starego Emigranta”, młoda obiecująca latorośl jego rodu określiła swój stosunek do Skarbu Narodowego jako: „zbieranie pieniędzy na starych idiotów w Londynie”. Papa, prawdopodobnie ze względów wychowawczych, poprawił: „Są ramolami, a nie zawsze idiotami”. Budujący dialog. Co za poczucie własnej wyższości!

Jakże dalekie jest to od tego, co napisał w tym samym numerze „Kultury” Manès Sperber („Wieczysty dialog z przeszłością” — ustęp pierwszy). W pełni jego słowa można by zastosować do polityki i spraw społecznych.

Nie zatrzymujmy młodego pokolenia na ich drodze. Ale przecież nasze pokolenie jest tylko ogniwem w łańcuchu wydarzeń. Jeśli ogniwo to jest ze słabego kruszcu, to ciągłość jest krucha i niepewna. Powinniśmy być silni na miarę zadań i obowiązków, powinniśmy wierzyć w lepszą przyszłość następnego pokolenia.

Od lat karmią nas różni moralizatorzy z własnego powołania i samooceny swoimi wskazaniem, w poczuciu swoich wartości i stąd płynących praw i obowiązków. Przemawiają do nas w imię prawdy i sprawiedliwości, lepszego jutra i unikania błędów przeszłości. Powołanie piękne i pragnęlibyśmy ich słuchać, chcielibyśmy iść z nimi ku jaśniejszym celom. Chcielibyśmy, aby kamień niezgody naszej utonął w morzu bezdennym, aby z nieszczęść naszych powstało dzieło przyszłości. Niestety, ci współcześni mesjasze starają się nas utrzymać na powierzchni bagienka codziennych wydarzeń — jakby stąd właśnie czerpali natchnienie, jakby tu właśnie znaleźli pożywkę swego istnienia i twórczości.

Pan Jan Klonowicz — „Stary emigrant” i były działacz Skarbu Narodowego — stwierdza: „coraz częściej żona robiła mi wymówki, że zmęczone wracam z nocnych posiedzeń”, a także, że „córka często mówiła: Rzuc ten Skarb i lepiej coś napisz. „Kultura” pewno wydrukuje...” I rzeczywiście „Kultura” wydrukowała.

Głos każdego Polaka jest ważny, każdy ma prawo budować przyszłość Polski. Każdy ma prawo wymagać, aby blok, który dźwiga, był spojony z blokiem, który inni dźwigają, aby zaprawa była mocnym wiążącym spoidłem, aby już w początkach nie powstawały szczeliny i skazy. Przypuszczać

należy, że podobne zasady kierowały również p. J. Klonowiczem, gdy brał pióro do ręki.

Pan Jan Klonowicz czuł potrzebę wylegitymowania się — a więc, dowiadujemy się, że „do żadnej partii czy obozu politycznego, nigdy nie należał”, że „urodził się o parę lat za późno by walczyć w Legionach — w tym, należy stwierdzić, winy z jego strony nie ma żadnej. Natomiast winą jego jest, że wywołuje widma przeszłości, powtarzając za innymi: „Sanatorzy, Brześć i Bereza”. Tego dosyć — przestańcie! To się przypomina i odbija się bez końca. W tym można się babrać, ale z tego nic się nie skleci. Korespondencja p. Jana Klonowicza z naczelnymi władzami polskimi na emigracji — to też podobne kwiatki. Wiem, że mogło nawet tak być, chociaż mogło właśnie tak nie być i tu znowu zjawiają się wątpliwości, czy ten pieprzyk sensacji, którym tak łatwo posługują się dzisiaj, koniecznie musiał być użyty.

„Trosk” pan Jan Klonowicz już nie ma — przestał być działaczem Skarbu Narodowego. Czasu ma wiele a chcąc służyć sprawie pisze: „Przestrogi dla Innych”. Chciałbym skorzystać z jego doświadczeń i pouczeń, ale tu dopiero widzę, jak dalecy jesteśmy od tego żeby się zrozumieć.

Pana Klonowicza nie znam. Uwagi moje dotyczą rzeczy dzisiaj dosyć powszechnych, a na przykładzie jego artykułu chcę podkreślić, co w moim mniemaniu, jest złe i zbędne.

Łączę wyrazy poważania i przyjazny uścisk dłoni.

Antoni SZYLLING

Szanowny Panie Redaktorze,

W związku z oświadczeniem Zespołu „Kultury”, zamieszczonym w Nr 11/85, i dotyczącym przerwania przez ten Zespół dalszych wpłat na Skarb Narodowy, oraz wzywającym ogół płatników do powstrzymania się od dalszych wpłat — „...jest obowiązkiem każdego logicznie myślącego emigranta wstrzymać się z płaceniem jakichkolwiek opłat na Skarb Narodowy” — pozwalam sobie zakomunikować uwagi następujące:

Stwierdzić należy, iż „Kultura” zajmowała stanowisko uprzywilejowane w opinii ogromnej większości naszej emigracji, w porównaniu z innymi periodykami emigracyjnymi. Rola „Kultury” nie ograniczała się przy tym bynajmniej do oddźwięku jaki znajdowała w sprawach kulturalnych i artystycznych, rozciągała się bowiem również na dziedzinę publiczną w ogólności. Temu stanowisku uprzywilejowanemu odpowiadał oczywiście obowiązek sumiennego i przemyślanego konsekwentnie do końca pobierania decyzji w sprawach publicznych, które podawane być miały do wiadomości publicznej.

Decyzja Zespołu „Kultury”, o której powyżej mowa, logicznie i konsekwentnie zastosowana, doprowadziłaby do sytuacji, którą obrazują powiedzenia: „razem z kąpielą wylejmy dziecko!” albo: „niech mi uszy zmarzną nałość ojcu!”. Nie zapominajmy bowiem, że wpłaty na Skarb Narodowy dotyczyły również, i dotyczą, celów narodowych bezspornych z punktu widzenia wszystkich Polaków dobrej woli, nie przeżartych rakiem partyjnicztwa i warcholstwa. Ponadto Zespołowi „Kultury” znany był fakt, że szereg krajowych Komisji Skarbu Narodowego powziął decyzje, na czas trwania obecnej sytuacji, ograniczenia wpłat i wypłat wyłącznie na bezsporne cele narodowe, określone szczegółowo, z wyłączeniem przekazywania pieniędzy na budzące lub mogące budzić wątpliwości cele sporne, na rzecz tej czy innej ze stron zainteresowanych.

W tych warunkach decyzja Zespołu „Kultury” a nie tylko ten Zespół, lecz, wydaje się, ogromna większość emigracji zniechęcone są w pełni do gniazda os. gnieźdzących się w Londynie — powinna być uzupełniona bądź — a) zawiadomieniem o równoczesnym otworzeniu prywatnego konta celów narodowych bezspornych, na które Zespół dokonywałby wpłat, które dotychczas zasilają Skarb Narodowy, przelewanych periodycznie na te cele, bądź też: b) zadeklarowaniem kontynuowania płacenia składek, wpłacanych w tych krajach, jak np. Kanada lub Stany Zjednoczone — zależnie od orientacji i inklinacji osobistych — w których Komisje krajowe Skarbu Narodowego zbierają fundusze wyłącznie na ogólne cele narodowe.

Przypomnę przy tym znany zapewne Zespołowi „Kultury” fakt, że członkowie Komisji Skarbu Narodowego na Kanadę piastują swoje mandaty z woli ogółu płatników Skarbu Narodowego w tym kraju, w drodze wyborów, które odpowiadają wszystkim wymogom prawa konstytucyjnego.

Łączę wyrazy poważania i uścisk dłoni.

Montreal.

J.K. PIOTROWSKI

Szanowny Panie Redaktorze,

Moje zastrzeżenia co do „oświadczenia” Zespołu „Kultury” z listopada ubiegłego roku na temat Skarbu Narodowego spotkały się ze strony Pana z krytyką stosunku stronnictw politycznych do tego zagadnienia. W szczególności zarzuca Pan stronnictwom politycznym ich wieloletnią opozycję do Skarbu oraz dokonanie ostatnio „rozłamu” w tymże Skarbie. Czy pozwoli Pan Redaktor że streszczę w paru zdaniach tego listu mój punkt widzenia na tę sprawę?

Odpowiedź na Pańskie zarzuty daje historia polityczna emigracji w latach ostatnich.

Początkowo, wobec rozbitcia politycznego na emigracji, stronnictwa zrzeszone w Radzie Politycznej uważały, że utworzenie Skarbu Narodowego jest przedwczesne i grozi kompromitacją samej idei Skarbu przez wciągnięcie jej do sporów wewnętrzno-politycznych.

Z biegiem czasu opozycja stronnictw wobec Skarbu słabła w miarę stopniowego rozwoju sytuacji. Z jednej strony bowiem coraz wyraźniej rysowały się możliwości załagodzenia sporów politycznych i doprowadzenia do zjednoczenia w naczelnym polskim ośrodku politycznym. Z drugiej strony w łonie samego Skarbu przeważała tendencja utrzymania tej instytucji w miarę możliwości poza sporami politycznymi oraz wydatkowanie znakomitej większości funduszy na cele niesporne.

Wobec powyższego, po dokonanych niedawno w Londynie zjednoczeniu ugrupowań reprezentujących prawie całą polską wolną myśl polityczną, Stronnictwa Rady oficjalnie wypowiedziały się za Skarbem Narodowym jako za instytucją służącą celom ogólnonarodowym, co do których nie ma różnic między Polakami.

Organizacja lub samo funkcjonowanie Skarbu może natomiast, rzecz jasna, wzbudzać zastrzeżenie czy krytyki. Można dyskutować np. nad tym czy i w jakim stopniu należałoby oprzeć Skarb na wyborach i czy koniecznie tą drogą (jak tego chce „Kultura”) społeczeństwo ma brać udział w precyzowaniu polityki polskiej na emigracji. (Nota bene, zasada wyborów była lub jest wprowadzana jako podstawa organizacji Skarbu na wielu terenach).

Nie widzę jednak w jaki sposób wezwanie Polaków przez Zespół

„Kultury” do niepłacenia składek na Skarb może przyczynić się do ulepszenia tej instytucji. Z okazji Święta Niepodległości, w dniu 11 listopada przedstawiciel Skarbu przekazał 25.000 fr. na rzecz Liceum polskiego we Francji. Gdyby Polacy posłuchali „oświadczenia” Zespołu „Kultury” zabrakłoby nawet tej skromnej sumy i może w rezultacie młody Polak z Francji chcący uczyć się po polsku musiałby zwrócić się do... liceum komunistycznego. Inaczej wygląda polityka w teorii, a inaczej w praktyce.

Jeśli chodzi zaś o tzw. „rozłam” w Skarbie, to trudno chyba winić Główną Komisję Skarbu za to, że prawomocną uchwałą (powziętą znakomitą większością głosów) postanowiła odciąć się od „Rządów Pana Premiera” tak barwnie opisanych przez Wacława Zbyszewskiego w listopadowym numerze Pańskiego poczytnego miesięcznika.

Łączę wyrazy głębokiego poważania.

Z. MICHAŁOWSKI

Szanowny Panie Redaktorze,

Uproszczenia nie są na pewno właściwą metodą w poważnej dyskusji. i dlatego przyjmując nawet, że „po tej stronie barykady znajdujemy się wszyscy na pokładzie jednego okrętu”, jak to barwnie powiedziano w komentarzu redakcyjnym polemizującym z moim artykułem ogłoszonym w rubryce „Wolna Trybuna” (*Kultura*, nr 1/87-2/88, 1955), nie sędzę, aby jedynym wyjściem dla kogoś, kto nie godzi się na politykę kapitała okrętu, był... skok do morza. Można również wejść do łodzi ratunkowej i podjąć próbę dobicia do stałego lądu. Zawsze to lepsze, niż perspektywa pozostania na trwale na... dnie morza.

Jeszcze bardziej ryzykowną tezą jest pogląd (wyrażony w tymże komentarzu redakcyjnym), że „zarówno my jako Emigracja, jak i państwa Zachodu jesteśmy związani z Ameryką, zarówno wówczas kiedy polityka amerykańska jest słuszną i celową, jak i wtedy, kiedy ta polityka jest błędna”. Wybaczy Pan Redaktor, ale odnoszę wrażenie, że się Pan w ferworze polemicznym „przegadał”. Wiązanie sprawy polskiej z polityką amerykańską, która w naszej świadomości i przekonaniu byłaby błędna, byłoby nie tylko politycznym absurdem, ale niewytłumaczalnym szaleństwem. Nawet skazanie mający do wyboru śmierć albo życie, wybierze na pewno wyrok choćby długoletniego więzienia od wyroku śmierci, bo żyć jednak lepiej, niż na pewno umierać.

Sytuację dzisiejszą można — wbrew temuż komentarzowi — porównywać jak najbardziej z sytuacją sprzed pierwszej wojny światowej. Brakuje nam wprawdzie Piłsudskiego i Dmowskiego, ale same sytuacje są podobne. Dzielimy się, Panie Redaktorze, wedle przeciwieństw politycznych koncepcji, i to w stopniu znacznie wyższym, niż w latach 1914 do 1918. Czy trzeba cytować dowody i tematy? Pan sam głosi koncepcję poparcia zjednoczenia Niemiec, gdy są inni temu zjednoczeniu przeciwni. Jedni z nas są za federacją, inni jak najbardziej są jej niechętni. Jedni są za ścisłym powiązaniem Polski ze wspólnotą Europy, inni nie uznają tej koncepcji w ogóle za poważną. Jedni są za federacją typu międzymorskiego, inni — tylko z Czechami, inni z Węgrami, Rumunią i Litwą, a inni prócz tego z Ukrainą. Czyż można zatem twierdzić, że nie ma różnic koncepcyjnych, skoro aż się od nich roi?

Metody wielkiej polityki, dawniej czy dzisiaj, posiadają zawsze podobne do siebie zasady. Wśród nich polityka słabszych nie może nigdy

ryzykować stawiania na jednego tylko konia i na jedną stawkę. Trzeba mieć ich bodaj dwie, aby we właściwej chwili wybrać jedną.

Nie ma to nic wspólnego z politycznym nihilizmem, a przeciwnie posiada wszelkie cechy politycznego realizmu uwzględniającego beznamyślnie elementy rzeczywistości, wśród której najważniejszym celem każdej polityki słabszego partnera jest co najmniej zachowanie własnego bytu i najistotniejszych podstaw odrębności i niezależności.

Przekonanie o słuszności tej lub innej stawki nie wystarczy. Nieodowna w ich doborze jest obiektywna ocena faktów, które w omawianym wypadku mówią nam bezspornie, że Stany Zjednoczone prowadzą politykę co najmniej wątpliwą co do jej skuteczności wobec naporu bloku sowiecko-komunistycznego. To powinno wystarczać, aby nie włączać się bez zastrzeżeń do procesu zbiorowego samobójstwa. Mogą taką decyzję ryzykować poszczególni emigranci, a nawet poszczególnie ich zespoły, ale nie wolno zalecać jej jako recepty dla sprawy polskiej i dla naszego narodu w Kraju. Ma on prawo do życia w każdej sytuacji: także wtedy, gdy polityka amerykańska przegra wielką grę dziejową.

Jeżeli przebywając na Zachodzie i mając najgłębsze poczucie praw mego narodu, zgodnie z moim sumieniem, przypominam o nich Panu i innym moim Rodakom, wydaje mi się, że „nie marnuję czasu”. Chcę również wyjaśnić, że osobiście (a nie sądzę, abym był odosobniony), decydując w pewnym dniu, że nie wrócę do Kraju i pozostanę na Zachodzie, nie przesądziłem ani przez chwilę, z kim będę współpracował na rzecz wspólnej nam sprawy. To zagadnienie uzależniłem już wtedy i uzależniam nadal od tego, kto w tej współpracy może być pomocny sprawie, której służę.

Łączę wyrazy poważania.

Klaudiusz HRABYK
New York.

Do Redakcji „Kultury”.

W Pastiche'u „Wiadomości” p. K. A. Jeleńskiego słowo „Forty” jest dwukrotnie podane z błędną ortografią („fourty”). Niezależnie od zapatrywań na wartość tego rodzaju literatury, i niezależnie od opinii, którą można mieć o pracach „Silvy rerum” każdy musi przyznać, że przypisywanie erudycy z Bloomsbury St. ordynarnych błędów ortograficznych jest wręcz śmieszne.

W. A. ZBYSZEWSKI

Do Redaktora „Kultury” w Paryżu.

Poszukuję wydanych przez Gebethnera i Wolffa (nr. 109) trzech pieśni Karola Szymanowskiego, op. 5-ty, do słów Jana Kasprzowicza: „Święty Boże”, „Jestem i Płacę” oraz „Błogosławiona niech będzie ta chwila”.

Pokryje koszta fotostatu.

Aleksander JANTA

RÉSUMÉ EN LANGUE FRANÇAISE

En 1954, dans trois pays communistes, trois congrès d'écrivains : à Moscou, à Varsovie, à Belgrade. K.A. JELEŃSKI compare ces trois congrès (c'est la liberté des écrivains yougoslaves qui est la plus frappante) et tâche de situer le rôle de la littérature dans l'univers communiste.

Witold GOMBROWICZ décrit dans son « Journal » ses débuts d'écrivain en Argentine.

« Kultura » continue la publication du nouveau roman inédit de Czesław MIŁOSZ, « La Vallée de l'Issa ».

A la suite d'une lettre de l'Ambassadeur Tadeusz ROMER, qui nous informe que le « Fonds National polonais » en exil est géré selon des règles démocratiques au Canada, « Kultura » revient sur sa décision antérieure de suspendre tous paiements destinés au Fonds et déclare son soutien de la section canadienne du Fonds.

W. ZALESKI commente la décision prise par « Free Europe » concernant la fermeture du Collège de Robertsau et l'établissement de 300 bourses extérieures pour les étudiants exilés.

Dans la section de « La plus récente Histoire de Pologne », Tadeusz FELSZTYN nous parle d'études militaires en Pologne avant 1939.

A l'occasion du centenaire de la mort de Mickiewicz, de nombreuses études lui sont consacrées en Pologne. Maria CZAPSKA, elle-même auteur d'un livre sur le grand poète polonais, expose le malentendu de ces commentaires « marxistes ».

Marian PANKOWSKI démontre comment Czesław Miłosz et d'autres poètes polonais en exil partagent — en Pologne communiste — le sort de Heine dans l'Allemagne nazie : ils sont devenus à leur tour des « poètes inconnus ».

Une étude est consacrée au Musée National de Varsovie, et de nombreuses revues de livres polonais et étrangers complètent le numéro.

ENGLISH SYNOPSIS

In 1954, in three communist countries, three congresses of writers: in Moscow, Warsaw and Belgrade. K.A. JELEŃSKI compares the debates (the freedom of the Yugoslav writers is the most striking feature) and endeavours to describe the role of literature in the communist universe.

Witold GOMBROWICZ speaks in his « Diary » of his first steps in Argentine.

« Kultura » continues the publication of Czesław MIŁOSZ'S novel: « The Valley of the Issa ».

Following a letter from Ambassador Tadeusz ROMER, who informs us that the « National Fund » of Polish exiles is handled in Canada according to democratic principles, « Kultura » reverses its former decision of suspending payments to the National Fund and declares its support of the Canadian section of the Fund.

W. ZALESKI comments on the recent decision of closing down the Free Europe College at Robertsau and of establishing 300 external scholarships of exiled students.

In the section of « Polish Recent History », Tadeusz FELSZTYN writes about Polish military studies before 1939.

The centenary of Mickiewicz's death is marked by the publication in Poland of numerous studies devoted to him. Maria CZAPSKA, herself the author of a book about Mickiewicz, exposes the misunderstandings of « marxist » criticism applied to the great Polish poet.

Marian PANKOWSKI shows how Czeslaw Milosz, Kazimierz Wierzyński and other Polish exiled poets share, in communist Poland, the fate of Heine in Nazi Germany: they have also become « unknown poets ».

A study is devoted to the National Museum of Warsaw; numerous reviews of Polish and foreign books complete the issue.



2 HOGARTH ROAD,
LONDON S. W. 5,
ENGLAND

POMOC DO POLSKI LEKARSTWA MATERIAŁY ŻYWNOŚĆ

Katalog

100 POPULARNYCH PACZEK

oraz Wykaz Przepisów Celnych —
na żądanie. Przyjmujemy zamówienia ze
wszystkich części świata.

HASKOBA LTD.

Korespondent londyński „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI,
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CHIswick 1860.

Wydawca : Edition et Librairie „LIBELLA”,
12, rue St-Louis-en-l'Île, Paris-(IV').

Directeur-gérant : Mme Christiane Karasiewicz
Dépôt légal : 1^{er} Trimestre 1955

PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egz. poj.	Prenumerata	
		½-roczna	Roczna
AFRYKA POŁUDNIOWA: Janusz Kruszyński, 54, 15 th. St., Parkhurst, Johannesburg	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
ARGENTYNA: Tadeusz Dąbrowski, „Libreria Polaca”, Serrano 2076, Buenos Aires	10 peso	60 peso	120 peso
AUSTRALIA: „Vistula” (Australia) PTY Ltd., 77, Pitt Street, Sydney	5 sh. (a.)	£.A.1.7.6.	£.A.2.12.6.
BELGIA I KONGO BELG.: Janina Korab Brzozowska-Csaky, 62, Vanderkindere, Bruxelles- Uccle, Nr konta pocztowego 7315-20	30 frb.	145 frb.	280 frb.
BRAZYLIA: Prenumeraty przyjmują: Julia Barcińska, r. Erasmo Braga 227 s. 214, Rio de Janeiro, oraz Zofia Kietlińska, Av. Batel 1514, Curitiba, Parana; Hanna Lekszycka, rua Guiarã 139, vila Pompeia, Sao Paulo	25 cruz.	150 cruz.	250 cruz.
BRYT. AFRYKA WSCH. (Kenya, Tangany- ka, Uganda), Roman Królikowski, POBOX 5979, Nairobi, Kenya	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
FRANCJA: „Libella”, 12, rue St-Louis-en-l'Île, Paris (4 ^e)	180 fr.	900 fr.	1.800 fr.
KANADA: K. Krakowska, 3445 Marlowe Ave., N.D. de G., Montreal/Que., Tel.: HU 8-5224; Ja- nique Trading Co., 835 Queen St. W. Toronto 3, Ont.; St. L. Lemański, 570 Aberdeen Ave., Win- nipeg/Man.; H. R. Radomski, 107, Rose Park Dri- ve, Toronto/Ont. Tel. HY-0829; St. Zybała, 1089 Queen St. W., Toronto/Ont.; „Związkowiec”, 700 Queen St. W. Toronto/Ont.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
MEKSYK: Victor Stanislawski, Apartado Postal 206, Culiacan, Sin.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
NIEMCY: „Ostatnie Wiadomości”, Gendarme- rie Kaserne, Mannheim-Schoenau; St. Mikiciuk, (13b) München 13, Gablonzerstr. 7/1	2,50 DM 3 sh. 9 d.	13,50 DM 20 sh.	25 DM 40 sh.
NORWEGIA: Br. Lubiński, Moss, Kongesgt. 2. SZWAJCARIA: Maria Wasung, 2, rue Thal- berg, Genève, Tél. 32-32-92	2 fr. szw.	12 fr. szw.	22 fr. szw.
SZWECJA: Red. Norbert Żaba, Kalkskärsga- tan 3/IV, Stockholm		15 kor.	28 kor.
U.S.A.: Polish Amer. Book Co, 1136 Milwaukee Ave., Chicago 22, Ill.; W. Bieńkowski, „Gryf Publ.”, 615 Henry St., Utica, N.Y.; L. Dudarew Ossetyński, 1818 No Sierra Bonita Ave., Holly- wood 46, Calif.; S. Dziarczykowski, 3216 W.— 15 St., Los Angeles 19, California; M. K. Dziewa- nowski, 27, Aberdeen Ave, Cambridge, Mass.; T. Konopacki, 1356 E. 86 St., Cleveland 6, Ohio. Tel. SW-1-2040; Ch. M. Kretowicz, 2109 Robin- wood Ave, Toledo 2, Ohio; A. Pleszczyński. 2025 Monterey St. Santa Barbara, Calif.; S. Sokolo- wski, 2719 E. Indiana St., Philadelphia 34, Pa; K. Trojanowski, 17932 Van Dyke, Detroit 34 Mich W. BRYTANIA: „Gryf” Publication Ltd., 169- 171, Battersea Church Road, London, S.W.11. WŁOCHY: Ewa WIERUSZ-Kowalska, Corso Trieste 130/5, Roma, tel. 859632.	75 cent. 3 sh. 9 d. 300 lir	4 dol. 20 sh. 1.750 lir	6 dol. 40 sh. 3.000 lir

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta
180 frs półrocznie i 360 frs rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 30 frs.
Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres :

Jerzy GIEDROYC, 91, Avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)

Cena ogłoszeń: cała strona 12.000 fr.; 1/2 str. 7.000 fr. fr. (okładka + 50%)

Nowa książka

CZESŁAWA MIŁOSZA

ZDOBYCIE WŁADZY

(PRIX EUROPEEN 1953)

Jako IX tom Biblioteki „Kultury” ukazała się głośna książka Czesława Miłosza, która w przekładzie francuskim („Prise du pouvoir”) zdobyła „Nagrodę Europejską”.

W ciągu niespełna dwóch lat „Prise du pouvoir” doczekała się przekładów na osiem języków.

„Zdobycie władzy” jest pierwszym wydaniem w języku polskim. Książka liczy 160 stron. Cena egzemplarza: frs 650 (13 sh., 2 dol.).



Poprzednio w „Bibliotece Kultury” ukazały się następujące książki Czesława Miłosza:

ZNIEWOLONY UMYSŁ

Stron 240. Cena egz.: 500 frs, (10 sh., 1,75 dol.)

ŚWIATŁO DZIENNE

Stron 160. Cena egz.: 350 frs, (7 sh., 1 dol.)



DOLINA ISSY

Po zakończeniu druku w odcinku „Kultury” ukaże się w wydaniu książkowym, w ograniczonym nakładzie.

Zamówienia i przedpłaty (700 frs, 14 sh., 2 dol.) można już zgłaszać do Administracji „Kultury” i do przedstawicieli.